Wrzesień. — 1858.

OBRONA KRAKOWA
PRZECIW SZWEDOM
w r. 1655.

z rękopismów pozostałych po ś. p.

Józefie Muczkowskim.

Władysław IV zstępował do grobu, kiedy wzburzona przez Bohdana Chmielnickiego Ukraina domową wrzała wojną. Jan Kazimierz, brat zmarłego króla, następcą po nim ogłoszony *) nie umiał uspokoić przez ucisk naszych wzburzonéj kozaczyzny. Już od lat sześciu lała się krew bratnia na rozległéj Ukrainie, kiedy nieumiarkowany w swych żądzach Chmielnicki w styczniu 1654 roku, w Perejasławiu poddał się z kozakami carowi Aleksemu

*) Dnia 20 listopada 1648.

Michałowiczowi, a tak nowego Polsce przyczynił zapaśnika. Gdy się to dzieje na południu i wschodzie, w tym samym czasie w Szwecyi niegdyś dziedzicznéj Zygmunta III, króla polskiego a ojca Jana Kazimierza, panująca w tymczasie Krystyna córka Gustawa Adolfa, który w r. 1632 poległ pod Lützen, a wnuczka Karola, księcia Sudermanii, co naszemu Zygmuntowi, a synowcowi swemu wydarł ojczyste berło, Krystyna sprzykrzywszy sobie ciężar korony, złożyła swe rządy i na tron szwedzki powołała swego ciotecznego brata, Karola Gustawa, księcia Dwóchmostów i Palatyna Renu *). Zawiadomiony o tém Jan Kazimierz, który po swym ojcu niezaprzeczone do korony miał prawo, uroczyście sprzeciwia się temu przez Henryka Canasil, posła swego w Sztokholmie. To sprzeciwienie się było powodem do nowéj dla Polski wojny. Podniecił ją szczególniéj Hieronim Radziejowski, z powodu osobistéj obrazy zemstą ku królowi polskiemu uniesiony. Radziejowski, jako podkanclerzy koronny, przekonany na sejmie 1652 r. z listów przejętych, iż kozaków przeciw ojczyznie buntował, czego jednak najmocniéj zaprzeczał, od czci i dostojeństw odsądzony i z Polski wywołany, najprzód w Wiedniu, a potem u Szweda szukał opieki i przytułku. Przychylném uchem słuchał téj namowy Karol Gustaw, bo do wojny wiodła go chęć popisania się w początkach panowania świetnemi czyny, a nagliła potrzeba ożywienia odrętwiałego pod berłem Krystyny narodowego ducha. Chciał wprawdzie Jan Kazimierz przez powtórne poselstwo odwrócić od Polski nowo grożącą burzą, ale Karol Gustaw nie przyjął jego przełożeń, a nawet nie dopuścił do siebie Jędrzeja Morstina, referendarza koronnego, posła polskiego, dla tego, iż uwierzytelniający go list tytułem i pieczęcią szwedzką był

*) Dnia 16 czerwca 1654 r.

oznaczony. Tak więc wybuchła wojna, a Polska w jednym czasie z Kozakami, Tatarami, Moskwą i Szwecyą, a nieco późniéj i z Rakoczym, księciem siedmiogrodzkim zgubne staczać musiała walki. Z różnem powodzeniem, przez lat sześć prowadzona wojna Szwedzka nietylko, że Polskę wycieńczyła, jej miasta wyniszczyła, ale i granice jéj znacznie uszczupliła. Wszakże kiedy przez traktat welawski w r. 1657 z elektorem zawarty Jan Kazimierz Brandenburczyka z lenności uwolnił, uczyniwszy w r. 1660 d. 3 maja pokój w Oliwie o milę od Gdańska pozbawił Polskę Inflant, których Szwedowi ustąpić musiała, pozostawszy przy małéj ich cząstce inflanckiém województwem nazywanéj.

Dwuletnie wczasie téj wojny szwedzkiéj to jest w latach 1655-57 to przez Szwedów, to przez naszych obleganie i zdobywanie Krakowa, aczkolwiek w swych skutkach zgubne i opłakane, najpiękniejszy stanowi ustęp w dziejach dawnéj stolicy Polski i dla tego na wspominkę zasługuje.

Już od kilkunastu dni biegały po Krakowie trwożące wieści: że Szwedzi dnia 15 lipca pod Ujściem nad Notecią do Wielkopolski wkroczyli; że podkanclerzy Hieronim Radziejowski, co rozlany krwią bratnią i łzami uciśnionego przez nieprzyjaciela narodu pragnął zmazać wyrządzoną sobie przez Jana Kazimierza zniewagę i krzywdę, tyle dokazał swym wpływem, iż Wielkopolanie, stłumiwszy w sobie głos obowiązku prawych obywateli z najezdnikiem się związali; że tylko Jakób Rozrażewski, wojewoda inowłocławski, pozostał wiernym królowi i ojczyznie, i podarłszy shańbioną województwa swego chorągiew, zdradziecki obóz opuścił. Te z początku poszepne wieści runęły przerażającym głosem prawdy, kiedy po złożonéj 3go sierpnia u biskupa krakowskiego naradzie, magistrat pod przewodnictwem czynnego burmistrza Jędrzeja Cieniowicza z zebraną

w dniu następnym radą miejską postanowił: żeby odtąd trzy tylko bramy miasta pozostały otwarte i żeby je palisadami otoczono; żeby inne ziemią zarzucono; żeby okopy koło miasta sypano; żeby się nikt nie ważył z miasta wydalać, luźnych ludzi do domu przyjmować i utrzymywać; żeby broń cechom wydano; żeby mieszczanie po murach i basztach straż odbywali; żeby się w drzewo i sprzęty do utwierdzenia miasta potrzebne należycie zaopatrzono; żeby wodę na dachach przygotowano: zgoła, żeby wszystko czyniono, cokolwiekby ku wstrzymaniu natarczywości nieprzyjacielskiéj i bezpieczeństwu miasta posłużyć mogło. Rozpisał też magistrat listy do króla, do księcia wojewody krakowskiego, do marszałka w. kor., do kasztelana krakowskiego i nakoniec do wojewody sandomierskiego, upraszając jak najusilniéj, by spieszną pomocą miasta wesprzeć nieomieszkali.

Przyjazd dnia 14 sierpnia z zagrożonéj Warszawy uchodzącéj królowy Maryi Ludwiki ostrzegł mieszkańców o bliskiém niebezpieczeństwie. Zwiększono więc usilność w uzbrajaniu się i utwierdzaniu miasta, a w niedostatku potrzebnych dla wojska funduszów jęto się kościelnych skarbów. Ułatwiła ich zabór okoliczność, iż biskup krakowski nakazał był po dekanatach swéj dyecezyi, żeby plebani kosztowności swych kościołów dla bezpieczeństwa składali w skarbcu kapituły krakowskiéj. Powziąwszy o tém wiadomość Leszczyński, podskarbi koronny nalegał na biskupa, żeby duchowieństwo tak zgromadzone w jedno miejsce skarby, na potrzeby kraju poświęciło. Po uczynionéj na kapitule naradzie, oddano do mennicy około 70 do 80,000 ówczesnych złp. wynoszące sprzęty w srebrze i złocie, aby je pod nadzorem wyznaczonego ku temu Zacharlego, włocha i mieszczanina krakowskiego, na menetę przebito. Wtedyto sama kapituła kat. krak. złożyła 400

grzywien srebra w naczyniach i sprzętach kościelnych, których cudna robota wewnętrzną ich wartość o wiele przewyższała. Z prałatów szczególniéj odznaczył się w tych dniach nieszczęścia swą pobożnością i obywatelstwem sędziwy sufragan krakowski, Jędrzéj Lipnicki. Ten bowiem, bolejąc nad zniszczeniem tylu szanownych dawnéj pobożności zabytków, przekładał kapitule, że nim sięgnie ręką po rzeczy Bogu poświęcone, należałoby wprzód użyć na potrzeby kraju prywatnych dochodów prałatów z dóbr duchownych, które wszystkich kościołów skarby o wiele przewyższają; że on pierwszy da z siebie przykład i w przyszłości tylko cynowych naczyń zamiast sreber używać będzie.

Już od sześciu tygodni pracowano około utwierdzenia starożytnego Krakusa grodu, gdy w tém dnia 14 września piechota polska wraz z działami pod jego murami stanęła. Całą przestrzeń między Prądnikiem a Kleparzem, który okopywano, zaległy cofających się zastępy. Dom Montelupich na mieszkanie królewskie przeznaczono, a probostwo ś. Floryana zajął hetman Lanckoroński. W pięć dni późniéj t. j. 19 września wszedł do Krakowa Jan Kazimierz na czele 2,000 rajtarów, a idący za nim kwarciani wraz za szlachtą z siedmiu województw zebraną od łobzowskiego pałacu, aż do Dąbia obóz zatoczyli.

Nazajutrz po swém przybyciu do Krakowa (20 września) król złożywszy na zamku radę senatorską, na którą 2 arcybiskupów, 8 biskupów i 30 senatorów świeckich przybyło, oświadczył, iż chce w Krakowie pozostać i miasta bronić. „Na tém tu miejscu, mówił on ze łzami, zostałem królem ukoronowany, tu niechaj zginę.“ Gdy przekładania senatorów nie mogły go odwieść od postanowienia przez które osobę swoję a z nią i przyszłość kraju na największe narażał niebezpieczeństwo, usilnemi nakoniec prośby tyle dokazano, iż odstąpił

od swego zamiaru i zagranicą zmiany fortuny oczekiwać postanowił.

Zebrane pod murami miasta wojsko i pospolite ruszenie, liczbą swą według podania naocznych świadków przeszło sto tysięcy wynoszące, krzepiło strwożone mieszkańców umysły i czyniło pewną otuchę, że i miasto od napadu nieprzyjacielskiego należycie będzie zasłonione i walka szczęśliwie wypadnie dla oręża polskiego. Ale płonne były te nadzieje. Zły bowiem przykład wielkopolskich województw wzniecił w narodzie zwątpienie i rozdwojenie, którego czynni Karola Gustawa stronnicy zwiększać nieomieszkali. Kiedy więc szlachta, czy z obawy o wystawione na łup ojczyste zagrody, czy też z podszeptów tych, którzy się ze Szwedem związali, oświadcza królowi przez posły, że wtedy tylko do boju stanie, jeżeli i zaciężne wojsko potykać się będzie; żołnierz zniechęcony z przyczyny zatrzymanego sobie żołdu, a może i zdradzieckiemi podszepty skłoniony, zwija swoje chorągwie i hetmanowi je odsyła. Na tę smutną wiadomość król z hetmanem spieszy do obozu i napróżno niesforne wojsko swą obecnością do wytrwania zachęca i serce mu czyni; napróżno stawi przed oczy szlachcie obowiązek prawych ojczyzny synów i przypomina jéj świetne pod Beresteczkiem zwycięstwo, które przed trzema laty za jego przywodem odniosła nad trzykrotnie liczniejszemi od siebie Kozakami i Tatarami; napróżno zaciężnym ich powinność wskazuje i obietnicą upominku ze 180,000 złp. do wierności i poświęcenia się zachęca: bo szlachta, mimo przełożeń królewskich, niezłomnie stała przy swém postanowieniu; a chciwy zysku żołnierz w związaniu się w konfederacyą wojskową, przejściu na stronę szwedzką, dokąd go korzystne Karola Gustawa obietnice nęciły i łupieniu łącznie z nieprzyjacielem własnego kraju większą i pewniejszą upatrywał korzyść, aniżeli ją mógł

mieć z obiecanéj przez króla donatywy; dla tego też nie myślał on o krwawym boju, ale o wczesném wymknieniu się z obu. Znalazł do tego pogodną porę, kiedy wielu możnych za granicę spiesznie wynosić się zaczęło, a niechętni królowi puścili zmyśloną pogłoskę jakoby już i on z miasta ujechał.

Na tę wieść szlachta i nieswornа jazda, bo piechota przy królu stała, spiesznie i z największym popłochem, jakby już nieprzyjaciel siedział jéj na karku pod Zwierzyńcem wbród wynosi się za Wisłę. Tak więc ani obecność tylu nieszczęściami krajowemi skołatanego monarchy, ani widok wspaniale na Wawelu osiadłego starożytnego grodu, z którego niegdyś nasze wielkie króle przez tyle wieków swém potężném ramieniem daleko sięgały; ani poważnie ku niebu wybiegłe wieżyce świątyń pańskich, z których jakby jeszcze słyszały te wyrodne wnuki rozlegające się dziękczynne swych dziadów pienia za owe świetne i wiekopomne pod Kircholmem *) i Kluzynem **) zwycięstwa, nie zdołały w skażonych i znikczemniałych sercach obudzić tego wzniosłego uczucia, co niebezpieczeństwa, cierpienia a nawet i śmierć za całość ojczyzny czyni miłą i pożądaną.

Tak wielkie rozprzężenie się wojska rozlało postrach po całém mieście. Kto tylko mógł spiesznie wynosił się za Wisłę, gdzie później wielu wpadło w ręce krążących tam Szwedów. Był to dzień trwogi, rozpaczy i hańby. Leszczyński, podskarbi koronny, widząc, iż skarbiec

*) Kircholm w Inflantach wiekopomny zwycięstwem Karola Chodkiewicza nad Karolem IX królem szwedzkim na d. 27go września r. 1605 odniesioném w bitwie téj półtoratysiąca jazdy polskiéj i tysiąc piechoty położyło na placu 9,000 Szwedów a skutkiem jéj było wyswobodzenie Inflant z pod jarzma Szwedów.

**) Kluzyn także Kłuzyn leży w teraźniejszéj gubernii Smoleńskiéj tu to Żółkiewski na d. 8 lipca 1610 na czele 8,000 Polaków poraził 30,000 Moskali.

narodowy może się stać łupem nieprzyjaciela, a nie mogąc go otworzyć, bo według ustaw krajowych prócz podskarbiego ośmiu senatorów, teraz właśnie nieobecnych, miało od niego klucze, nagłością ratunku zmuszony, żelaznemi drągami skrzynie rozbić każe, a wydobyte z nich trzy korony t. j. polską, szwedzką i moskiewską, tudzież inne kosztowności ~~hetman~~ Lubomirski pod zasłoną wojska do Lubowli uwozi.

Gdy tym sposobem większa część szlachty i zaciężnych króla odbiegła, Lubomirski ze swym oddziałem zatacza obóz na Krzemionkach dla zasłonienia miasta z téj strony. Tymczasem Jan Kazimierz, pozostawiwszy w mieście Stefana Czarneckiego, kasztelana kijowskiego, *) by na czele 6,000 wojska i mieszkańców bronił stolicy, sam z kilkoma oddziałami w sobotę dnia 25 września przed świtem pod Niepołomicami przeprawia się za Wisłę, a następnie z niemałem niebezpieczeństwem, kiedy Szwedzi pod Wojniczem naszych pobiwszy, spiesznym pochodem ku Bochni i Niepołomicom zmierzali, do Wiśnicza się chroni, skąd po trzechdniowém wytchnieniu przez Sącz i Lubowlą, na Szląsk się przeprawia.

Zaledwie król miasto opuścił, aliści ze wschodem słońca ujrzano wojsko szwedzkie z gór zielonecktch **) zwolna i ostrożnie ku miastu posuwające się. Na wieść o zbliżaniu się nieprzyjaciela, co żywo gotowano się do obrony. Jęk dzwonów o niebezpieczeństwie ostrzegający i przeraźliwy krzyk *do broni!* po wszystkich rozlegający się ulicach, przebudził śpiących jeszcze

*) Rudawscii *Annales* str. 178 Czarnecio, Kijoviensi castellano, viro fortissimo, urbis tradit custodiam regimenque, una et peditatus lecti milia duinque Adiungit praeterea Wolfium Gissium Machovium, veteranos ordinum ductores.

**) Zielonki wieś pod Krakowem.

mieszkańców. Czarnecki ściąga wojsko do miasta a obóz z wielkiemi w nim obłogi pod Prądnikiem zapala. Wznoszące się i wijące kłęby brzemiennego pożogą dymu rozniosły iskry na bliskie obozu domy. Wnet atoli po całym Kleparzu a następnie i po stykające się z miastem budynku rozlał się, bo cofający się żołnierz polski dla wstrzymania nieprzyjaciela nie tłumił pożaru, ale go szerzył. Gorzały więc w dłuż i w szerz przedmieścia, a od wiatru niesione i na dachy miotane głownie przeraziły wszystkich trwogą i rozpaczą jaką przed kilką miesiącami i my niestety byliśmy dotknięci *). Mimo wielką czujność mieszkańców przeniósł się ogień daléj niż się spodziewano. Obrócił się więc w perzynę stojący młyn na Piasku i murowany sąsiedni wodociąg miejski. Od niego zapaliła się pobliska baszta kuśnierską zwana i zaledwie przez usilny ratunek zdołano wstrzymać dalsze szerzenie się pożaru w téj stronie miasta. Stały w płomieniach garbarnie i bliższe bramy ś. Anny budynki wraz z łazienką, tak iż kolegium wielkie bardzo było zagrożone, bo palące się gonty i iskry nietylko na dachy do szkoły władysławskiéj przytykających domów, ale i na samo kolegium padały. Z trudnością więc ocalono tylne akademii zabudowania. Profesorowie Marcin Słonkowicz i Radymiński najwięcéj przyłożyli się do zachowania od pożaru starożytnéj Jagiełły szkoły, bo większa część kolegów jeszcze na kilka dni przed tym wypadkiem z miasta ujechała.

Gdy tak w téj stronie pożar wstrzymują i tłumią w innéj części miasta tj. przy rogu wiślnéj ulicy zajmuje się pałac biskupi. Wzmagające się płomienie wnetby były cały gmach ogarnęły, gdyby ich nie ugasiła stojąca tam piechota. Ale stłumiony w pałacu ogień wy-

*) Ś. p. autor pisał tę rozprawę w r. 1850 w kilka miesięcy po pamiętnym pożarze Krakowa. (P. R.)

buchnął około północy w sąsiednim OO. Franciszkanów kościele. W dawniejszych wiekach do wnijścia do téj świątyni od ulicy brackiéj przytykała wieża z dzwonami miedzią pokryta, która tak daleko w ulicę zachodziła, iż między nią a narożnemi domami, zaledwie powóz mógł się przesunąć. Wieża ta, przez którą jeszcze sędziwi dziś Krakowianie wchodzili do miejsca bożego przybytku, dla rozszerzenia ulicy przed pięćdziesięciu laty zburzona została. Do niej to niepostrzeżenie wpadła z palących się domów głównia, która o północy niszczącym wybuchła płomieniem. Spalił się więc kościół szczególniéj jego nawa, bo sklepienie ciężarem walących się wiązań z swej posady wywarte otworzyło przystęp ogniowi, który wnet dwoje organ, ółtarze, kaplicę męki pańskiéj i cały klasztor pochłonął, tak iż tylko prezbeteryjom i kaplica św. Salomei nieuszkodzone pozostały. I dalsze części miasta od pożaru były zagrożone. Jakoż dwie wieże katedralnego kościoła już się tlić zaczęły.

Podczas kiedy nieszczęśliwi Krakowianie zewnątrz od nieprzyjaciela zagrożeni w mieście pasują się z wszystko pochłaniającym pożarem, Wittemberg podstępuje pod Kraków i opuszczony przez naszych obóz pod Dąbiem zajmuje. Nadciąga za nim król szwedzki, a zgromadziwszy swoje zastępy, które przestrzeń od Woli aż do Dąbia zaległy, część przy Wittembergu ku pomocy zostawia, z drugą zaś przeprawia się w bród przez Wisłę, która dla wielkiéj suszy była nader płytka, i uciekających kwarcianych do Wojnicza ściga. Tu zwodzi bitwę w któréj 300 ludzi utracił; i nakoniec zwraca się ku Krakowu, kiedy tymczasem nasi nie chcący walczyć ku Sączowi z królem zmierzali, chęcią zaś boju pałający z Lanckorońskim ku Tarnowu zdążali, by stamtąd wsparci przez wojsko litewskie na odsiecz Krakowa powrócili.

Wittemberg rozpoznawszy położenie miasta, nazajutrz przeprawia oddziały przez Wisłę i wielicką bramą, po odstąpieniu Lanckorońskiego z Krzemionek zupełnie odkrytą, bezbronny Kazimierz o 9téj przed południem swoim wojskiem obsadza. Zajęto klasztor kanoników regularnych, a zamknąwszy zakonników w jednéj celi i zakrystyi, gdzie ich w potrzeby do życia zaopatrywano, cały gmach obrócono na kwaterę dla króla szwedzkiego i jego orszaku: a kościół ś. Katarzyny na lazaret urządzono.

Po obsadzeniu Kazimierza, Wittemberg z rozkazu swojego króla, który w tym dniu (26 września) z za Wisły do obozu pod Krakowem był powrócił, wysyła do Krakowa Paskerego, jako parlamentarza. Ten przyjechawszy o godzinie 12téj przed floryańską bramę w imieniu swego monarchy zapewniał oblężeńców, że nie masz dla nich odsieczy nadziei, skoro Jan Kazimierz królestwo opuścił; że wojsko polskie częścią rozproszyło się, części z Karolem połączyło, że Potocki od Kozaków został pobity. Do tych odejmujących nadzieję wyrazów dołączył zapewnienie o łasce króla szwedzkiego, byle się tylko miasto poddało i bramy wojsku jego otworzyło; że wrazie oporu król użyje siły, która łupieztwo i rzeź usprawiedliwi. Na to odpowiedział Czernecki: że Kraków dwom panom podlegać ani chce, ani może bez złamania wiary, którą nad życie ceni; że raczéj wolą zasypać się w gruzach wszyscy w mieście będący, niżby mieli kogokolwiek wpuścić do miasta, któryby z królem Kazimierzem nie trzymał; że próżne są pogróżki walecznym czynione: żeby więc to wszystko, odniósł w odpowiedzi temu, który go wysłał.

Kiedy Wittemberg, by pokazać, że niepłonne były jego pogróżki, do szturmu się gotuje i w tym celu dla zasłonienia swéj artyleryi i piechoty przed oblężonych strzałami od ogrodu jezuickiego ponad brzegiem Wisły ku

ś. Angnieszce i szpitalowi ś. Jadwigi ostrożnie je posuwa, inny oddział Szwedzki dociera aż do klasztoru OO. Bernardynów na Stradomiu. Skoro się nieprzyjaciel przekonał, że i ta część miasta jest zupełnie opuszczona i bezbronna, natychmiast zalewa ją piechotą w palną broń i siekiery zbrojną. Spiesznie powciągano działa na Ługowskiego kamienicę i nowo wybudowany pałac Wielopolskiego, kasztelana wojnickiego, a kościół bernadyński wraz z klasztorem, ogrodem i przyległemi domami piechotą obsadzono. Położenie ówczesne domów stradomskich zakrywało ruchy nieprzyjacielskie, tak iż załoga zamkowa dopiero przez jego razy o jego bliskości przekonała się. Za danym znakiem zagrzmiały szwedzkie armaty, a rzęsisty ogień ukrytéj piechoty przerzedzał szeregi stojących na wałach polskich żołnierzy Ale nie odjęło to serca naszym, bo miotając granaty i ciężkie kule i nieprzyjaciela z działami w gruzach domów pogrzebli i nieustającemi z ręcznéj broni strzałami ukrywającą się pod dachami i za parkanami piechotę częścią wystrzelali, częścią poranili.

Gdy tak jedni w górnéj części domów z niezachwianém potykają się męstwem, drudzy w ulicach z wściekłą natarczywością cisną się do bram zamkowych, a wywaliwszy pierwszą, wstrzymujące ich napad straże ze stanowiska wypierają i znowu przed ich męstwem ustępują. Wśród tak zaciętéj walki powstaje krzyk i lotem błyskawicy całe przebiega miasto, że Czarnecki poległ, kulą przeszyty, był zaś tylko w prawy policzek raniony; i że nieprzyjaciel złamawszy naszych zastępy, niewstrzymanie do miasta się wali. Na tę wieść nieustraszony burmistrz Jędrzéj Cieniowicz, dosiada konia i na czele piechoty miejskiéj spieszy na zagrożone miejsce. Za nim dąży dziarska młodzież akademicka i Gnoińskiego żołnierze. Z nieustraszoném sercem uderzają na nieprzyjaciela, bronią, drągami i kamieniami tłuką i za

mury wypierają. Ciemność zapadającéj nocy, którą tylko rozjaśniała szeroko rozlana łuna gorejącego Stradomia, przerwała zaciętą walkę i swym kirem tak 30 poległych Szwedów jak i naszych pokryła.

Wyparty z bram nieprzyjaciel złupił przez oblężonych zapalony Stradom, a tak całodzienne trudy i niebezpieczeństwa sowicie sobie wynagrodził. Zgorzała wtedy część klasztoru bernardyńskiego wraz z kościołem, spłonął i kościół ś. Jadwigi, z świeżo i pięknie odbudowaném probostwem, kościół ś. Sebastyana, ś. Gertrudy i ś. Agneszki wraz z klasztorem i wiele celniejszych kamienić. Czarnecki zapobiegając, żeby pozostała część bernadyńskiego klasztoru w dalszém oblężeniu nieprzyjacielowi za zasłonę nie służyła, w dniu następnym, kiedy się Szwedzi w inną stronę miasta przenieśli, nakazawszy zakonnikom, żeby z gmachów ustąpili, na siedmiu punktach podpalić ją i ze szczętem zniszczyć kazał.

Po jednodniowém małemi utarczkami przerywaném wytchnieniu, Szwedzi dnia 27 września zamku od Wisły dobywać chcieli, ale wstrzymały ich usiłowanie zapalone przez naszych z téj strony Wawelu leżące domy, od których też i zamek trzykroć się zajmował.

Wzmagające się trudy i niebezpieczeństwa podwoiły w oblężeńcach męztwo i poświęcenie się. Szczególniéj dodała im ducha nieustraszona młodzież akademicka, która trwając w postanowieniu z jakiém się była bawiącemu w mieście królowi oświadczyła, iż za niego i ojczyznę umrzeć jest gotowa, dnia 27 września, a trzeciego oblężenia, w liczbie 200 udała się na ratusz z żądaniem, by ją w broń i ładunki opatrzono. Zawiadomiony o tém Czarnecki zaleca by jéj broń wydano, oraz posyła im chorągiew czerwoną z białym krzyżem, by im stawiła przed oczy ten święty obowiązek, iż prawe ojczyzny syny w dochowaniu należnéj jéj wierności

i rozlewu własnéj krwi lękać się nie powinni. Otrzymawszy broń chciwa boju młodzież, pod przywodem swych kolegów Matyjańskiego i Sewerynowicza spiesznie się spisała i na dziesiątki podzieliła. Skoro młodzi wojownicy według okoliczności przysposobili się do wojennéj potrzeby, ufni w słuszności sprawy, za którą swe gardła dać postanowili, obyczajem naddziadów od uproszenia łaski boskiéj i błogosławieństwa orężowi swemu rozpoczynają tę świętą wyprawę. W tym celu udają się do kościoła św. Anny. Ztąd po spowiedzi, gorących modłach i pobłogosławieniu przez kapłana ich chorągwi, wśród radosnych okrzyków licznie zebranego i tym czynem do poświęceń się gotowéj młodzieży, aż do łez rozrzewnionego ludu spieszą na rynek, i tu w szyku bojowym Czarneckiego oczekują. Przybywa dostojny wódz, a lubo świeżo odniesiona w policzek rana nie dozwala mu do nich przemówić, sam jednak widok w obozach i trudach wojennych osiwiałego rycerza, takim unosi ich zapałem, iż jednym głosem wszyscy wołają: *do boju wiedź nas, do boju!*

Czarnecki wzruszony tym młodzieńczym ogniem przyłącza do nich oddział zamkowéj załogi pod wodzą Krzysztofa Wąsowicza, półkownika dragonów i Konstantego Beliny, setnika husarskiéj króla Kazimierza chorągwi, i ukrytą przy zamku furtką na wycieczkę wysyła. Odważna młodzież, z którą się późniéj i rzemieślnicza czeladź złączyła, wychyliwszy się z miasta wpada przy królewskim moście na zwożących faszyny Szwedów, rozbija wozy, nieprzyjaciela rani, zabija, w znacznéj części w płon bierze i dwa działa uprowadza. Party nieprzyjaciel chroni się do Wielopolskiego pałacu. Młodzież z nieustraszoném męztwem naciera na broniących się, wywala bramę i Szwedów trupem kładzie. Szczęśliwie z téj potrzeby wyprowadzona młodzież wieczorem bramą ś. Anny wróciła do miasta i w téj stronie,

zacząwszy od wiślnéj bramy aż do swieckiéj teraz szewską zwanéj, przez cały czas oblężenia na murach straże utrzymywała i w różne strony wycieczki czyniła, najmniéjszego żołdu, a nawet żywności ze skarbu nie pobierając.

Dnia następnego (29 września) Czarnecki kazał spalić szpital ś. Sebastyana wraz z przyległemi domami, by tym sposobem otworzyć swoim pole do działania przeciw Szwedom w obmurowanym jezuickim ogrodzie ukrywającym się. Wtedy to nieznużona młodzież uczyniła nową wycieczkę pod zasłoną dział polskich, które przez pułkownika Wolfa osadzone pod murami kościoła św. Jędrzeja i Dominikanów nieprzyjaciela raziły i młodzieży ułatwiły jego wstrzymanie, kiedy się do nowéj bramy wcisnąć usiłował.

Tak szczęśliwém powodzeniem zagrzana młodzież nową przez mikołajską bramę na stanowisko Wittemberga uczyniła wycieczkę. Była ona tak szczęśliwa i pomyślna, że i tych co miny kopali dzielnie odparli i zagwoździwszy trzy armaty, których uprowadzić nie mogli w przekopy je wrzucili i tak odważnie nieprzyjaciela parli, że, jak Kochowski podaje, sam król Karol Gustaw w mieście Kazimierzu, w klasztorze kanoników regularnych kwaterę mający, na wieść o niebezpieczeństwie, od objadu porwawszy się, na konia wpaść musiał, by swą obecnością wstrzymał pierzchających żołnierzy. Sto Szwedów położono trupem. Z naszéj strony prócz kilku z młodzieży, setnik Bylina kulą przeszyty, po trzechdniowych cierpieniach ducha wyzionął. Zginął też wczasie téj wycieczki waleczny Cekwart, komendant arsenału i znakomity inżynier. Wtedy to nieprzyjaciel zapalił z mikołajską bramą stykający się kościół Dominikanek na Gródku zwany, tak, iż zakonnice ledwie życie uniosły z płomieni, które dawny zamek przy téj bramie leżący, gródkiem nazywany w perzynę obróciły.

Niepomyślność jakiéj doznali Szwedzi w stronach miasta, o którycheśmy dotąd mówili, spowodowała ich, że w innéj jego części powodzenia szukać postanowili. W tym celu około Reformatów bezskutecznie na mury wedrzeć się usiłowali, bo i tu wstrzymało ich męztwo oblężeńców z którymi młodzież trudy wojenne dzieliła. Nieprzyjaciel po bezowocném jednodzienném ucieraniu się pali kościół reformacki i sadowi się w miasta przedmurzu.

Już od kilku dni Szwedzi w różnych punktach dzień i noc do miasta strzelając, napróżno zdobyć je usiłowali, bo oblężeńcy pewni, że obiecana odsiecz śpiesznie nadciągnie, nieprzyjaciela dzielnie odpierali. Ale kiedy spodziewane wojsko polskie nie nadchodziło ośmielony najezdnik, z zabranych statków solnych wybudował pod Grzegorzkami most na Wiśle na 120 stóp długi, a szeroki tak, że czterech jeźdźców obok siebie wygodnie jechać mogło, i bezpieczniéj do murów strzelać i na około miasta szańcować się począł. Zrobił więc aprosze, które się od nowéj bramy do mikołajskiéj, a stąd aż ku św. Floryjanowi ciągnęły, daléj zaś przez Kleparz i Piasek do klasztoru Karmelitów przytykały. Tu na świątyni już na poły spalonéj, za pomocą wind ustawiono działa i stąd do szewskiéj bramy z nich bito. Skoro się nieprzyjaciel przekonał, że to miejsce bynajmniéj mu dogodne nie było, zrabował klasztor i dotychczas ocalone gmachy jego oddał na pastwę płomieni. Po jego stąd ustąpieniu młodzież akademicka uczyniła tu wycieczkę i tak stąd jak późniéj i ze Zwierzyńca, szczęśliwie uratowane sprzęty kościelne z sobą do miasta uniosła.

Szóstego dnia oblężenia a 30 września napróżno też od kościała floryańskiego do przeciwnéj mu tego imienia bramy miejskiéj przez kilka godzin z dział bito, bo nie mógł nieprzyjaciel otworzyć sobie wnijścia do

miasta, a oblężeńcy odstrzeliwając się spalili ten kościół, który w czasie kleparskiego pożaru ocalał nietknięty.

Po kilkodniowych ciągłych utarczkach i szturmach dzień 1szy października bez rozlewu krwi i najspokojniéj upłynął. Ta jego cisza była zwiastunem grożącego miastu blizkiego zniszczenia. Jakoż dnia 2go października, t.j. w sobotę skoro, brzask pierwszym zabłysnął świtem, na wszystkich punktach zagrzmiały szwedzkie działa. Zdawało się, że miasto wzrusza się z swéj posady. Ich przeraźliwy huk, szum latających kul i trzask pękających granatów pomięszane z jękiem bijących na gwałt dzwonów nie jednemu odjęły serce i zmusiły do szukania bezpieczeństwa i schronienia w głębokich mieszkań ustroniach. Wtedyto podczas gdy kilku profesorów kolegijum jagiellońskiego rozmawia z trwogą o niebezpieczeństwie, którém miasto jest zagrożone, granat uderza w dach biblijoteczny, a odbiwszy się pada na dziedziniec i pęka.

Silny napad od Kleparza skąd szwedzka piechota pod zasłoną ognia działowego z nieustraszoném sercem po drabinach na mury wedrzeć się usiłowała wstrzymują mężnie za murami stojący i cisnącego się nieprzyjaciela z drabin spychają. W tém gruchnęło po mieście, że Szwedzi mury opanowali. Na ten odgłos będący w mieście zaczynają po ulicach wznosić zapory, by im za zasłonę służyły i wstrzymały nieprzyjaciela, którego tylko po swych trupach do miasta wpuścić postanowili. Lubo w dniu tym od świtu aż do zmierzchu Szwedzi miotali na Kraków niszczące pociski, jednakże nie wiele mu szkodzili. Jakoż pomimo, iż 272 lub jak drudzy piszą około 300 kul w powtórnym napadzie na mikołajską bramę częścią z kamienicy Bratkowskiéj, częścią z sąsiedniego młyna miejskiego i z drogi przez sześć godzin wypuszczono, jednakże mały tylko wyłom zrobiono. Z wałów na Kleparzu świeżo przez naszych usypanych,

oprócz innych działowych kul 600 granatów wyrzucono, a przecież tylko kilkoro ludzi od nich zginąć miało. Ale kościół panny Maryi wielce wtedy był zagrożony. Jakoż zapalony od dwóch granatów już się tlić zaczął, i tylko śpieszny i nieustraszony ratunek zdołał ocalić tę wspaniałą świątynię, od półpięta wieku świadka naszego wzrostu, potęgi i ciężkiego upadku.

Mimo tylu niepomyślnych szturmów nieprzyjaciel znowu 4go października z innéj strony nowy napad gotuje. W tym celu oddział piechoty i jazdy ustawia w pobliżu Karmelitów na Piasku dokąd i działa wysyła ze stósowną zasłoną, w zamiarze uderzenia na szewską bramę. Cały dzień stało wojsko pod bronią, a gdy w skutek nadesłanego rozkazu działa gdzieindziéj przeprowadzają, młodzież z broniącemi murów wypada na Szwedów, miesza ich szyki i pobiwszy wiele ze zmierzchem powraca na swe stanowisko.

Kiedy już wszystkie okoliczne miasta i zamki, jakoto: Pińczów, Tenczyn, Wieliczka, Bochnia, Wojnicz, Wiśnicz i Lanckorona uległy orężowi szwedzkiemu i sam tylko Kraków wiernie stał przy królu, Karol Gustaw, lękając się, by o wawelskie mury nie roztrąciły się jego dumne względem Polski zamysły, a zawstydzony naród wytrwałością i męztwem swéj stolicy nie ocucił się z nikczemnego otrętwienia i nie skruszył jarzma, które przewrotność nań wtłoczyła, miasto albo szturmem zdobyć, albo przez układy spiesznie do poddania się przywieść postanowił. W tym celu dla lepszeg rozpatrzenia się w jego położeniu, objeżdża mury, a kiedy wymija floryjańską bramę jeden z oblężeńców sądząc, że trafnym strzałem i miasto ocali i wojnie koniec uczyni, strzela na przejeżdżającego i konia pod nim zabija.

Tylu niepowodzeniami zrażony król szwdzki już tylko o układach myśli. Aby więc mógł z Czarneckim rokowanie zawiązać, poleca Wittembergowi, żeby do nie-

go list napisał i pojmanego do niewoli Denhofa z nim wyprawił, by, jako świadek zaszłych po za Krakowem smutnych wypadków krajowych, przekonał wodza o rzetelności zawartéj w liście osnowy. Czarnecki bynajmniéj tą wieścią nieprzerażony odpisał szwedzkiemu wodzowi, że wzrósł na wojnie, a wśród armatniego huku osiwiał, że więc i teraz kul się nie lęka, i że jak uważa, to już i młodzież do nich przywykła, kiedy szwedzkie kule po mieście zbiera i do niego przynosi, by nawzajem Szwedów niemi uraczał. Wkrótce potem otrzymał Czarnecki list od kanclerza Oxenstierna, który na rynku w obec zebranego wojska i obywateli donośnym głosem odczytać kazał. W tym liście przekładał kanclerz, by Czarnecki dawszy tyle dowodów męztwa, poświęcenia się i wierności swemu królowi nie rozlewał dłużéj na próżno krwi bratniéj, ale zważając na okoliczności przez spieszną kapitulacyą uratował miasto od niechybnéj zagłady. Huk nieprzyjacielskich armat przerwał to zebranie. Czarnecki bez odpowiedzi trębacza zostawił, bo spieszył na objażdżkę miasta, dla przekonania się czy gdzie szturmu nie przypuszczają.

Już trzeci tydzień dobiegał od rozpoczęcia oblężenia a dwukrotnemi listy obiecana przez króla Kazimierza odsiecz dotąd nie przychodziła. Przybyły do Czarneckiego Leszczyński, wojewoda łęczycki, odjął mu wszelką pomocy nadzieję, zapewniając go, że król już w Opolu bawi, że Chmielnicki rozprószył wojsko Potockiego hetmana w. kor., i że komputowy żołnierz wyprawił posłów do Karola Gustawa, o poddanie się z nim rokując. Temi okolicznościami spowodowany Czarnecki, idąc za radą ks. Szymona Starowolskiego, k. k. k., Alexandra Płazy, wielkorządcy krakowskiego, Jana Klemensa Branickiego, chęcińskiego i Krzysztofa Rupniewskiego, lelowskiego starostów, tudzież wielu ze szlachty, która się w zamku licznie chroniła, odpisuje królowi szwedz-

kiemu na list poprzedni, i uprasza go, by mu przedłużył czas do porozumienia się z Janem Kazimierzem jego panem i królem. Karol przez ośm dni czekać obiecuje, a tymczasem przy swoich do miasta wysłanych usilne czyni zabiegi, by oblężeńcy jak najprędzej w układy weszli, by litując się nad sobą uwolnili się z tego dobrowolnego więzienia a tak i Szwedom cięźkiéj służby oblężniczéj ulżyli.

Skutkowały te namowy na umysłach trzechtygodniowém czuwaniem, trudami i niebezieczeństwy znużonych. Czarnecki po naradzeniu się z drugimi odpisał, że oblężeńcy gotowi się poddać, byle tylko król prawa miejscowe swojem utwierdził słowem i swą łaskę im zapewnił. Te układy jak pisze Kochowski, sekretnie czyniono, z obawy, żeby żołnierze i mieszczanie dowiedziawszy się o rokowaniu, nie ustali w czuwaniu, a tak, opuściwszy swe stanowiska, przed czasem nieprzyjacielowi wnijścia do miasta nie ułatwili. Tenże pisarz dodaje: że niepokoiła miasto niepewność, co starszyzna uczynić postanowiła i czy myśli układać się z królem szwedzkim, który miasto coraz cięższem uciskał oblężeniem. Zwątpiono o obiecanéj od króla Kazimierza odsieczy w czasie, kiedy większa część Polski Szwedowi się poddała i tylko sam Kraków tak uporczywie na swoją opiera się zgubę. Słano więc różne osoby do Czarneckiego z usilnem naleganiem, by kiedy nie masz nadziei zbawienia przez roztropny czyn, starał się ochronić miasto od nieodzownego upadku i zniszczenia. — Czarnecki po zawiadomieniu magistratu przez wysłanych doń Alexandra Płazę, wielkorządcę krakowskiego i Minora, z jakich powodów kapitulować wypada, do czego się też i szlachta skłania, 13go października zwołuje na zamek radę ze szlachty, duchownych, magistratu, i dowódzców wojska i wszystkich zdania wybaduje, by idąc za powszechném życzeniem

zrzucił z siebie wszelkie pozorne zmiennictwa zarzuty Wszyscy zgodzili się na układ ze Szwedem. Zaczém Czarnecki upraszał króla szwedzkiego, by przysłał piśmienne o swéj łasce zapewnienie. Skoro je otrzymał, zaczęto się naradzać względem punktów poddania się, które Tromhold Wolf, dynaburski, Jan Branicki, chęciński starostowie, i nakoniec Płaza, wielkorządca krakowski, jako pełnomocnicy oblężeńców z Wittembergiem układali i roztrząsali. Punkta pod jakiemi się miasto Szwedom poddało w Kochowskim i Rudawskim są zachowane i dla tego je tu pomijam. Tak pisze Kochowski o poddaniu się Krakowa. Posłuchajmy teraz, co nam podaje w tym względzie, naoczny świadek i uczestnik tych smutnych wypadków, Marcin Radymiński profesor i historyograf uniwersytetu jagiellońskiego. „Czarnecki otrzymawszy list od króla szwedzkiego, tak pisze tęn dziejopis, czy to ze względu na zagrażający głód, czyli nie spodziewając się spiesznéj odsieczy, czyli też mając na uwadze zezwolenie króla Kazimierza na poddanie się, gdyby najdaléj w dwóch tygodniach pomoc nie nadciągnęła, spuścił ze swéj żarliwości: a tak na listownėm porozumieniu się kilka dni upłynęło. Nareszcie ustnie umawiać się zaczęto przez Alexandra Płazę, wielkorządcę krakowskiego i innych dwudziestu ze stanu rycerskiego do Wittemberga wysłanych mężów. Ci wróciwszy z obozu szwedzkiego dwóch komisarzy z sobą przywieźli, by z nimi układ poddania się spisali. Podczas uprzejmych oświadczeń grzeczności i oznaki staropolskiéj gościnności, nasi o północy z dwóch dział wałowych po razu ognia dać kazali, pierwszy z tych strzałów na zdrowie króla polskiego, drugi dla szwedzkiego poświęcając. Ta niewczesna ochota przeraziła Szwedów, którzy biorąc te strzały za znaki zbliżającéj się odsieczy, przez całą noc w około miasta pod bronią stali. Zwiększyło ich trwogę zdarzenie, że oddział naszych wychyliwszy

się z miasta Szwedów z domu, w którym chleb piekli i piwo warzyli wypędzili, i zabudowanie, na którego dziedzińcu wiele stosów drew leżało, zapalili, a tak wielki pożar wzniecili. Nazajutrz dnia 12 października wezwany od Wittemberga pułkownik Wolf i zapytany o to, coby te strzały znaczyły, uspokoił strwożonych tém oświadczeniem, że nie zbliżające się posiłki, których napróżno z Żywca oczekiwano, ale uniesienie podczas wesołéj biesiady, były tych strzałów powodem.

Lubo już wtedy zgodzono się na punkta kapitulacyi szukano jednak pozornéj słuszności, którąby naczelnicy miasta ten postępek osłonić mogli. W tym celu i trwożne wieści rozgłoszono i wiele chroniących się osób z zamku wydalono, dając za powód obawę głodu.

Dnia 13 wezwał Czarnecki na piśmie po dwoch zakonników z każdego klasztoru, celem wysłuchania ich przełożeń (ad audiendum nonnulla sibi proponi). I uniwersytet w skutek takiego wezwania wysłał z grona swego Stanisława Szlachetkę, dziekana wydziału filozoficznego i Alberta Łancuckiego. Zgromadzonym duchownym w kościele katedralnym ks. Miaskowski proboszcz wojnicki w imieniu Czarneckiego dwa przełożył punkta: 1. Czyli lepiéj byłoby bronić się lub z nieprzyjacielem rokować? 2. Gdyby przyszło do rokowania, pod jakiemi warunkami ma być układ uczyniony, i kto ma być królem polskim (quis ad jura regni admittendus) gdy J K. M. z kraju się wydalił, pomocy nie masz nadziei, kwarciani do Szwedów przeszli, a Moskwa już Lublin dzierży. Te pytania oburzyły wielu prawych Polaków. Jakoż silnie przeciw nim powstał Adam Koszczewicz, prof. prawa, który późniéj w ciężkich dniach zajęcia Krakowa przez Szwedów, jako prawy polak, z odpowiednią swemu powołaniu godnością akademii przewodniczył; Starowolski odczytał tylko ułożone przez siebie ze strony duchownych kapitulacyi warunki; Szlachetka bez ogródki o-

świadczył, że niewczesna i niepotrzebna wtedy radzić o obronie, kiedy, jak widać, Bóg wie dla kogo, zamek wypróżniają. Inni oświadczyli, że nazajutrz o godzinie 8méj złożą na piśmie ich całość i bezpieczeństwo utwierdzające warunki.

Gdy delegowani od uniwersytetu zebranym swym kolegom te pytania przełożyli, wszyscy, oburzeni ich osnową, jednomyślnie zgodzili się na to, że Akademija w tych naradach uczestniczyć nie powinna, i jéj delegowanym na zamku znajdować się nie wypada. Bo i któż mówili ci zacni i prawi Polacy, naradzajęcych się względem tego uwolnił od przysięgi uczynionéj swemu prawemu i od siebie wybranemu królowi, że już o przypuszczeniu innego do tronu nietylko rozprawiają, ale też pytają się o to, na kogoby się zgodzono? Bez krwi i ducha prawili daléj, musi być ten, kto widząc teraz pochyloną rzeczpospolitę, wątpi o jéj dzwignieniu się. Okoliczność ta jak wielce dotknęła akademików, tak i między mieszczanami oburzenie i żal wznieciła. Wszakże i ci lubo nie wszyscy, zgodzili się na to, że wolą się bronić, niż nierozważnie w obce rzucić się ręce. Z tych to powodów, pisze nakoniec Radymiński, układ poddania się Krakowa nie był wcale spisany i pieczęcią stwierdzony (qua de causa chyrographum deditionis coram subscriptione et sigilllo munitum nunquam fuit) i sama tylko szlachta z Czarneckim, kasztelanem Kijowskim, pułkownikami Przyjemskim, Wolfem i Gnoińskim, Płazą wielkorządcą krakowskim, oraz Branickim, chęcińskim, Rupniewskim, lelowskim, starostami, tudzież innymi, którzy się do nich przyłączyli, układ poddania się uczyniła“. Ustęp ten, rzuca korzystne światło na uniwersytet i mieszczan krakowskich i usprawiedliwia w części zarzuty, które dziejopisarze nie bez powodu czynią Czarneckiemu o zawczesne miasta poddanie.

Skoro 17go października obie strony przyjęły ułożone poddania się punkta, Szwedzi w dniu następnym zajęli grodzką i poboczną bramę, a załoga polska wybrawszy od mieszczan po dwa talary z domu, w porządku wojennym z rozwiniętemi chorągwiami przy odgłosie trąb i bębnów z miasta ustępowała. Otwierała kolumnę pod wodzą pułkownika Wolfa, piechota na ramionach strzelby i dzidy niosąca. Następował po niéj pułk Gąsiewskiego sandomierskich hajduków, a ten miał strzelby w borsukowych pokrowcach. Krzysztof Wąsowicz i Jan Tetwin prowadzili 13 chorągwi dragonii konnéj. Zamykało kolumnę 600 husarzy, za któremi Czarnecki w pąsowej delii na pięknym jechał dzianecie. Kiedy wszystko wojsko wyszedłszy floryańską bramą, ku Bronowicom zmierzało, Czarnecki udał się do obozu Szwedzkiego, skąd po uprzéjmem od Karola przyjęciu, pojechał z nim w karecie na objad, a potém w dalszy puścił się pochód.

Po wyjściu wojska polskiego Wittemberg pod wieczór wkroczył ze swemi do miasta, gdzie przez dwa tygodnie Szwedzi stali na rynku, dopóki miasto nałożonéj kontrybucyi 800,000 talarów, po długich zabiegach i prośbach przez króla szwedzkiego do 100,000 zniżonéj nie wypłaciło. Odtąd blisko przez 2 lata bawili Szwedzi w Krakowie, z początku sami, póżniéj z Rakocym księciem siedmiogrodzkim, aż nakoniec po wielkiem przez ten czas uciśnieniu mieszkańców, po kilkakrotnych przez Polaków oblężeniach, zniszczywszy prawie miasto i złupiwszy, obléżeni nakoniec przez króla Jana Kazimierza i wojska cesarskie pod wodzą Hatzfelda, poddali się d. 30 sierpnia 1657 r. i ustąpili z miasta floryańską bramą, przy któréj polskie i cesarskie wojsko stało uszykowane.

brak stron od 445 – 458 wycięte!

UNIWERSYTET OXFORDZKI.

(Ułamek z podróży).

Podczas przejażdżek moich bieżącego roku, zwiedziłem miasto Oxford, sławne swym uniwersytetem. O samem mieście nie wiele mam do powiedzenia, coby się niedało zarówno powiedzieć o wielu innych miasteczkach angielskich trzeciego lub czwartego rzędu, do jakich Oxford policzyć można. Inaczéj ma się rzecz z Uniwersytetem, przez który to miasto się wzniosło, z niego się głównie utrzymuje, i głośnem zostało w świecie. Zebrałem co wydatniejsze rysy téj starodawnéj Wszechnicy Nauk i posyłam wam mój na nią pogląd; a wyręczam się tem chętniéj z mego zadania, przypominając sobie, iż dawna wasza Akademia Krakowska — jako Jan Śniadecki świadczy — była na jéj wzór urządzona. Ile i czy jakie ślady tych dawnych urządzeń pozostały, i czy burze przechodzące nad naszą ziemią ich niezatarły, wy jako będący na miejscu najlepiéj osądzicie. Szczęśliwy będę, jeżli tem pismem mojem was na niektóre przynajmniéj z nich naprowadzę i pamięć ich w was odżywię. Przystępuję więc do rzeczy.

Oxford leży o 64 mil ang. a około 13 naszych, od Londynu. Koleją żelazną za półtrzeci godziny można tam stanąć. Zbliżając się ku niemu równiną na któréj po prawéj stronie wiła się rzeczka Isis, uderzyły nas naprzód z pod szaromgławéj atmosfery szczyty mnogich wież wznoszących się nad miastem, na którém się promienie słońca będącego wtenczas nad zachodem, mdławo odbijały. Wieże te ile ich widzieliśmy, były wszystkie gotyckiéj architektury, oprócz jednéj najwydatniéj wznoszącéj się w kształcie wysokiéj kopuły. Powiedziano nam że to: *Christ Church* katedralny kościół i zarazem kaplica Kollegium, w którém młodzież najpierwszych familij kraju odbiera wychowanie. Każde z Kollegiów, a naliczono nam ich 19, ma swoją kaplicę, a owe wieże nadające tyle wspaniałości miastu, na któreśmy zdala poglądali należały w większéj części do nich. Miasto całe leżało jak wśród najbujniejszego gaju, tyle wewnątrz i naokoło niego rosło buków, wiązów, topoli, kasztanów i wszelkiego rodzaju drzewa. Było to w połowie maja, i nigdzie w tym miesiącu niezdarzyło mi się widzieć ani takiéj bujności ani takiéj obfitości liścia. Nie zabraknie tu, pomyślałem sobie chłodnego cienia na letnie upały. Wjeżdżając w ten gaj, a mając myśli zajęte tem, że to było siedliskiem nauk, zdawało mi się iż wjeżdżaliśmy do sławnych ogrodów Akadema, w których cieniu szkoła filozofów Grecyi, zwanych Perypatetykami, przechadzki swe odbywała, a od których za nowszych czasów wyższe zakłady naukowe w Europie nazwę Akademii otrzymały.

Wjechawszy do miasta stanęliśmy w prywatnem mieszkaniu; byliśmy bowiem ostrzeżeni, że hotele w Oxfordzie najdroższe są z całéj Anglii. Przyczyną téj drogości jak nam mówiono, były częste zjazdy zamożnych familij przywożących synów do uniwersytetu i przedłużających tam swój pobyt. Rozrzutność więc bogaczów

jak to i gdzieindziéj bywa psuła ceny dla podróżujących z oszczędnością.

Umieściwszy się w naszem mieszkaniu na *High Street* która jest główną ulicą w mieście, nietracąc czasu udaliśmy się do jednego z tamecznych kolegiów dla oddania rekomendacyjnego listu, który wieźliśmy z sobą z Londynu. Był już wieczór pół do ósméj, pora niezwyczajna w Anglii na wizyty— ale mi szło o pośpiech. Przyszedłszy do bramy zapytuję się odźwiernego czy niemożnaby się widzieć z p. T mam list do niego.— Odźwierny odpowiada, że właśnie skończony obiad i p. T. był w *Common Room* to jest sali do któréj po obiedzie przełożeni i nauczyciele Kollegium ustępują; studenci niemają do niéj wstępu. — „To ja jutro przyjdę" rzekłem i chciałem odejść. Nic niezaszkodzi, mówi on, jeżli ja mu teraz doniosę o panu— wywołam go. Przystałem na to, poszliśmy z nim przez dziedziniec na wschody. Pan T. wkrótce wyszedł i przebiegłszy doręczony mu list naprędce, a on był od przyjaciela jego wychowanego w temże kollegium, prosił byśmy weszli do wspomnionego *Common Room*. Trudno było nieprzyjąć téj grzeczności; lokaj już był otworzył drzwi, i weszliśmy. Przy zwyczajnéj, jak to się dzieje prezentacyi nas, wszyscy obecni powstali z miejsc i tak przez niespodziankę ujrzeliśmy się od razu w poważnem gronie akademickiem, wśród doktorów i magistrów uniwersytetu. Po krótkiéj téj przerwie, wszyscy zabrali znowu dawne swe miejsca i nas proszono siedzieć. Sala była obszerna, bogatym kobiercem wysłana, rzejący ogień palił się na sporym kominie, bo wieczór był przychłodny. Przed kominem stało sześć stolików ustawionych w półksiężyc na nich karawki z winem na zakończenie obiadu; każdy stolik był na parę osób. Stołki na których siedziano, jak uważałem, były dwojakie: jedne bez poręczy, a dwa z obu boków tuż koło komina stojące

były krzesła z poręczami. Drobny to na pozór szczegół niewspomniałbym o nim, gdybym nie był dostrzegł', iż one nosiły na sobie znamie porządku i powagi w téj hierarchii uczonéj.

Pan T. który jest dziekanem Kollegium zajmował jedno z tych dwóch krzeseł i mnie przy sobie posadził. Po wypiciu może dwóch lub trzech kieliszków wina, które nikomu niemogły zawrócić głowy, choć było najwyborniejszego gatunku, Sherry i Oporto— obnoszono kawę i herbatę. Ztąd widać było iż żyło się tam wstrzemięźliwie, ale oraz dobrze.

Z początku rozmawiałem był niemal wyłącznie z p. T. będąc mu polecony. Z czasem jednak rozmowa stała się powszechniejszą z drugiemi osobami dotykając różnych przedmiotów nauk i instytucyj krajowych; zwłaszcza że uniwersytet Oxfordzki sławny ze znajomości klasycznéj literatury i historyi, jako kambrydzki znów celuje matematyką. Naukowość wszakże mniéj mnie dziwiła, więcéj mnie zdziwiła między niemi głęboka znajomość historyi, polityki i świata w ogólności. Nie byli to uczeni pedanci i dogmatycy uporczywie obstający przy najnierozsądniejszych swych zdaniach i mrzonkach; lecz ludzie ze wszech miar światli, wyrozumiali, z których po ukończeniu nauk uniwersyteckich nie jeden odbywał podróże po obcych krajach i obeznawszy się gruntownie ze światem o niczem powierzchownie nie sądził. Takich przynajmniéj zdarzyło mi się napotkać w tem kollegium. Niektórzy z nich zwiedzili Hiszpanią Francyą Włochy i różne kraje niemieckie. Jeden z nich dotarł aż do Czech, i wiele mi mówił o kraju i piękności architektury katedry pragskiéj. — Szkoda powiedziałem mu, że nie dotarł aż do Krakowa, i daléj wzdłuż naszych Karpat. — Zostawiam to na czas dalszy, odpowiedział, koleje żelazne nam się teraz przydadzą.

Znane mu było wydanie angielskie poezyi czeskiéj

przez p. Wratysława z Cambridge, który umyślnie był jeździł do Czech dla nauczenia się języka Czeskiego, i za powrotem zbiór ten poezyi w angielskim przekładzie ogłosił. Wiedzieli oni o niszczeniu słowiańskich pism przez Greckie duchowieństwo w Bułgaryi, i oburzali się na ten wandalizm nowoczesny Hellenów. Nie zaniechałem też, ile to w krótkim czasie dało się zrobić, zainteresować ich literaturą polską, okazując im oraz moje zdziwienie, dla czego ich uniwersytet sławny tyle z filologii, w którym tyle mów ludzkich starożytnych i nowoczesnych uczono, niemiał katedry na słowiańszczyznę. Przy téj sposobności nieomieszkałem im powiedzieć, iż katedrę tę zaprowadzono w *Collège de France* w uniwersytecie berlińskiem i nawet rząd duński zaprowadza ją w Kopenhadze przy tamecznym uniwersytecie. Wyjawiono mi przyczynę, lecz późniéj o tem powiem.

Ten był pierwszy mój wstęp do zapoznania się w Uniwersytecie, do którego jak tradycya niesie, Alfred Wielki położył węgielny kamień. Po półtory godziny przyjemnéj rozmowy, nimem się rozstał z uczonem gronem, pan dziekan T. żałował że jutrzejszy dzień miał zajęty, ale ofiarował się mnie pozajutro oprowadzić po innych kollegiach i ciekawszych zakładach umiwersyteckich; Przyjąłem z wdzięcznością jak się dorozumieć można, tę jego grzeczną propozycyę bo takiego przewodnika właśnie nam potrzeba było.

Kiedyśmy wrócili do naszego mieszkania a mieliśmy je niezbyt daleko od kollegium, w parę minut po wejściu usłyszeliśmy powtarzające się brzmienia wielkiego dzwonu. A że one nieustawały pytamy się, coby to znaczyło? Odpowiedziano nam że to był odgłos dzwonu z kollegium Chrystusowego, dający co wieczór o 9 godzinie znak aby wszyscy akademicy byli w swych kollegiach; uderzeń zaś jego było 101 na znak iż powyższe kollegium najliczniejsze ze wszystkich miało sto jeden *Fellows* czyli według znaczenia tego słowa towa-

rzyszy nauk, stale w niem mieszkających. Kontent byłem że lubo byliśmy obcy, lecz jakby już owiani duchem miejsca tak mimowiedzy zastósowali się do niego, i nieprzekroczyli w niczem akademickiego trybu życia, i odgłos dzwonu zastał nas już w naszéj gospodzie.

Przedewszystkiem muszę tu wprzód skreślić całą organizacyę uniwersytetu, ile ją w krótkim czasie poznać mogłem gdyż inczéj wiele szczegółów o których będzie mowa, byłoby niezrozumiałych dla czytelnika.

Najprzód tedy kilka słów powiem o wspomnionych *Fellows* (*socii*), osobach nieznanych w drugich uniwersytetach prócz w Oxfordzie i w Cambridge. Są oni stowarzyszeniem składającem się z wychowańców kollegiów, pospolicie bakalaureów i magistrów, którzy przez szczególne odznaczenie się w naukach weszli na fundusz kollegialny. Służy im prawo do wolnego mieszkania w kollegium, do pensyj od 200 do 300 fst. na dożywocie, i tak poświęcania się naukom, pod warunkiem atoli bezżeństwa, bo żonaci przywilej ten tracą. Pochodzi to ztąd, iż największa część tych fundacyj datuje się z czasów przedprotestanckich, kiedy wszystkie kollegia równie jak i nadania im przez królów, biskupów lub przez inne osoby czynione, musiały przybierać na siebie nie inszą jak monachalną formę i urządzenia. Każde kollegium ma pewną liczbę takich towarzyszów czyli socyów; najwięcéj ich ma kollegium Chrystusowe, bo jak powiedziałem 101, a najmniéj Lincoln bo tylko 12. Jedno kollegium (*All Souls*) wyłącznie dla nich lub podobnie im uposażonych, jest ufundowane. Takowi tedy *Fellows* czyli towarzysze stanowią korporacyę czyli ciało, mające prawo rozrządzania podług pewnych ustaw, na

rzecz nauk funduszami jakie kollegium z różnych nadań posiada, a których wielka część bywa w ziemi i nadto mają dozór nad młodzieżą umieszczaną w ich kollegium, sposobiąc ją w naukach do stopni uniwersyteckich. Oprócz tego kollegia miewają znaczną liczbę beneficyj kościelnych i bogatych probostw do rozdawania; takowe zwykle dostają się z kolei tym towarzyszom, podług ich starszeństwa i zasługi.

Oprócz tych kollegialnych towarzyszów, przy każdem kollegium bywa znaczna liczba szkolarzy (*scholars*), to jest studentów utrzymywanych na różnych fundacyach przez miłośników nauk lub towarzystwa na wieczne czasy ustanowionych. Jedne z nich są dla studentów rodem z pewnych hrabstw, lub miast; inne dla celujących uczniów z pewnych szkół, jak np. Szkoły Win chesterskiéj, która ma ich najwięcéj; wiele też jes otwartych do konkursu dla ogółu uczącéj się młodzie ży. Przeznaczone one były dawniéj przez fundatorów aby ułatwiać pobieranie wyższych nauk dla uboższéj młodzieży; lecz teraz i bogaci o nie się ubiegają, bo są zaszczytnemi dla tych co je pozyskają. O jedno z takich szkolarstw, właśnie w tym roku, syn ex-ministra Gladstone się ubiegał, i je przez konkurs otrzymał. Wartości tych szkolarstw bywają około 100 fst. na rok, a czasem i więcéj. Tym szkolarzom służy także prawo wolnego mieszkania w kollegiach i pobierania dalszych nauk uniwersyteckich.

Te szkolarstwa (*scholarships*) kollegiów oxfordzkich niesą czem innem jak Bursami naszéj Akademii krakowskiéj. Znaczenie ich i cel ten sam. Były bowiem i w Krakowie Bursy, jako to Bursa zwana *pauperum* bursa Jeruzalem bursa, *jurisperitorum*, bursa Głogowska czyli niemiecka, bursa *philosophorum*; ostatnia założona przez Sebastyana Petrycego, tłumacza Arystotelesa. Jakoż sami scholarze w niektórych kollegiach Oxfordzkich

noszą nazwę bursarzy (*bursers*). Jak w Angielskich kollegiach tak podobnież przy krakowskich były fundacye na ubogą młodzież z różnych miast jako to dla rodem z Poznania, z Płocka, z Opatowa, z Wieliczki itd.; i na wsparcie fundatora krewnych; na ubogą szlachtę Podlaską; na przykładających się do prawa, do matematyki, na kleryków itd. Zgoła nie było wydziału umiejętności i nauk, do którychby nieznajdowały się fundacye na wsparcie i zachętę dla uczącéj się młodzieży. Tak właśnie działo się i dzieje ciągle w Oxfordzie; i dla tego Jan Sniadecki miał racyą upatrując między obydwoma uniwersytetami podobieństwo. Same też kollegia naprowadzają na toż podobieństwo, mniéj tylko ich było w Krakowie; gdyż oprócz Kollegium wielkiego i mniejszego, i Kollegium Jurydycznego niedoczytałem się o innych; reszta były Bursy, jako to: *Pauperum* czyli Jagiellońska, *Jurisperitorum*, bursa Jeruzalem, *philosophorum* i najnowsza kleryków.

Pod względem liczby kollegiów Oxford wiele przewyższa Kraków, bo ma ich 19. Wyliczam je dodając oraz daty ich założenia. Najdawniejsze jest: *University College* założone, według świadectwa dziejopisów, przez Alfreda Wielkiego r. 872. Po niem najdawniejsze: *Baliol College* z roku 1263. Po nich następują: *Merton* fundowane r. 1274 *Exeter* r. 1314, *Oriel* r 1326, *Queens* czyli królowéj Filipy r. 1340, *New College* czyli Nowe r. 1386, *Lincoln* r. 1427, *All Souls* (wszystkich dusz) r 1437, *Magdalene* r. 1456, *Brasenose* r. 1509, *Corpus Christi* r. 1516, *Christ Church* czyli kościoła Chrystusowego r. 1532, *Trinity* czyli ś. Trójcy r. 1554, *St John's* ś. Jana r. 1555, *Jesus* Jezusowe r. 1571, *Wadham* r 1613, *Pembroke* r. 1624, *Worcester* r. 1714. Oprócz tych wielkich zakładów naukowych jest jeszcze 5 mniejszych zwanych *Halls* czyli *Aule* które jako mniejsze możnaby z naszemi bursami porównać, a niemi są:

St. Edmund z r. 1267, *St. Mary* r. 1333, *New Inn* (nowa gospoda) r. 1392, *Magdalene* r. 1487 i *St. Alban's* r. 1547.

Jak Kollegia tak te *Halls* czyli bursarnie są przeznaczone li na mieszkania studentów. Wszystka ucząca się młodzież musi do których z nich należeć i zostawać pod nadzorem ich zwierzchności. Niema zwyczaju, jak w innych uniwersytetach, mieszkać w prywatnych domach, oprócz za szczególnem pozwoleniem, i to niedaje się jak tylko dla starszych z uczniów. I ci jeszcze nieprzestają być pod dozorem zwierzchności kollegialnéj li tak zwanych *proctors* naczelników policyi akademickiéj.

Każde Kollegium zostaje pod zarządem osobnego przełożonego. W jednych, przełożonych mianuje rząd, w drugich obierani są przez towarzyszów kollegium, i to z własnego ich grona pospolicie, z pomiędzy Doktorów któregobądź fakultetu. Tytuły tych zwierzchników są rozmaite: *Master*, *Warden*, *Provost*, *Rector*, *Principal*, *President*, podług tego jak w akcie inkorporacyi byli zapisani. Pensyą pobierają od 800 do 2,100 fst. to jest od 1600 do 4200 czerwonych złotych. Najwyżsi urzędnicy i ministrowie innych krajów nie są tak płatni, i prócz tego mają wolne mieszkanie.

Każde kollegium ma nadto swego urzędowego wizytora (*visitor*). W niektórych dostojność ta przywiązana do Korony; w wielu a tych większa jest liczba do pewnych kapituł biskupich. Arystokratyczne kollegium *Christ Church* ma aż trzech wizytatorów: Królowę Księcia Małżonka, i Kanclerza Uniwersytetu, którym na teraz jest hr. Derby. Wizytatorowie ci, jak rozumi się, niewtrącają się bynajmniéj do kierunku naukami, gdyż pod tym względem Uniwersytet z kollegium używa zupełnéj niepodległości, nienaruszalnéj chyba aktem parlamentu; ich obowiązki ściągają się głównie do opieki nad funduszami i nadaniami kollegiów, i aby ustawy fundacyi ich

były ściśle dochowane. Są oni niejako zastępcami samych fundatorów, pełniący ich obowiązki.

Powiedziawszy tyle w przedmiocie Kollegiów, muszę też cokolwiek powiedzieć o studentach, ich wychowańcach. Liczą ich na cały uniwersytet od 1200 do 1500 tak, że w przecięciu na każde kollegium po 60 uczniów wypada; lecz jedne mają ich więcej nad 100, a drugie po kilkadziesiąt. Uczniowie po złożeniu egzaminu *maturitatis*, matrykulowani są w kolleginm do którego są przyjęci. Trzeba mieć na to 18 lat, a do kollegiów uchodzących za lepsze a zbyt przepełnionych, zapisują się do ksiąg na rok lub na parę lat pierwéj, aby zabezpieczyć sobie miejsce. Studenci za wejściem do Kollegium nazywani są w początkach *Freshmen*: później zostają *Undergraduates*, co odpowiada Kandydatom naszych uniwersytetów; a dopiero po odbyciu 14 terminów, to jest po półczwarta roku mieszkania w Kollegium, podają się do egzaminu na Bakalaureów czyli *Bachelors*. Ten examen, jak mi mówiono, najtrudniejszy do zdania, jako obejmujący cały kurs naukowy. Na stopień Magistra sztuk wyzwolonych (M. A.) examina łatwiejsze po dwu leciech można go osiągnąć. Stopnie doktorskie udzielają się za ogłoszenie ważnych pism lub odznaczenie się zasługami w różnych zawodach publicznego życia. Otrzymanie ich niewymaga examinu. One są uwieńczeniem publicznéj zasługi, i w znacznéj części tylko honorowe.

Każden z wymienionych stopni ma swój osobny akademicki ubiór, togę (*gown*) i czapkę a raczéj beret (*trencher*), czworograniasty, płaski u wierzchu; oba czarnego koloru. Togi te według przepisu, są odmiennego

kroju, jedne długie i szerokie, drugie krótsze i opięte, z rękawami wiszącemi jak u dawnych polskich kontuszów na wyloty. Pomiędzy studentami, trojakiego rodzaju, różnica postrzega się tych ubiorów akademickich, a wskazująca na realny lub mniemany stan ich pochodzenia. Studenci zwani *commoners* pochodzący z średniéj klasy ludu, noszą togi i berety wyrabiane z wełny; ich największa liczba i oni masę studentów stanowią; studenci *Gentlemen Commoners* liczący się do rodzin znakomitych lub zamożnych mają, berety axamitne; a starszym synom szlachty z książąt, hrabiów i panów służy prawo noszenia tóg jedwabnych i biretów z żołędzią złotą na wierzchu. Ich atoli albo mało jest, albo niechcą używać tej dystynkcyi, gdyż w ciągu całego tygodnia niezdarzyło mi się widzieć jak jednego w takiem ubraniu, a on był nieco podstarzały.

Wszystkie stany teraz coraz więcéj zbliżają się do siebie, a przeto i ta różnica w ubiorach ustaje; miano nawet zamiar ją urzędownie skasować. Najmniéj ona potrzebna tam, gdzie jak w uniwersytecie oxfordzkim, każdy uczeń, jeżli nie z fortuny, to z wychowania bywa *gentleman* i w naukowym zawodzie musi wspólnie z innymi o honory akademickie się dobijać. Nauka wywyższa indywidua, niweluje klasy. Obowiązek noszenia tóg nie jest ciągły, ale tylko w godzinach obowiązkowych, na prelekcych, w refektarzach przy obiedzie i na uroczystych zgromadzeniach. Po drugiéj godzinie popołudniowéj, kiedy większa część prelekcyj się kończy, można wielu studentów widzieć w zwyczajnéj odzieży. Jeśli ubiór akademicki nie całkiem odłożony na bok, to jedynie dla tego, jak mi powiedziano, aby łatwiéj dało się utrzymać porządek i karność między tak liczną młodzieżą. Bez tej *toga virilis*, za nim osiągnie się zupełna pełnoletność, niełatwo byłoby ją utrzymać *in statu pupillari*. Właściwie młodzież nierychléj, aż dopiero po

osiągnieniu stopnia *Bachelora*, wychodzi z pod ścisłéj opieki.

Po trzech latach pobytu i przykładania się pilnego do nauk przepisanych w Kollegium, jako i innych pobieranych pod kierunkiem lub poradą nauczycieli, studenci bywają polecani do stopni uniwersyteckich. Otrzymują się one po odbyciu examinu przed komisyą examinacyjną ustanowioną przez uniwersytet. Im więcéj które kollegium dostarcza uczniów otrzymujących zaszczytnie takowe stopnie, tem bywa sławniejsze, młodzież ciśnie się do niego. Co rok wydaje Uniwersytet swój kalendarz, gdzie poszczególnie wszystkich kollegów skład opisany, jakich każde ma nauczycieli i uczniów, ilu wychowało zaszczyconych stopniami, jako też ilu wydało mężów wysokie urzędy i dostojeństwa w kraju piastujących. Pysznią się kollegia z swych sławnych ludzi i w zawody idą z sobą w kształceniu ich Wychowańcy też pysznią się nie mniéj z swych kollegiów, i czy to zasiadają na ławach biskupich czy w Senacie, czy na krzesłach sędziowskich, lubią zawsze, przed innemi wysokiemi tytułami, dokładać naprzód po swych imionach: „B. D.“ „M. A.“ „D. C. L.“ *). Ci co na funduszach kollegiów byli wychowani w jakimkolwiek zawodzie pracują, zwykli także dodawać do swych nazwisk nazwy kollegiów w których skończyli swe nauki, jak np. *Scholar of Brasenoze*, *Fellow of Balliol*, lub też innszych, chlubiąc się z odebranego w nich wychowania.

---

*) Skrócenie znaczące: *Bachelor Teologii (Divinity) Magister Artium*: Doktor cywilnego prawa.

Zebrawszy to wszystko com dotąd powiedział, że kollegia matrykulują młodzież, uczą ją, przygotowują do stopni akademickich, monopolizują niejako nauki i wydawanie sławnych ludzi; cóż tedy znaczy — jak niejednemu z uważnych czytelników, nasunie się na myśl — ów zawołany uniwersytet oxfordzki? co mamy przezeń rozumieć i co on właściwie robi?

Uniwersytet Oxfordzki jest Wszechnicą, w najściślejszem tego wyrazu znaczeniu. Stosunek Kollegiów do niego, jest jak Stanów zjednoczonych amerykański h do kongresu w Washingtonie. Wyobraża istną rzeczpospolitę naukową, złożoną z 19 kollegiów (Stanów), rządzących się samych przez się podług własnych ustaw, a on na ich czele jako ich reprezentant na zewnątrz. Jedyny wszelako związek jaki go łączy z rządem, jest ten: że wysyła od siebie dwóch członków do parlamentu, a w Izbie lordów zwykle reprezentowany bywa przez swego Kanclerza, jakim niedawno był książe Wellington a teraz jest hr. Derby, a który kanclerz nawet przezeń jest obierany, urząd piastujący bardziéj honorowy niż czynny, a zastępowany jest w czynnościach uniwersyteckich przez Wicekanclerza, który również obierany co rok z pomiędzy naczelników wspomnionych Kollegiów. Przez obieralność tę Uniwersytet przeciął wszelki wpływ rządu na jego sprawy i na wolność uczenia. Z wyjątkiem siedmiu katedr, które przez rząd były ufundowane, i rząd mianuje od siebie profesorów, których dla tego zowią królewskimi (*regii*), reszta profesorów i nauczycieli jest zupełnie niezawisłą od rządu; słowem, nie są urzędnikami. Obierani są z grona towarzyszów własnych kollegiów, płatni z własnych ich funduszów, i choć pełnią obowiązki profesorskie względem uczniów, wielu nietytułuje się jednak profesorami, lecz używa tytułów dawnych jako: Dziekan, *Tutor*, *sub-rector*, lektor itd. jakie przy ufundowaniu którego kolle-

gium były w ustawach przez fundatorów wymienione. Pensye też ich lubo różne, zawsze bywają znacznie większe od profesorskich.

Aby mieć dokładne wyobrażenie o uniwersytecie Oxfordzkim, niemożna go sobie inaczéj wystawiać jak za federacyą czyli zjednoczenie różnych kollegiów, bez których onby wcale nie istniał. Stosunek zaś w jakim on zostaje do kolegiów, i obowiązki jakie względem nich dopełnia, są głównie następujące:

1. Udzielanie stopni akademickich.

2. Uzupełnianie katedrami profesorskiemi nauk udzielanych w kollegiach.

3· Utrzymanie porządku i karności zewnętrznéj, za pomocą własnych swych urzędników zwanych *proctors* (*procuratores*).

Co do udzielania stopni uniwersytet wyznacza komisyą examinacyjną, przepisuje prawidła examinów i ilość przedmiotów z których kandydaci różnych fakultetów, podający się do stopni, mają być examinowani. Dawniéj te examina odbywały się publicznie z zwykłemi w takich razach dysputacyami; lecz teraz odbywane są przy zamkniętych drzwiach; stopnie jednak udzielane są publicznie przez Wice-kanclerza za okazaniem przez kandydatów świadectwa (*certificate*) z odbytego examinu przed rzeczoną komisyą.

Miałem sposobność podczas pobytu mego do przypatrzenia się temu udzielaniu stopniów, odbywającemu się z wielką uroczystością w Sali konwokacyjnéj *Convocation House*) Sala ta jest przestrona, gotycka, z wysokiemi oknami i wzniosłem sklepieniem; Po obu jéj stronach były stale jak dla kanoników w starożytnych katedrach, w kilku rzędach wznosiły się jedne nad drugiemi; na nich członkowie uniwersytetu siedzieli w togach, nieco publiczności a między nią i damy. Miejsce pośrodku było otwarte. Naprzeciwko na okazałem pod-

niesieniu, do którego kilka stóp prowadziło, siedział wicekanclerz w krześle, obok niego niżéj dwóch proktorów. Zdarzało mi się być świadkiem wielu poważnych posiedzeń, ale żadne nie zajęło mnie tak mocno jak to; widok jego i cały kształt zgromadzenia przeniosły mnie w średnie wieki. Czytano wtedy z kolei imiona każdego z kandydatów, którzy po odbyciu examinów na magistrów sztuk wyzwolonych (M. A.) się podawali, z polecaniem każdego z osobna Wicekanclerzowi aby ich na ten stopień wyniósł. Przedstawienia zaś te czyniły się po łacinie; Wicekanclerz też podług przyjętéj formy w łacińskim języku stopnie te nadawał, i nowi magistrowie także w tym języku na mowę jego odpowiadali. Nieumiem jednak o treści tych mów nic powiedzieć, dla zbytniéj odległości miejsca, gdziem się znajdował. Zresztą było to tylko dokonaniem formalności, gdyż kandydaci byli pewni że po zdaniu examinu przed komisyą żądane stopnie nie będą im odmówione. Co mnie atoli przy tym obrzędzie zdziwiło, to przyjęty zwyczaj przy przyznawaniu stopni, że dwaj protektorowie z jednéj i z drugiéj strony kandydatów stojących przed wicekanclerzem, otarłszy się prawie o każdego, przyspieszonym krokiem przechodzili wprost prawie aż do drzwi sali, i tymże krokiem powróciwszy, doręczali im jakieś karteczki z pismem. Odbywanie tej ceremonii podobnéj do kadryla, a nie kwadrującéj wcale z powagą całego obrzędu, zdziwiło mnie; zwłaszcza że uśmiech widziałem na twarzach samych osób ją wykonywających jako też innych widzów — pytałem więc, coby to znaczyło? Odpowiedziano mi: iż to było wezwaniem publiczności, czy niemiał kto z obecnych do zrobienia jakowego zarzutu przeciw kandydatowi, bo chcący dostąpić tego stopnia, powinien być bez zarzutu i bez zmazy w oczach publiczności. Zwyczaj ten dziwny, zaprowadzony jest na miejsce jeszcze dziwaczniejszego, kiedy mający co przeciw

sobie za dawniejszych czasów, pociągani byli przez swych oskarżycieli za połę, co zwało się: *plucked*, co często powód dawało do skandalów. Tak skubnięci jako niegodni, wyłączani byli od honorów akademickich. — Dziś wyraz *plucked* stosują tylko do tych, co przez nieudolność nie mogą zdać examinów. Tacy w niektórych razach wydalani są wcale z uniwersytetu. Większą karą od tego może być tylko *rustication*, wypędzenie za złą konduitę i nieobyczajność.

Po dokonaniu nominacyi na magistrów, których może było do dziesięciu, nastąpił obrząd nadawania stopni bakalaureatu (*bachelorship*). Wicekanclerz tu zstąpił ze wzniesienia gdzie siedział, i zasiadł na dole — snadź dla tego, że ten stopień jest niższym od poprzedzającego. Kandydaci prezentowani byli do stopni przez swych examinatorów, będących magistrami — było ich ośmiu. Stanęli rzędem przed Wicekanclerzem, i po odbyciu pewnych formalności uklękli, on zaś kolejno idąc od jednego do drugiego, i kładąc im nowy testament na głowę, dyktował każdemu rotę przysięgi; nie po łacinie w obecnym razie, ale w angielskim języku. — Była to chwila nader uroczysta i głucha cichość panowała w sali. Co mnie z téj roty przysięgi najbardziéj uderzyło, i co zapewne nie uszłoby niczyjéj uwagi, to te słowa: „żaden obcy panujący ani papież, ani prałat, jakibądź obcy, niema żadnéj jurysdykcyi w tym kraju, gdyż to potępioną herezyą“. Wyrazy te wymawiał Wicekanclerz z podniesionym głosem, i z szczególnym na nie przyciskiem; widocznie szło mu o to, aby na zawsze przechowane były w pamięci przysięgających. Ztąd widać że nadawanie stopni akademickich w Anglii nie jest jedynie aktem cywilnym jakto bywa w drugich uniwersytetach, ale oraz zobowiązaniem religijnem.

Tegoż samego dnia była doktoryzacya, ale niebyłem świadkiem jéj obrzędów, bom się spóźnił, niebędąc do-

brze uwiadomiony o godzinie, o któréj to posiedzenie akademickie miało się rozpocząć. Nie ręczę, ale mi się zdaje, że i ten obrzęd utracił wiele z dawnych formalności scholastycznych i znacznie jest uproszczony; zwłaszcza że otrzymanie stopnia doktorskiego niewymaga jak dawniéj dysputy publicznéj, lecz on zwykle przysądza się wsławionym nauką i pismami mężom. Szczególnie dla wychowańców uniwersytetu, którzy poprzednie stopnie zyskali, nabycie doktoratu nie ma być trudne; we cztery lata po magistratowstwie każdy ma prawo o tę najwyższą godność akademicką się starać, i otrzymuje ją według prawa po trzech publicznych prelekcyach, lub za okazaniem wydanego dzieła własnéj kompozycyi. Opłata od doktoratu 40 fst.

Jest nadto w uniwersytecie Oxfordzkim fakultet muzyki, czego przy innych uniwersytetach nie ma. Nie jestem wszelako pewien, czy ten podrzędny fakultet lub coś mu podobnego nie istniało w Krakowie, jak to dotrwanie nazwy „bursy muzycznéj" dotychczasów zdaje się na to naprowadzać.

Bakalaureat muzyki w Oxfordzie otrzymuje się za kompozycyę w czterech najmniéj partiturach (*parts*) z akompaniamentem organów i śpiewu wykonanemi publicznie. Doktorat zaś muzyki otrzymuje się za kompozycyą w ośmiu partyturach, wykonaną z akompaniamentem całéj orkiestry. Organista uniwersytetu musi zawsze być doktorem muzyki. Obecnie jest nim Stefan Elvey. D. Mus.

Czem się jednak uniwersytet Oxfordzki szczególnie odznacza, to udzielaniem stopnia honorowego doktoratu najzasłużeńszym lub najznakomitszym osobom równie krajowcom jak zagranicznym. Na liście tak zaszczyconych można widzieć imiona książąt panujących, sławnych wodzów, mężów stanu, dyplomatów, i różnych innych co na obszernym teatrze życia publicznego zasłynęli. — Takim zwykle przyznawany bywa Doktorat prawa, (D.

CL.) *) Pomijając wielu innych dość tu namienić, że książe Wellington, Blücher i Platow hetman Kozaków, byli tem stopniem akademickiem zaszczyceni. Ostatniemu pewnie nigdy nie marzyło się że takiego honoru dostąpi. Stopnie te honorowe co rok udzielane bywają z wielką uroczystością w *Sheldonian Theatre* w dzień zwan *Commemoration*, która rocznica obchodzi się przez uniwersytet około św. Jana, na uczczenie pamięci jego dobroczyńców, i w którym dniu też nagrody uczniom za uwieńczone pisma są przyznawane. W bieżącym roku stopień doktora prawa otrzymał weteran dyplomatów Lord Stratford de Redcliffe były ambasador w Carogrodzie. Po czterdziestu przeszło latach służby publicznéj i ledwie nie stojącemu już u kresu życia, ten zaszczytny tytuł mu był nadany. Dla dania wyobrażenia o rozmaitości i stanowisku osób jakim on się dostaje, wymieniam tu innych, którzy wraz z nim tą akademicką dostojnością byli zaszczyceni: Wicehr. Eversley były marszałek (*Speaker*) Izby niższéj: Sir Laurence Peel jeden z członków tajnéj Rady państwa, Sir John S. Lefevre sekretarz (Clerk) Izby lordów; Jenerał Sir John Inglis. William Martin i T. Haliburton, pierwszy sędzia najwyższy Nowej Zelandyi, a drugi Nowej Szkocyi, oraz autor kilku popularnych dzieł humorystycznéj treści. Aby więc powziąć dokładne wyobrażenie o uniwersytecie Oxfordzkim, nie dosyć jest mieć go za najwyższą szkołę kształcenia młodzieży w naukach, i na tem go jak inne uniwersyteta ograniczać: ale nadto baczyć należy, iż z niego odbija się blask i godność na wszystkie stany i zawody życia. Godności te są wysoce cenione jako dobrowolne uznanie zasług i hołd dla nich przez najdawniejszą w kraju instytucyą narodową; niema też urzędnika tak wysokiego ani dygnitarza tak du

---

*) *Doctor of Civil Law.*

mnego, któryby ich sobie za zaszczyt niepoczytał. Przez nikogo z zagranicznych, ani nawet przez ukoronowane głowy nie były one odrzucane, lecz przyjmowane wdzięcznie jako najmilszy upominek uobyczajonéj gościnności. W takim, nieporównanym stosunku ten wielki instytut Alfreda W. zostaje do własnego kraju i do innych narodów w Europie.

Herb jego otwarta księga, nad nią dwie korony, jedna u dołu; a na rozłożonéj księdze godło: *Dominus Illustratio Mea*".

Powiedziawszy tyle o uniwersytecie w ogólności, przejdźmy do szczególnych jego zakładów i urządzeń uwagi godnych. Puśćmy się na przechadzkę po nim, pod prz.wodnictwem p. T. o którym mówiłem wyżéj.

O 2giéj godzinie z południa, według umowy, stanęliśmy w jego mieszkaniu, zastaliśmy go w akademickiéj todze, gotowego do wyjścia. Ubiór ten był potrzebny bo służył za paszport wszędzie, gdzieśmy się pokazali. — Obcym nie wszędzie wstęp dozwolony.

Naprzód oprowadził nas po własnem jego kollegium. Odźwierny otworzył nam kaplicę, bo każde kollegium ma kaplicę, w któréj nabożeństwo dla uczniów, ranne i wieczorne modlitwy są odbywane. — Kaplica była gotyckiéj struktury, okna z kolorowego szkła, kilka w niéj starożytnych pomników i kosztowny religijny obraz który świeżo z Włoch był sprowadzony i miano go w ółtarzu osadzić. Wyszedłszy z kaplicy w przysionku zastanowiło mnie wzniesienie podobne kształtem do ambony. Z niéj dawniéj kandydaci stający do stopni, dysputy odbywali, lecz za nowszych czasów ten zwyczaj skasowany. Ztamtąd poszliśmy do refektarza czyli sali jadalnéj, lubo pierwszy wyraz byłby na

nią właściwszy; gdyż z kształtu i rozkładu swego przypominała mi refektarze dawnych klasztorów. Trzy stoły dębowe biegły wzdłuż sali, jeden dla *undergraduntes*, czyli kandydatów, drugi dla Bakalaureów, a najdłuższy po środku dla zwyczajnych studentów. Było nadto wzniesienie wpoprzek na trzy stóp wysokie i na niem stół; u niego zasiadała zwierzchność kollegium i Magistrowie. Na miejscu najwydatniejszem na ścianie, wisiał w całéj długości portret Biskupa z mitrą i pastorałem, fundatora kollegium, po innych miejscach naokoło były portrety lub popiersia jego dobroczyńców i innych sławnych ludzi; niektóre wybornego pędzla z różnych wieków. Jest to pomyślałem w sobie, skarb nieoszacowany dla młodych malarzy i powieściarzy opisujących kostiumy ubiegłych wieków. Następnie byliśmy zaprowadzeni do biblioteki kollegium. Sala była obszerna, pełna voluminów greckich i łacińskich autorów, ojców kościoła, rzadkich wydań, pierwszych druków; nowoczesnéj literatury w proporcyi mało. Pokazywano nam ślicznie zachowany mszał fundatora, *in folio*, z wybornemi malowaniami, jak takie księgi zwyczajem było przyozdabiać w średnich wiekach. Przeglądaliśmy potem mieszkania studentów; nie mieszkają oni razem, lecz każdy osobno. każdy ma dwa pokoje, jeden sypialny, drugi do nauki. Pokoje są dość obszerne, wysokie; od podłogi do sufitu z lamperyami, gotyckiéj rzeźby, meblowane kosztem i podług woli uczniów. Opisuję to nieco po szczegółach dla tego, że opis jednego kollegium wystarczy i dla drugich, gdyż wszystkie mają swe osobne kaplice, podobnież refektarze, galerye obrazów, biblioteki, i mniéj więcéj te same urządzenia dla studentów. Jednostajność zaś tych urządzeń tak dalece się rozciąga, że nawet sześć kollegiów, które za nowszych protestanckich czasów były założone, na wzór starożytnych są uregulowane. Co do ogólnych ustaw dla nniwersytetu największemi prawodawczyniami

jego były dwie królowe: Elżbieta a obecnie Wiktorya. Taką dla akademii krakowskiej u nas była królowa Jadwiga.

Następnie wstąpiliśmy do Biblioteki Radclifa (*Radcliffe Library*) leżącéj na otwartym placu wśród miasta. Założona była r. 1737 przez Dra Radcliffe nadwornego lekarza Wilhelma III i królowéj Anny. Na wystawienie jéj poświęcił ten światły mąż 40,000 fst. i bogaty swój zbiór ksiąg legował; zapisując oraz 100 fst. rocznie na do upno nowszych dzieł i 150 fst. na utrzymanie bibliotekarza. Budowla tej biblioteki jest wspaniała rotunda z ciosowego kamienia opierająca się na arkadach z filarami korynckiego rzędu i z wznoszącą się u wierzchu pyszną kopułą. Z kopuły ma się widok obszerny na całe miasto i jego okolice, podróżujący zwykli na nią wchodzić, i my też wyszliśmy aby się tam przypatrzyć ich panoramie. Na nieszczęście deszcz z wiatrem niepozwolił nam widoku w całości używać, bo przeciągające obłoki zachmurzały odleglejsze okolice w różnych stronach; wszakże mogliśmy dojrzeć przestronne parki, pośród nich bielące się dwory i sławne Blenheim siedlisko książąt Marlborough. Wzmagający się deszcz i burza niedozwoliły nam rozpoznawać i bawić się tem wszystkiem dłużéj, zeszliśmy krętemi schodkami do biblioteki. Tu znaleźliśmy nie tylko księgi ale liczny zbiór scientyficznych narzędzi i wynalazków. Zbiór ksiąg umieszczony był na obszernéj galeryi okrążającéj wewnątrz całą rotundę. Dzieła należały w większéj części do nauk przyrodzonych i sztuki lekarskiéj. W tym wydziale wiadomości, fundator miał upodobanie i najwięcéj dbał o ich postęp. Jakoż dla jego rozwinięcia założył on nadto i uposażył Obserwatoryum astronomiczne, szpital, i przeznaczył roczny fundusz (600 fst.) do wysyłania dwóch wychowańców uniwersytetu w podróż naukową po obcych krajach.

Drugi ważny zakład naukowy któryśmy zwiedzili, a który równie prywatnéj szczodrobliwości byt swój winien, jest tak zwana *Taylor Institution*. Sir Robert Taylor był znakomity architekt co ją założył i uposażył, w celu obeznawania młodzieży akademickiéj z nauką nowoczesnych języków i literatury. W instytucie tym ustanowiona jest katedra na profesora nowoczesnych języków. O nią nasz uczony rodak ś. p. hr. Waleryan Krasiński, który był doskonałym lingwistą, przed kilką laty się starał i miał nawet, jak wiem silne plecy za sobą; lecz wpływ niemiecki u dworu był silniejszym, i przemógł. Max Müller bawarczyk otrzymał tę katedrę. Oprócz niego est jeszcze trzech nauczycieli języków. Frädersdorff niemieckiego, Julius Bué francuskiego, i Aureliusz Safii włoskiego. Pensya profesorska 500 fst. a nauczycielskie po 150, wszyscy obierani na 5 lat tylko, ale mogą i nadal być potwierdzeni na swych posadach. Instytucya ta zupełnie nowa, bo potwierdzona jéj ustawa przez uniwersytet dopiero w roku 1857. Była ona nader potrzebną dla uzupełnienia kursów filologii, która ma bogate uposażenia nietylko na naukę dwóch klasycznych języków greckiego i łacińskiego, lecz i na hebrajski arabski i sanskryt.

Budowa tèj instytucyi jako będącéj nowszéj daty nie ma nic gotyckiego, facyata jéj wspaniała z kolumnami korynckiemi i wchodzi się do niéj wielkiemi schodami z ciosowego kamienia. Zewnątrz ma sale na auditorium, na bibliotekę i czytelnię obszerne i jasne. Na stole w czytelni widzieliśmy świeże dzieła i czasopisma francuzkie, włoskie najwięcéj niemieckich; nic słowiańskiego nie mogliśmy dojrzeć. Ubodło mnie to, że w uniwersytecie najsławniejszym z filologii, bo Oxfordzki za taki powszechnie jest mianym, język i literatura słowiańska zostaje tak zapoznaną, jakby nas wcale nie było na świecie lub plemie nasze nieznało jeszcze abecadła.

Przyczyna tego jednak jasna. Jedni z nas postradawszy byt polityczny, drudzy niedospiawszy do życia politycznego przerodziliśmy się w oczach świata na hellotów, a przeto i na odrzutków w literaturze.

W téj saméj budowli znajdowała się w wyższych salach Galerya obrazów, mnóstwo rycin, a co najciekawsze 190 oryginalnych rysunków Michała Anioła i Rafaela. Zbiór ten nieoszacowany i jedyny zakupiony był za pomocą składki zrobionéj przez członków uniwersytetu, do któréj hr. Eldon był dołożył od siebie 4100 fst. W dolnych salach oglądaliśmy posągi i różne zabytki starożytnego snycerstwa, pozostałość dla uniwersytetu po p. Pomfret; oraz zbiór spory oryginalnych odlewów i modelów po sławnym snycerzu szkockim Sir Francis Chantrey, który pozostała po nim wdowa tam darowała Nie miejsce tu ciekawości te wymieniać; powiem tylko iż szkoły malarstwa równie jak snycerstwo znalazłyby tu wiele przedmiotów tak do podziwienia jak i dla swych studiów. Bogata Galerya znajdująca się w blizkim Blenheim dostarczyłaby im do nauki jeszcze nierównie więcéj rzadkich arcywzorów pędzla i dłuta. Domy szlachty angielskiéj obfitują w takie zbiory.

Biorąc się do zwiedzenia wprzódy tego co było najważniejszém, udaliśmy się do sławnéj biblioteki zwanéj *Bodleian Library*. Sir Thomas Bodley, od którego ona wzięła nazwisko, był przy końcu szesnastego stulecia posłem angielskim w Hadze; usunąwszy się w 53 roku wieku swego od spraw publicznych zajął się skupywaniem ksiąg i unieśmiertelnił się utworzeniem téj biblioteki. Nietylko uzbierał mnóstwo ksiąg, których w roku 1602 naliczono do 200,000 tomów, a co w tamtym czasie wiele musiało go kosztować, nietylko mówię tyle ksiąg nazbierał, ale swym kosztem wzniósł stósowną budowę na ich pomieszczenie, przeznaczając zarazem

fundusz na swych dobrach na jéj reparacyą i opłatę bibliotekarzy.

Bodley był tem dla Oxfordu czem bracia Załuscy byli dla Warszawy a Ossoliński dla Lwowa; czem spadek po Swidzińskim jest w oczekiwaniu; a więc i Polska ma z czego się pochlubić. Od czasów Bodleya biblioteka jego znacznie się powiększyła przez inne donacye przez fundusz dodatkowy na kupno dzieł nowych z kassy uniwersyteckiéj, i nadto w skutek przywileju jéj nadanego, że każdego dzieła wychodzącego z druku w Anglii jeden egzemplarz powinien w niéj być złożony. Uniwersytet w Cambridge posiada ten sam przywiléj. Umarł Bodley r. 1612, na rok przed dokończeniem budowli bibliotecznéj. Co rok rocznicę otwarcia jéj obchodzi uniwersytet urzędową do niéj wizytą.

Nie małą osobliwością a dołączoną do biblioteki jest Galerya obrazów fundatorów różnych kollegiów i dobroczyńców Uniwersytetu. W niéj można widzieć, że tak rzekę, historyą Uniwersytetu w obrazach, a która jest historyą oświaty kraju, i unosić z sobą w pamięci postacie najgorliwszych jéj miłośników. Galerya ta bardzo jest odwiedzana, nikt z podróżujących jéj niepomija. Niemożna powiedzieć, żeby wszystkie te wizerunki celowały doskonałością pędzla, lecz każden z nich połączony jest z dziejami; wiele między niemi można też znaleźć obcych uczonych. Oprócz nich znajduje się w Galeryi także wiele słynnych klasyczności starożytnéj zabytków w modelach. Oglądaliśmy tam z ciekawością świątynię Minerwy w Parthenon, świątynię Westy znajdującą się w Tivoli, świątynię Fortuny *virilis* w Rzymie, statuę Neptuna w Paestum, Teatr odgrzebany w Herculanum, piękny model katedry kalkuckiéj z alabastru, i wiele im podobnych, a uobecniających dla umysłu pomniki starożytności lub utwory sztuki z dalekich krain.

Tu zapoznałem się bibliotekarzem Biblioteki bodlejańskiéj Doktorem Coxe, z tym samym który roku przeszłego, z polecenia rządu jak wam wiadomo, odbywał podróż na Wschodzie w celu wyszukania i nabycia Mss. dawnych pisarzy Greckich, o których niewiedzieć zkąd wiadomość była się rozniosła, że się ich mnóstwo po monasterach Greckich przechowuje. W ciągu méj rozmowy z nim zapytałem go: jak się mu jego poszukiwania udały? Nieudały mi się wcale, odpowiedział z otwartością, wielką mają dla nas obcych nieufność, i wszędzie napotykałem na trudności. Zrażony niemi zostawiłem tę pracę komu innemu, który może będzie szczęśliwszym odemnie. Naprowadziłem wtedy rozmowę na wandalizm duchowieństwa Greckiego niszczącego, jak to przeszłego roku się stało, po monasterach w Bulgaryi rękopisma słowiańskie i spytałem czy czasem którego z tych monasterów on niezwiedził. „Nie, odpowiedział, bo to nie było celem méj podróży. Jednakże nabyłem cokolwiek ze słowiańszczyzny“. Tu mnie wziął do swego *Sanctum sanctorum*, gdzie najrzadsze osobliwości były składane, i pokazał mi serbski Nowy Testament w małéj formie, w dawnym kościelnym druku, drugi większy z greckim tekstem obok słowiańskiego, ale bez daty co go martwiło i niemógł jéj nigdzie znaleźć. Pokazał mi wszakże przytem jeden rękopism Grecki, objętości grubéj księgi, który udało mu się w podróży nabyć, i który jak mi mówił od deski do deski już przeczytał. Zdziwiłem się, gdyż pismo było drobne, i nie romans do czytania. Jedną jeszcze księgę pisaną i także dość dużą dobył i pokazując mi ją pytał czy nie zdarzyło mi się kiedy widzieć podobne pismo? Na mą odpowiedź, żem go nie znał odrzekł: pisma tego nikt zdecyfrować nieumie. Na samo wejrzenie pismo to nie było dawne, choć na zżółkłem znacznie od czasu papierze. Wyglądało nakształt hebrajskiego, nie tego atoli

31*

jak w biblii, ale jak żydzi w listach swych piszą różniło się w tem, że miało litery więcéj z sobą połączone. Idąc ztamtąd przez salę biblioteki, patrząc przytem na księgi w szafach, spostrzegłem na jednym foliale napis: *Mart. Cromeri Historia Poloniae*. Egzemplarz bardzo dobrze przechowany. Ksiąg w polskim języku niemieli, z upadkiem kraju literatura nasza przestała wzbudzać ciekawość.

Dr. Coxe używa sławy głębokiego filologa. On był pierwszy co wykrył oszustwa Simonidesa obwożącego po Europie, parę lat temu, mniemane oryginały dawnych greckich autorów, jakoby przez niego odkryte, a które przez niego były podrabiane. Cały świat uczony był wówczas zajęty odkryciem tego, niby ważnego skarbu, i udało mu się niektóre oryginały sprzedać do bibliotek publicznych za znaczne sumy. Chciał on też spróbować szczęścia w Oxfordzie, lecz tu się zawiódł. Przełożywszy bowiem jeden rękopism jako wielce ważny do egzaminowania, w chęci zbycia go do biblioteki, gdy w kilka dni późniéj przyszedłszy, zrobił doktorowi Coxe zapytanie do którego wieku on mniemał, że złożony rękopism należał? ten mu wręcz odrzekł: do wieku XIX; „A ile on jest wart?“ — *Sixpence*. To gruchnęło po całéj Europie ku zawstydzeniu niejednego filologa.

Odtąd niesłychać o Simonidesie, karyera mu do oszustw literackich została przecięta.

W jednéj części budowli biblioteczněj przechowują się archiwa publiczne i uniwersyteckie. Wychodząc z niej zajrzeliśmy do gmachu, gdzie roku 1625 podczas panującego morowego powietrza w Londynie parlament miał swe posiedzenia. Gmach ten gotycki i obszerny został teraz obrócony na salę egzaminacyjną studentów.

Ztąd udaliśmy się na zwiady do różnych kollegiów. Zastanowiły mnie ogromne ich gmachy, wszystkie z ciosowego kamienia, największa ich część w czworogranach

wewnątrz z podwórcami; niektóre z nich miały przestronne ogrody, pełne rozłożystych kasztanów, kląbów, rozmaitych drzew i grzęd kwiatów, a pomiędzy niemi, kędy było najpiękniéj, prowadziły wijące się wygodne żwirem wysypane ścieszki. Jak miło pomyślalem w sobie pośród tych cieni i w ich ustroniach odgrodzonych od wrzawy świata, dumać i w obec tak czarującéj przyrody zostać zwolennikiem perypatetyzmu. Najpiękniejsze te ogrody wydawały mi się w Kollegium Nowem, Worcester, św. Jana i Magdaleny. W nich na otwartych miejscach między drzewami, na trawnikach gęstych, ślicznych jak axamit, jakie tylko w Anglii widzieć można, widzieliśmy młodzież akademicką bawiącą się strzelaniem z łuków do zatkniętych tarczy do celu. Cwiczenia te nieuznawane są za niepotrzebne do edukacyi w tak praktycznym narodzie jak Anglicy. Ogród Kollegium Magdaleny mającego tak z budowy swéj jak i z wewnętrznego rozkładu korytarzy największe podobieństwo do gotyckich klasztorów ze średnich wieków, ogród jego mówię jest najobszerniejszy: rozciąga się na 89 morgów, a naokoło niego ścieszka ocieniona szpalerem wysokich wiązów holenderskich. Jest on bardziéj parkiem jak ogrodem: w jednéj jego części sarny i daniele pasły się. I niedziwiła mnie bynajmniéj ta wykwintność, dziwiłbym się bardziéj, gdyby jej tam niebyło; kollegium to bowiem jak mi mówiono, ma do 30,000 fst. rocznego dochodu. Niewiem czy się znajduje na stałym lądzie uniwersytet tak bogato uposażony jak to jedne kollegium; a zważając, że ich wszystkich jest 19 mniej więcéj bogatych, można powziąć wyobrażenie z jak zámożnej federacyi Uniwersytet jest złożony, i ile sposobów nastręczać może do nabycia nauk. Pojedyncze też budowle niektórych objętością swą wyrównywują gdzieindziej Uniwersytetom. Wzmiankowane kollegium Magdaleny, podobno dla zatarcia skazy zna-

zwaniem jego łączącéj się, dziwnem skróceniem nosi nazwę: *Modlin*. O niem jeden z dawnych autorów Antoni a Wood pisze: że jest najwspanialszą i najbogatszą budową uczonego świata i miejsce tak miłe jak brzegi Eurotasu, ocienione laurami i wawrzynem, gdzie Apollo sam radby się przechadzać i nucić swe pienia. Opuszczając Modlinu klasztorne zaciemnione mury, z których wszędy monachizm średnich wieków się przebijał, ciekawość naszę na wyjściu zwróciła ambona kamienna. Z niej jak nam mówiono, według dawnego zwyczaju w dzień ś. Jana uniwersyteckie kazania miewano do zgromadzonego przed kollegium ludu, a cały plac wtedy był pięknie umajony, zasłany darniną i tatarakiem, domy przyległe ustrojone w kwiaty. Przypominało mi to sobótki od niepamiętnych czasów obchodzone w naszym kraju, jakoście je i bieżącego roku wesoło obchodzili pod Krakowem. Ile w tem nauka Astronomii i zwrót słońca, lub pamięć ś. Jana każącego na pustyni ma do czynienia, niechcę tu wchodzić, dość powiedzieć, iż sobótki nasze i obchód tegoż dnia w Oxfordzie nie mogą być bez związku z sobą i musiały mieć jeden i ten sam początek; a uniwersytet oxfordzki daleki od zacierania zwyczajów narodowych, religijnym uświęcał je obrzędem.

O jednym jeszcze podobnym temu wspomnę zwyczaju, który tam zachowuje się na początku maja. Miesiąc maj był u pierwotnych narodów w Europie symbolem rozbudzonych sił przyrody na wiosnę, gwoli czemu może i nasze „majówki“ wiodą początek. W Oxfordzie dzień 1 maja uświęca się w najwznioślejszy sposób; a było to na kilka dni przed naszem przybyciem. Kollegium Modlin utrzymuje wyborny chór śpiewaków. Ci więc, wchodzą rano na wieżę kaplicy kollegium wzniosłą i panującą nad całą okolicą, i jak zorze zajaśnieją

odśpiewują chórem na cześć dnia tego starodawny łaciński hymn:

Te Deum patrem colimus,
Te laudibus prosequimur etc.

Odgłos śpiewu tego o pierwszéj rannéj zorzy i wśród trwającéj cichości jeszcze nocnéj pomroki, ma sprawiać wrażenie nie do opisania i wielu przez całą noc czuwa aby go słyszeć *).

Tuż wedle Modlinu, bo tylko przez ulicę znajduje się Ogród botaniczny. Wstąpiliśmy więc do niego. Założony on przez hr. Danby r. 1632, jest więc jeden z najdawniéjszych. Okazała brama do niego prowadzi, a na niéj z obu stron w niszach figury królów Karola I i II. Ogród ten w porównaniu z londyńskim i w Chiswik jest mały, ledwie dwa morgi polskie zajmujący. Najrzadsze gatunki roślin w nich się pielęgnują a osobliwie w oranżeryi przechowuje się ich wiele z pod sfery podzwrotnikowéj. Nad rzeczką tam przepływającą widzieliśmy piękną wierzbę babilońską zasadzoną tam według daty na niéj wyrażonéj, prawie równocześnie z założeniem ogrodu. A że ogród był założony na miejscu gdzie miał znajdować się dawniéj cmentarz żydowski, wierzba stoi więc tam samotna nad wodą z gałązkami obwisłemi, jakby płacząca nad grobami tej rasy, która i tu nieuszła srogiego prześladowania. Dziś zmieniła się opinia, że nawet przypuścili ją do zasiadania w Radzie narodowéj. Profesorem Botaniki jest Dr Daubeny: był wtenczas chory.

Od Ogrodu Botanicznego szliśmy ulicą Wysoką (*High Street*) najgłówniejszą w mieście, pomijając po prawéj

*) Przychodzi tu na myśl nasz hajnał z wieży Maryackiéj, który się także na dniu 1 maja rozpoczyna. (P. R.)

i lewéj stronie różne kollegia z pysznemi ich facyatami, aż stanęliśmy przed kollegium Balliol najcelniejszem obecnie z wydawania znakomitych nauką wychowańców. Przed nim zatrzymał nas p. Turner, abyśmy się przypatrzyli pomnikowi wzniesionemu dla trzech biskupów Cranmera, Ridley i Latimera, którzy za panowania królowéj Maryi na tem miejscu byli spaleni, a za co ta królowa do dziśdnia w dziejach kraju jest mianowaną *Bloody Mary.* Pomnik ten można policzyć do rzędu najozdobniejszéj architektury gotyckiéj, wybudowany na wzór Krzyża Eleonory znajdującego się w Waltham, lecz przewyższający go nierównie swą ozdobnością. Po środku na nim są trzy nisze czyli framugi, w których figury trzech biskupów są pomieszczone. Monument wykonany według abrysu podanego przez p. G. Scott, a figury biskupów są dziełem snycerza Henryka Weeks, ucznia sławnego Chantrey. W napisie u dołu wyrażono dla czego pomnik ten był wzniesiony. Węgielny doń kamień położono 19 maja r. 1841; powstał ze składek uniwersytetu i miasta. W kościele uniwersyteckim św. Maryi znajduje się przeznaczona na cześć tych trzech męczenników Reformacyi, jedna jego część, zwana *Martyrs' Aisle.* Z nich pierwszy Cranmer zostawał przez lat kilka w blizkich stosunkach i ciągłéj korespondencyi z uczonym naszym rodakiem Janem Łaskim, albo jak go w pismach tamtoczesnych mianują *Johannes a Lasco.*

Już się zbliżała szósta godzina, która jest obiadową w Kollegiach. Niechcąc i niemogąc dłużéj nadużywać grzeczności łaskawego przewodnika naszego p. T. wróciliśmy się nazad. Powracając po drodze p. T. dał nam instrukcye coby nam nawet trzeba jeszcze widzieć; przyrzekł przysłać nam nazajutrz listy ułatwiające wstęp do niektórych zakładów; jako to do zwiedzenia Drukarni uniwersyteckiéj (*Clarendon Press*), gdzie bez rozkazu delegatów nie wolno nikomu wejść. Nakoniec roz-

stając się, zaprosił nas do siebie na pojutrzejszy dzień do Kollegium na obiad.

Mając cały następny dzień dla siebie, wzięła mnie ciekawość być na któréj prelekcyi uniwersyteckiéj. Powiedziano nam: że w Modlinie Profesor Filozofii moralnéj, Mansel (B. D.) tego dnia wykładał Etykę; więc tam naprzód pośpieszyliśmy. Niebyło jeszcze nikogo w sali, jakeśmy tam przybyli; sala zaś była przepyszna, ozdobna obrazami, w niéj stały w pewnym porządku ustawione stoły — łatwo można było zgadnąć, iż to był refektarz obrócony na *auditorium*. Tąki zwyczaj i w innych Kollegiach bywa, że sal jadalnych używają czasem na sale prelekcyj. Zeszli się niezadługo do niéj studenci, niebyło ich wszelako wiele więcéj nad dwudziestu, tak mało ich uczęszcza na profesorskie czyli publiczne lekcye; gdyż nauki udzielają się głównie w Kollegiach. Tryb ten uczenia jest właściwy dawnym uniwersytetom angielskim, mianowicie w Oxford i Cambridge, i nazywa się *tutorial system*, obok którego prelekcye profesorskie bywają tylko dopełnieniem lekcyj kolegialnych. W uniwersytetach nowszéj fundacyi przeciwnie dzieje się, nieznają pierwszego systemu, a wychowanie polega jedynie, tak jak u nas na uczęszczaniu na prelekcye profesorskie. Lecz o tem mówię nawiasem jedynie dla wyjaśnienia przyczyny, dla czego Profesor Filozofii nie miał większéj liczby słuchaczów, chociaż uniwersytet oxfordzki, jak późniéj miałem sposobność przekonać się, nie jest pośledniejszym jeśli nie jest wyższym od wszystkich innych.

Nadszedł niebawnie prof. Mansel. Przedmiotem jego prelekcyi był Arystoteles o Obyczajach *ethica* mianowi-

cie księga IX, gdzie mowa „o przyjaźni“ i różnych jéj rodzajach. Z niej wyjaśniał, idąc w ślady Stagiryty, rozmaitość zobopólnych stosunków jakie zachodzą między pojedynczemi osobami, i również powinności jakie każdy ma dla ogółu spółeczeństwa; uzupełniając brak czystszego o nich pojęcia w Arystotelesie przytaczaniem pism Platona, któremu w wielu razach przyznawał wyższość nad pierwszym. Nie tłumaczył on słów greckich bo tego nie było potrzeba, gdyż studenci w Oxfordzie doskonale z greczyzną są obeznani; lecz właściwie komentował tylko nad textem, wywijając z niego zasadnicze prawidła. Sposób ten był zbyt scholastyczny, jak mi się z początku wydało, nieposledniejszym przecie był od któregobądź nowszego jakiby natomiast mógł być użyty; miał on powagę wieków za sobą. Były wieki, kiedy cała mądrość akademij zasadzała się na Arystotelesie, i tu widziałem, pomimo tylu nowszych gdzieindziéj wziętych teoryj, zachowaną jeszcze powagę i uszanowanie dla niego. Niemałą bo wcale niespodzianą było dla nas nowiną, mieć wznowiony przed sobą ten dramat scholastycyzmu; poglądać na uczącego i uczących się *togatos*; słyszeć brzmienie mowy ateńskiéj rozchodzące się po gmachu, poobwieszanym na około wizerunkami mężów w infułach i rycerskich zbrojach, i samą swą gotycką budową i ozdobami sięgającym średnich wieków.

Widok tego przedstawił mi w wyobraźni ową bursę *philosophorum* Akademii Krakowskiéj, a w niéj Sebastyana Petrycego wykładającego księgi Arystotelesowe o *Ekonomice*, *Polityce* i o téj saméj *Etyce* jako się każdy na świecie ma rządzić, któréj słuchałem właśnie wtenczas wykładu. Przypomniało mi się też przytem, ilem raz w Galicyi nad Sanem doznał rozkoszy z czytania foliału *Polityki* Arystotelesa tłumaczonéj po polsku przez S. Petrycego, a szczególniéj z uczonych jego

objaśnień i ważnych dodatków tyczących się wielokrotnie ówczesnego rządu w kraju własnéj jego i naszéj ojczyzny. Niema dzieła pożyteczniejszego do upowszechnienia nad ten przekład polski Arystotelesa i dziwi mnie, że dotąd nie zostało wydrukowane. Czyli to czasem nie dla tego, jak to sam Petrycy, mówiąc o swych *przydatkach*, się wyraża:

„Wiem iż dowcipy polskie w czytaniu uważnych rze„czy są tęskliwe, chcą prędko co porwać bez prace i „chcą być w lot uczonemi; rychléj czytają fraszki dwor„skie, niżli poważne rzeczy, łacne niż trudne; więc i ta„kim — mówi on — chciałem dogodzić“. A zatem, samo to ostatnie powodzenie powinnoby nietylko znaleść mu nakładcę do przedruku, ale i czytelników. Były więc i u nas czasy, jak z tego porównania okazuje się, kiedy Arystotelesa nauki kwitnęły i dobrze przyjmowały się: a niechciałbym ręczyć, czy wyrugowanie ich a zastąpienie przez odmienne teorye filozoficzne nie przywiodło rzeczypospolitę Polską do upadku. Najpotężniejszy naród, któremu niemożna zaprzeczyć, żeby nieposiadał znajomości wszelkich teoryj politycznych, lub moralnych, niewyrugował przecie w wychowaniu młodzieży ani Arystotelesa z dawnego jego stanowiska w instytutach naukowych, ani też któregokolwiek z klassyków greckich lub rzymskich, jak to dzieje się w krajach na niższéj stopie organizacyi politycznéj stojących. Jest coś w onych wyższego i gruntownie zasadniczego, czem nam bezkarnie pogardzać nie godzi się.

Na tę myśl naprowadził mnie wykład Prof. Mansel ksiąg Arystotelesa, w uniwersytecie Oxfordzkim i porównanie go z naszym Petrycym, uposażycielem Bursy filozoficznéj w Krakowie. Z Modlinu udaliśmy się na drugą publiczną prelekcyę w Balliol kollegium, która była o Chemii. Był to skok na 2500 przeszło lat od Arystotelesa, a blisko na trzy wieki od Petrycego. Tu zasta-

liśmy prof. Brodie wykładajacego teoryą, ale teoryą na doświadczeniu opartą — o przerabianiu rudy żelaznéj na stal — na stal twardą i kruchą — z twardéj i kruchéj znów na giętką — i robiącego różne inne manipulacye ze stalą. Na ostatku, za pomocą rozpalonéj rury żelaznéj rozłożył wodę na kwasoród i wodoród. Był to znany experyment Priestleja, i woda od jego czasu przestała być uważaną za element. I tak od scholastycyzmu, którego metoda była głównie syntetyczną, przeszliśmy od razu do metody analitycznéj czyli filozofii indukcyjnéj, opartéj na dociekaniu praw natury i zastósowaniu ich do potrzeb codziennych życia, a na czele któréj stoją Bacon i Newton jako przewodnicy. Jéj winniśmy największą część wynalazków za nowszych czasów i szerzenie się coraz większe panowania człowieka nad naturą....

Jakoż i pod tym względem uniwersytet chce iść za potrzebą i wymagalnościami wieku. Wznoszono właśnie wtedy budowę za miastem — widzieliśmy ją — na wystawę przemysłu i sztuk, mającą przytem obszerne laboratorium chemiczne, i dwie sale na prelekcye. Nie była jeszcze ukończoną. Widzieliśmy tylko jéj mury bez dachu, część jego ma być pokryta szkłem. Gmach cały gotyckiej z XIII wieku architektury, ogromny w czworogran; bo wszystko cokolwiek uniwersytet podejmuje, nosi obszerne rozmiary. Zakładano go tak widocznie, w przewidywaniu dalszego rozwoju umiejętności materyalnych.

Jednym jeszcze z najciekawszych zakładów jest drukarnia uniwersytecka, czyli *Clarendon Press* od pierwszego jéj założyciela tak nazwana. Otrzymawszy na piśmie pozwolenie, udaliśmy się do niéj. Jest to zakład drukarski, albo raczej instytucya, z jakiéj się żaden uniwersytet prócz oxfordzkiego chlubić nie może. Facyata jéj imponująca, w stylu architektury włoskiéj

z kolumnami. Dziedziniec z pięknym trawnikiem, z sadzawką wody po środku na przypadek pożaru, i oraz mieszkanie dla dwóch dyrektorów drukarni. Oprowadzono nas po obu skrzydłach tego drukarskiego gmachu: w jednem drukowano książki angielskie, a w drugiem w różnych obcych językach. Widzieliśmy tu w druku pisma hebrajskie, ormiańskie, syryjskie i sanskryckie. Druki te należały po większéj części do biblij, liturgii anglikańskiéj i rozmaitych broszurek religijnych zwanych „tracts“, które misyonarze angielscy pośród ludów mówiących rzeczonemi językami rozwożą i tylko jeden uniwersytet Oxfordzki i Cambrydzki mają przywilej je drukować. Tak zaś je tanio wydają, że drukarnie ich nie mogłyby się utrzymać, gdyby nie drukowano w nich pism innych szkolnych lub nowych wydań klasyków starożytnych. Niewidziałem tam nic coby nie było poważnem i uczącem. Przechodziliśmy kilka pokojów, a w nich leżały ogromne stosy autorów greckich i łacińskich, foliały ojców kościoła, i przedruki rzadkich ksiąg ze średnich wieków. Z nowocześniejszych widziałem wznoszące się w wielkich stosach: *Novum Organum* Bakona, *Excerpta ex Principiis naturalis philosophiae* Newtona, *Introduction to the Atomic Theory* przez Prof. Daubeny i wiele innych dzieł historycznych polemiczno teologicznych, i nawet biograficznych. Gramatyki i słowniki znajdują się drukowane prawie wszystkich znanych języków: widziałem tam nawet *Lexicon Aegiptiaco Latinum*, zebrany z napisów na dawnych egipskich pomnikach; z wyjątkiem znowu jedynego języka a nim był — słowiański. Ten zostawał wcale nieodgrzebanym dla nich skarbcem. Niedawno niektóre słowniki niemieckich filologów przerobione zostały na użytek dla Anglików, jako to: Schellera słownik łacińskiego języka przez J. Riddle M. A. i Passowa grecki słownik przez H. Liddell M. A. i Dra Scott. Do najkosztowniejszych

uczonych wydań należą: *Etymologicon magnum in folio*, i *Suidae Lexicon post L. Kusterum* trzy tomy *in folio*; oba wydane za staraniem uczonego filologa Guisforda. Wielka robi się przysługa dla literatury tem ułatwieniem wydawnictwa większych dzieł, na które pisarzom trudno byłoby między księgarzami znaleść nakładcę i pomimo ich zalet musiałyby pozostać niedrukowane.— Spis wszystkich takich dzieł ogłaszany corocznie w Kalendarzu uniwersyteckim. Drukowanie ich wykonywa się z wszelkiemi przyrządami nowoczesnych wynalazków. Machiny hidrauliczne nadzwyczajnéj siły używane są dla ściskania papieru dla nadania mu potrzebnéj gładkości, jaką druki wychodzące z téj drukarni celują.— Prasy do odbijania druków są poruszane machiną parową: jedne pojedyncze to jest na jednéj stronie arkusza druk oobijające, drugie podwójne, odbijające od razu na dwóch stronach arkusza, przechodząc z jednego walca pod drugi. Przy téj dwóch tylko młodych chłopców używano, jednego do podawania, drugiego do odbierania odciśniętych arkuszów. Przy téj tak ułatwiającéj sile pracę drukarską, używano w drukarni 150 osób, a czasem nawet i więcéj. Drukarnia ma w pobliżu swą własną papiernię, co ułatwia wydawanie pism z mniejszym kosztem. Najnowszem dziełem co wtenczas właśnie z pod prasy wyszło, był Gladstona *Homer*, czyli charakterystyka pism tego ojca poetow, obejmująca wiele nowych postrzeżeń. Gladstone były minister skarbu, a obecnie reprezentujący uniwersytet w Izbie niższéj, był jego wychowańcem.

Dziwny to rys w charakterze angielskich ludzi stanu że przy piastowaniu najwyższych urzędów, wolne chwile poświęcają pracom naukowym. Były minister skarbu p. Lewis wydał podobnież charakterystykę pism Liwiusza że pominę tu innych, a takich jest wielu, co od trudów urzędowania wytchnienia dla siebie w naukach

szukali. Podobnie czynili niegdyś mężowie stanu u nas; wiek złoty literatury polskiéj, dochował nam ich imiona, gdyż właściwie oni dali mu początek.

Przegląd tego zakładu drukarskiego zabrał nam nieco czasu, i nie wróciliśmy aż dopiero po 5téj do naszego mieszkania, a pamiętając żeśmy tego dnia mieli być na obiedzie w kollegium Brasenose, udaliśmy się tam na naznaczoną godzinę. Po zobaczeniu się z p. T. w parę minut to jest o saméj 6téj usłyszeliśmy dzwonienie, co było znakiem na schodzenie się na obiad. Zszedłszy na dół przeszliśmy przez dziedziniec, bo refektarz był na drugiéj stronie. Tu zastaliśmy już większą część studentów zgromadzoną, a było ich z 80 zabierających swe miejsca podług swych stopni u trzech stołów, a nas jako gości zaprowadzono do stołu przeznaczonego dla zwierzchności kollegialnéj i magistrów. Gdy wszyscy byli na swych miejscach, jeden ze studentów przyszedłszy z tak zwanym *trencher* (spłaszczony krąg dębowy), położył go na stole, przed prezydującym, sam zaś stał przy nim. Prezydujący powstał z krzesła i uderzył kręgiem w stół. Na to uderzenie wszyscy powstali, ucichło w całéj sali. Ów student wtedy stojący zabrał głos i odmówił modlitwę. Modlitwa ta była w łacińskim języku i znacznie dłuższą od zwyczajnych, jakie odmawiane bywają przy obiadach. Uderzyła mnie ta zachowawczość starożytności i niemal mnichowstwo; a że całe zgromadzenie, z wyjątkiem nas dwóch gości, było w togach, ujrzeliśmy się więc jakby zabłąkani w tem gronie średniowiekowych zakonników z tą tylko różnicą że byli bez bród i bez tonzur. Co do samego stołu, kłasztory wedle opisów dawanych przez powieściarzy, bywały od wieków sławne z wyborności; jakoż i ten, który miano w tem refektarzu, nie był pośledniejszy dobrocią od klasztornych. Dla ciekawych w kraju opiszę go, bo był czysto angielski i jaki An-

glicy lubią. Obiad ten był *minus* zupy, bo prawdziwi Anglicy „pomyjek“ francuzkich, jak ją zwykli nazywać, wcale nielubią, chybaby to była zupa żółwiowa. Począł się on od ryby wybornie usmażonéj z dodatkiem zwyczajnych do niéj sosów maślanego i soji. Po rybie nastąpiła pieczeń jagnięcia, którą sam prezydujący krajał, i lokaje ją obnosili, a do niéj był sos miętowy, ziemniaki, szparagi kapusta morska (*sea-kaile, crambe maritima.*) Pasztet z gołębi. Budyń oxfordzki z polewą, paszteciki z śmietanką i sér na dokończenie obiadu. Co do napoju piwo angielskie *Ale* i wino Sherry i Oporto, obadwa wybornego gatunku. Wino było tylko dla stołu magistrów, dla studentów na innych stołach daje się tylko *Ale*. Czy było co więcéj nadto, niewiem bom nieuważał. Lecz i na tem już dosyć. Dla podróżujących ziomków chcę tylko tu dodać, iż obiad taki, gdyby go zamawiano w hotelach angielskich, kosztowałby najmniéj półtora dukata, a niebyłby tak wybornie urządzony; nierachując w to rozumie się trunków, bo te zawsze w hotelach oddzielną kategoryę stanowią. I tak nie tylko umysł, ale i smak zastałem tam ukształcony. Po skończonym obiedzie znów prezydujący dał znak do powstania, i ów student stojąc przy nim, znów w łacińskim języku odmówił modlitwę dziękczynienia. Poczem młodzież się rozeszła, a starszyzna odroczyła swe posiedzenie do sali *Comonon Room.*

Ten sam zwyczaj przyjęty i w innych kollegiach!, i nigdy od niego nieodstępują, rozciąga się on nawet do wyższych klas społeczeństwa angielskiego, i niewiele mylilbym się może w twierdzeniu, że od uniwersytetu był przyjęty, bo on od wieków był *arbiter elegantiarum*, tak dalece, że studentów oxfordzkich można poznać po samém węźle jakim chustkę na szyi zawięzują, a który znany jest jako *Oxford tie*. Łaskawa *Alma Mater*

tak ugładza swych wychowańców, nim ich w świat wypuści.

Po obiedzie weszliśmy jakem mówił że starszyzną do sali *Common room*, do téj saméj com ją wyżéj już opisał. Porządek w niéj zastaliśmy ten sam co pierwéj, stoliki i krzesła, ustawione w półksiężyc, przyniesiono karawki z winem, rozdawano kawę, po niéj herbatę. Lecz o to mniejsza.

Rozpoczęła się konwersacya, jak zwykle poważna, lecz bez najmniejszéj pedanteryi. Dzienniki wieczorne z Londynu nadeszły, więc przedmiotem rozmowy była na chwilę polityka, bo bez tego żywiołu anglik żyć niemoże. Wszystko jak uważałem ich interesowało, nie dla tego jedynie, że kraj ich miał w czem jaki wyłączny interes, lecz że każdy punkt ziemi nie mógł nie być przedmiotem rozwagi dla ludzi z sercem i światłych. Zajmował ich los rasy afrykańskich murzynów i zaprowadzenie lepszego urządzenia w Indyi, zajmowała organizacya Księstw rumuńskich, zajmowała Czarnogóra; a gdy to w potocznéj rozmowie się wyczerpało, przypadkiem zapytany byłem, com u nich zwiedził i com widział? Odpowiedziałem, żem widział wiele, nawet więcéj niżem sobie marzył. Jednéj tylko rzeczy niewidziałem, a to nic słowiańskiego. Nietaiłem przed nimi mego zadziwienia i niemal żalu, że chociaż mieli u siebie katedry na wszystkie języki, tak europejskie jak azyatyckie i profesorów co ich uczą, dla jednéj słowiańszczyzny widziałem u nich obojętność; ani jéj język ani literatura nie były im znane, a przecie to rasa jak im mówiłem, najliczniejsza w Europie, bo licząca do 100,000,000 ludności. Od wielu wieków handel na Baltyku połączał Anglią z Polską, poselstwa Polskie już przyjmowane były przez Elżbietę, ich królowę, Anglia też utrzymywała w Polsce swych posłów, aż do ostatnich czasów; a przecie, prócz jednych łacińskich pisa-

rzy, Długosza, Kromera i Sarbiewskiego, trudno było dojrzeć jednéj Polskiéj księgi w bogatych ich bibliotekach. Pod samym względem filologicznym polski język jako i inne słowiańskie narzecza powinnyby, rzekłem, zasługiwać na ich uwagę, bo są ważne. Nadmieniłem że z pochodzenia swego najbliżéj one spokrewnione z sanskrytem, do którego oni mieli katedrę i że sama księga mądrości indyjskiéj *Veda* była nasza „wiedza": sanskrycki *Om* nasz „um" rozum i t. d. Dodałem nadto iż dość wziąść słownik angielski, aby znaleść w nim mnóstwo słów słowiańskich, cytowałem im niektóre takie wyrazy, a między innemi: *Lady* (pani) która snadź pochodzi od *Łada* słowiańskiéj bogini, symbolu piękności i symetryi, a zkąd w języku naszym wywodzi się ład, ładny. Samo słowo posiłkowe angielskie: *be* i *been* zdaje się odnosić do słowiańskiego źródła. Wyrazy te w ich mowie znachodzące się, zwykle należą do rzędu najużywańszych w pospolitém życiu jako to: *stack* stóg siana, *plough* pług, *murk* mrok, *scrub* skrobać, *beat* bić i t. d. Jakim sposobem one się do języka angielskiego wcisnęły nieumiałem sobie i im tego inaczéj wytłumaczyć, jak że część Celtów, która w Anglii osiadła przeciągając przez słowiańskie krainy na zachód, lud słowiański ze sobą zabrała, jak to było wówczas we zwyczaju wędrownych hord zwycięzkich, tu go sprowadziła, albo że Anglo-Sasi lub Duńczycy w najazdach swych na Brytanią, mieli z sobą znaczną liczbę Słowian z nad Elby i z Pomorza, którzy tu osiadłszy język swój przelali. Jedno i drugie być mogło, a ostatni mój domysł zdaje się potwierdzać jedno z hrabstw angielskich, które nazwano *Wiltshire* od Wiltów Słowian mieszkających między Elbą a Odrą. Co więcéj we własnych uniwersytetu dokumentach natrafiłem na dowód, ile angielski język był przepełniony słowiańskiemi wyrazami,

kiedy to co się zowie naród *people* (wyraz normancki) zwane było *lewd* „lud“. *)

To nasiąknienie że tak powiem Europy słowiańszczyzną dało mi powód przy końcu méj z nimi rozmowy, do wyrzeczenia, iż nikt odtąd niepowinien podejmować się historyi Europejskiéj, kto się nie obeznał ze słowiańszczyzną.

Niezaprzeczali ważności katedry słowiańskiéj i że ona jest potrzebna. Miano nawet w projekcie aby ona była przy Instytucie Taylora do uczenia nowoczesnych języków; lecz jakem już wyżéj powiedział, ten projekt został skrzywiony. Mówiąc o tem dowiedziałem się jednak od Dra S. jednéj rzeczy, co mnie mocno zdziwiła, albo raczéj nie tyle zdziwiła, bom się znał na niéj, ile uderzyła swą nowością. Wszakże to cesarz Mikołaj zrobił był propozycyą Uniwersytetowi, aby mu wolno było jego kosztem ustanowić katedrę słowiańską, to jest rosyjską. Lecz uniwersytet nie dał się pobić tą wspaniałością samodzierżcy północy, przewidując że na mocy tego daru byłby rościł sobie prawo do nominowania od siebie także profesora na katedrę, wręcz odrzucił tę propozycyą. Jako instytut narodowego wychowania nie chciał mieć nic obcego, by go niezwichnąć nieskalać obczyzną. Tu dopiero pojąłem moc i całe znaczenie owéj przysięgi jaką słyszałem dyktowaną dla bakalaureów, a według któréj żaden obcy monarcha ani obcy prałat nie miał posiadać żadnéj władzy i jurysdykcyi w królestwie, bo przyzwolenie na nie było herezyą, czyli w innych słowach zdradą kraju. Są pewne maksymy, których wyższym instytucyom przekroczyć nie

---

*) Wyraz ten użyty przez Henryka III w normando-saksońskiéj jego odezwie z wieku XII, do mieszkańców w Ofxordzie, czyli jak ich mianuje, *subjects, learned, and lewd* co wytłumaczono na *clergi and laity.*

wolno bez uszczerbku dla nich i dla kraju. Uniwersytet który tak jest niepodległym że własnemu rządowi nic u siebie dyktować niepozwala i niczego od niego nie wymaga oprócz opieki nad sobą, niemógł bynajmniéj przypuścić mięszania się wpływu obcego bez narażenia swéj niepodległości na szwank. A przeto też nienaraził jéj, ani, co więcéj, nie uchybił godności narodowéj. Jako ciału tak patryotycznemu nietrudno było mu przejrzeć, co się pod tą nieproszoną ofiarą knuło. Niedał się też uniwersytet nią złudzić. *Timeo Danaos et dona ferentes.* Niemożna to samo powiedzieć o uniwersytetach kontynentalnych, iż i w nich równie baczono na tę przestrogę, i że monarsze, który w swem państwie zniósł dwa uniwersytety i kilkaset szkół, niechodziło o szerzenie nauk lecz wcale odmienne wpływy. Uniwersytet byłby za ciemny gdyby się niepoznał co się pod tem święciło.

Sława miéjsc nie odrazu powstaje, ani się utrwala; trzeba długiego czasu, aby w nich opiekuńczy duch miejsca, ów znany *Genius loci* zamieszkał, i wprzód ją utrwalił. Tak się działo z Oxfordem. Statystyczny jego opis starego zamczyska jego i murów, zamieszkałych jego domów i gospód (*domus hospitatae*) o jakich czyta się w Domesdąy księdze, dowodzą dawniejszego tego miasta istnienia i oraz Muz siedliska. Alfred W. nietyle był założycielem ile wskrzesicielem uniwersytetu, bo nauki w nim dawniéj istniały. Najazd duńczyków zatracił wiele pierwotnych dokumentów historycznych wyjaśniających dawny stan jego, karty dziejów jednak wskazują na niepospolitą ważność Oxfordu w ówczesnéj epoce, tak pod względem urządzeń municypalnych jak akademickich. Za pozbyciem się najezdników z Da-

nii, i po zapomnieniu skutków z późniejszego najazdu Normandów i krzywd przez nich zrządzonych, ożył nanowo duch naukowy. Opactwo Augustyanów w Oseney stało się wielką szkołą dla nauk, współubiegał się z nimi zakon Benedyktynów w tym samym zawodzie. Mieli oni pole popisowe, zwane marsowem (*Campus Martius*) gdzie nie z orężem, lecz z ostrzem dyalektyki występowali do walek z sobą. Miejsce to trudne teraz do oznaczenia, miało tylko być gdzieś nad źródłem wody, a które nosiło nazwę źródła Platona i Arystotelesa. Tu nauczyciele obowiązywali się do odprawiania nabożeństw i kazań, tu upominali uczniów do posłuszeństwa przełożonym, do życia między sobą spokojnie, skromnie, czysto i świątobliwie. Byli w ich liczbie świeccy i zakonni pierwszych atoli nierównie więcéj. Porządek i przedmioty nauk, jakie w dawnych szkołach wykładano, był następujący: gramatyka, retoryka, loika, arytmetyka, muzyka, geometrya, astronomia, filozofia moralna i fizyka.

Mateusz z Paryża opisując uniwersytet świadczy, iż za jego czasów było w nim mnóstwo studentów z różnych stron i że roku 1209 odstrychnęło się od niego, nie wymienia jednak z jakich przyczyn blizko 3,000 nauczycieli i uczniów. Buntu takowego i akademia krakowska w późniejszych czasach była świadkiem z powodów religijnych, które podobno i w Oxfordzie mogły stać się do odszczepieństwa przyczyną. Że ruch naukowy musiał za owych czasów być nadzwyczajny, dość zważać na liczbę poświęcających się naukom. I tak roku 1209 widzieliśmy samych odszczepieńców 3,000 nauczycieli i uczących. We 22 lat późniéj r. 1231 podnoszą ich liczbę prawie do bajeczności, bo do 30,000; roku 1263 o połowę mniéj, bo 15,000; r. 1350 tylko 3,750, ale z przyczyny panującego moru; r. 1,360 poskoczyła ich liczba do 6,000; r. 1612 zaś tylko 2,920 i

r. 1831 mieszkających w kollegiach 1,634; a r. 1837 ogółem mieszkających i niemieszkających 5,229. Wyczytałem przytem, że u Ś. Maryi (*St. Mary's Inn*), założonéj w 14 stuleciu, znajdowali się uczniowie z Węgier, z Czech i z Polski. Ztąd widać, iż pod koniec średnich wieków, jeźli nierychléj, uniwersytet Oxfordzki był odwiedzany w celach naukowych przez uczniów z najodleglejszych narodów; w tem też równy mu był uniwersytet krakowski, gdzie przyjeżdżała młodzież z Węgier, Niemiec, Szwecyi i Dalmacyi i gdzie zakładane były osobne domy na bursy dla pomieszczania uczniów z różnych nacyj. Te domy nazywano w Oxfordzie gospodami (*inns*). Gospody takowe czyli *contubernia* były także w Krakowie i liczba uczącéj się młodzieży wielka, kiedy Sołtykowicz pisze (ob. str. 541), w samych niższych szkołach, gdzie jedynie gramatyki, poetyki, retoryki i dyalektyki uczono, znajdowało się przeszło 3,000 uczniów.

Za nowszych czasów, czyli w epoce reformacyjnéj musiało wielu Polaków do Oxfordu uczęszczać. Książe Radziwiłł gorliwy protestant utworzywszy dla litewskiej młodzieży duchownego stanu seminarya w Królewcu, w Marburgu, i przy którymś z uniwersytetów holenderskich, ufundował był także stypendya dla dwóch kandydatów do pobierania nauk w Oxfordzie; jak podobnież pewien Brown z Zamościa ufundował był insze dla Polaków protestantów przy uniwersytecie w Edynburgu, z którego Polacy nawet w ostatnich czasach użytkowali. Wiedząc o tem, pytałem się w Oxfordzie czy przechowuje się wiadowość o powyższéj fundacyi Radziwiłłowskiej, lecz nieumiano mnie o tem oświecić. Wina w tem niedbałości konsystorza ewangelickiego na Litwie, że długo nikt nie był przysyłany, i fundusz musiał zlać się z ogólnemi funduszami kollegium przy którem był ustanowiony. Może jeszcze kiedy tego dotrę, choć to teraz

już na nic się nie przyda. W Królewcu istniały stypendya Radziwiłłowskie do najnowszych czasów, i było nadto seminarium polskie przy kalwińskim zborze do kształcenia się w języku polskim.

Lecz to tylko mimochodem. Niegodziło się bowiem, mojem zdaniem, pominąć usiłowań jakie przodkowie nasi nie tylko w stosunkach politycznych i handlowych na podniesienie kraju czynili, aby chwalebne ich chęci nie poszły w zapomnienie, i aby przykład z nich brali ich następcy.

Niejeden z czytelników zapewne ciekawym będzie wiedzieć, jakich też ludzi sławnych uniwersytet liczy z pomiędzy swych wychowańców. Widząc w tem zupełną niemożność zaspokojenia ciekawości, nie mogę niezwrócić uwagi czytających rodaków jaki to poczet akademia krakowska, choć młodsza od niego, ich wydała słynnych w kościele, senacie i w różnych zawodach życia publicznego. Uniewinnienie więc spodziewam się znajdę w tem dla siebie, jeśli się na wymienieniu tylko kilkunastu z licznego ich pocztu ograniczę. Pomiędzy nimi jest Wycliffe, pierwszy tłómacz biblii na język angielski patryarcha reformacyi, umarł r. 1384. Fox, pisarz martyrologii, historyk Gibbon; poeci, Addison i Collins, Hampden patryota i wódz, prawnicy: Pembroke, Pym i Blackstone; Whitfield, założyciel sekty metodystów; Harvey, odkryciel cyrkulacyi krwi, Johnson pisarz słownika angielskiego; filozofowie: Roger Bacon, Tomasz More Locke, Adam Smith pisarz o ekonomii politycznéj; politycy: kardynał Wolsey, Canning, Peel. Co do duchowieństwa wystawić sobie można, o ile ta Alma Mater w wychowańców swych była płodną, kiedy jedno Balliol kollegium wydało 21 biskupów, 6 arcybiskupów, jednego kardynała i jednego patryarchę alexandryjskiego.

W poczcie tylu wychowańców znajdują się niemniéj wychowańcy z krwi królewskiéj. W kollegium królewskiem (*Queens College*) pokazują pokoje, gdzie dwaj z nich: Edward, zwany Czarnym (*Black Prince*) i król Henryk V mieszkali. Na szybie okna gdzie ostatni mieszkał, widać wyryte wyrazy:

In perpetuam rei memoriam
Imperator Britaniae
Triumphator Galliae
Hostium victor et sui
Henricus V.
Parvi hujus cubiculi
Olim magnus incola.

Po obejrzeniu wszystkiego co na prędce można było widzieć w mieście, pozostało nam jeszcze trochę czasu na obejrzenie się w jego okolicy. Wyszliśmy więc odwiedzić jednego ze znanych nam akademików w kollegium *Corpus Christi*, który się nam wprzód był ofiarował być naszym przewodnikiem. Zaprowadzeni do jego mieszkania, zastaliśmy go czytającego o Rzeczypospolitéj Platona, w greckim oryginale. Oderwał się od swéj księgi i zgadując o zamiarze w jakim przyszliśmy, oświadczył się z ochotą nam towarzyszyć. Z nim wyszliśmy za obręb miasta na przechadzkę. Najbliższe miejsce gdzie nas zaprowadził, było tak zwane *Broad Walk*. Jest to łąka na 50 morgów obszerna, należąca do kollegium Chrystusowego, lecz gdzie publiczności dozwolono wejścia na przechadzkę. Tu w cieniu rozłożystych kasztanów, wysokich wiązów i krzewów rożnego drzewa, szli-

śmy groblą żwirem wysypaną, wijącą się nad brzegami rzeczek Cherwell i Isis. Przyjemne miejsce i ponętne, dla pracujących głową, i jakby umyślnie na to urządzone, aby im przechadzającym się w tych cienistych aleach osobliwie w czasie skwarów letnich, strudzone myślą czoła ochładzać, umysł i ciało orzeźwiać. Tu niejeden z uczonych teologów, niejeden z wielkich ludzi stanu i filozofów wytchnienia od pracy szukał i dumał. Isis też i jéj brzegi są tem dla oxończyków, czem był niegdys Illisus dla filozofów ateńskich; na brzegach obu rozwięzywane były najtrudniejsze i najzawilsze zadania znajomości ludzkich i polityki. Przy tem dziwnie mi się Isis przedstawiała na same wejrzenie na nią, a z czego mogłem sądzić, iż uniwersytet bynajmniéj niewychowywał swych uczniów na samotnych odludków, na pedantów, lub ideologów. Palestrę naukową połączał on z palestrą praktyki, tamta tylko służyła do rozwinięcia samodzielności w młodzieży, aby ją tem silniéj usposobić do praktycznego życia. Widziałem tam to, czego mi się nigdzie w innych uniwersytetach widzieć nie zdarzyło, a możeby nawet niepochwalano. Przechodząc napotykaliśmy czołna i łódki, mniejsze i większe, a w nich po jednem, po dwóch lub więcéj akademików. Jedni z nich sił swych i zręczności w robieniu wiosłem próbowali, niektórzy spokojnie może dla wypocznienia w nich siedzieli rozmawiając. W niektórych łodziach leżały paki książek i widzieliśmy czytających. Jeden z tych czytelników wydawał nam się być prawdziwym Sybarytą: w jednéj z powiększych łodzi, na przeciwnym brzegu pod pięknym klombem drzew stojącéj i wysłanéj kobiercem, leżał wygodnie z książką w ręce i z głową spoczywającą na czerwonem aksamitnem wezgłowiu. — Wedle niego stała butelka, niewiem czy z szampanem, czy z limonadą — dość że butelka. Sądząc po tym jego komforcie, zakrawał on na

szczep pochodzący może od jakiéj familii lordowskiéj lub milionerskiej. Idąc daléj dowiedzieliśmy się jeszcze więcéj. Ujrzeliśmy bowiem mnóstwo rozmaitych statków na rzece Isis. Przez ciekawość zapytałem: czy one do miasta należały? Przewodnik nasz odpowiedział, że nie. One były własnością uczniów uniwersytetu, i każde kollegium miało swój statek. Były one różnego kształtu i wielkości, łodzie z wiosłami, eleganckie gondole, statki żaglowe i nawet parowce. Jeden parowiec szczególnie się odznaczał, był w kształcie chińskiego dżonku zbudowany, niebiesko pomalowany, z przestronną salą z oknami, a nad nią na wierzchu było miejsce na kapellę. Na tych statkach widzieliśmy snujących się kilkunastu studentów z książkami, którzy jak widać było woleli na wolnem powietrzu niż w swych mieszkaniach studia swe odbywać. Nad spodziewanie nasze ujrzeliśmy się tedy u portu floty akademickiej. Lubo zrazu na widok jéj zdziwiłem się, lecz łacno mi było wytłumaczyć przyczynę tego zjawiska; młodzież narodu trzymającego panowanie nad morzami, i którego wielkość żeglugą wzrosła, niepodobna, by ona mogła nawet przy swych zatrudnieniach naukowych, przytłumić w sobie pociąg do ćwiczeń marynarskich. Więcéj powiem: uczniowie dwóch dawnych uniwersytetów, Oxfordzkiego i Kambrydzkiego, jako współubiegający się z sobą w zawodach naukowych, współubiegają się także o pierwszeństwo w robieniu wiosłem, odbywając od czasu do czasu kursa swe na łodziach. Dzieje się to na Tamizie. Bieżącego roku Kantaby odnieśli zwycięztwo nad Oxończykami, a odgłos tego ich zwycięztwa, albo właściwiéj okrzyków tryumfu dziarskiéj młodzieży podczas wygranéj, rozszedł się był szeroko po całéj Europie, lecz pod odmiennem wcale brzmieniem a nie jakie miał. Łódź jedna Kantabów, nazwiskiem *Emperor* wyprzedzając na tych wyścigach odbywanych po rzece łódź drugą ze stu-

dentami oxfordzkiemi, wzbudziła między widzami przypatrującemi się téj walce głośny okrzyk: *The Emperor a-head*! Ktoś z obecnych niedosłyszawszy dobrze, ani wiedząc o co chodziło, wziął usłyszany wyraz *head* za *dead* (umarł, zginął); a że wtenczas pełno wieści chodziło o ciągłych zamachach na życie cesarza francuzkiego, wytłómaczył to sobie za nowinę, że Cesarz nie tylko był raniony ale nawet zabity, i rozgłosił ją w Londynie. Dostało się to do gazet, które większy dały téj nowinie rozgłos. I tak z tego *quid pro quo* złapanego z powietrza, i z niewinnéj rozrywki akademickiéj młodzieży, wysnuła się czarna zbrodnia, mord królobójczy; sprawiła ona spadnięcie papierów na giełdzie i przez kilka dni trwała niespokojność i wątpliwość, dopóki niedotarto do źródła, zkąd się taka wieść wszczęła.

Ztąd widzieć można, że według systemu zaprowadzonego w uniwersytetach angielskich emulacya młodzieży nie jest tylko w naukach ale i w ćwiczeniach cielesnych, nadających jéj hart duszy i ciała. Studenci jednych kollegiów emulują ze studentami drugich, jak w naukach, tak równie w męzkich zatrudnieniach i rozrywkach. Wyzywają się na nie nawzajem, i idą w zakłady. Bawią się w wolnych od lekcyj godzinach strzelaniem z łukow lub w grę *cricket* *) ulubioną w Anglii. Celowanie w gimnastycznych a męzkich ćwiczeniach uważają sobie za zaszczyt i chlubę. Przypominam sobie jak ów akademik, o którym wyżéj mówiłem, żeśmy go zastali siedzącego w swym pokoju nad Platonem, wpadł raz zadyszany do naszego mieszkania, a było to wieczorem w sobotę, ogłaszając w pierwszych słowach co do nas przemówił swe zwycięstwo. Nie wiedząc jak mia-

---

*) *Cricket* jest rodzajem gry w piłkę, z odbijaniem piłki pałkami. Odbywa się na łąkach lub placach zarosłych trawą a równych. (Jest to nasz *palant*. P. R.).

łem to rozumieć, zagadnąłem go: „A w czem?“ — „W *cricket*“, odpowiedział. „Kollegium nasze wyzwane było przez drugie kollegium. Biliśmy się przez cały tydzień, i dziś przy nas zostało zwycięstwo“.

Oprócz robienia takowych i tym podobnych zakładów wynikających ze zwyczaju narodowego, a w części też z emulacyi młodzieńczéj, nie można obwiniać uniwersytetów angielskich żeby w nich bawiono się szulerstwem lub kosterstwem. Bywają wprawdzie towarzyskie *wine parties*, ale te nie dają się w knajpach, ale we własnych studentów mieszkaniach dla przyjaciół, i nigdy nie wyradzają się w burszowską burzliwość, lecz kończą się przyzwoicie jak na Gentlemanów przystoi. Niemasz burd ni pojedynków. Niema tylko dość hamulca by rozrzutni niepopadali w długi u lichwiarzy podających do tego wszelką sposobność. Zdarzyło się przeszłego roku, że jeden uczeń zadłużył się na 80,000 fst. co krewni spłacić musieli. Ale to wyjątki.

Studenci w ogólności mało mają stosunków z miastem, ledwie nie tyle tylko, że przez ulice przechodzą, bo żyją w kollegiach. Uniwersytet cały jest wyłączny, nie miesza się w niczem z mieszkańcami. On z położenia i zasad swych zachowawczy; miasto przeciwnie jest ledwie nie radykalne. Uniwersytet na elekcyach do parlamentu obiera zawsze dwóch członków zachowawczych a miasto przeciwnie posyła od siebie dwóch członków liberalnych, i tak obadwa w parlamencie równoważą się. —

Kiedy uniwersytet że tak rzekę sam w sobie jest zamknięty, nieudzielając się jak tylko swym inicyowanym i elektom; miasto przeciwnie, na wzór innych miast angielskich, trzyma wszystko i dla wszystkich otwarte. Przez ciekawość zwiedziłem miejską bibliotekę. W przestronnéj sali znalazłem liczny zbiór najnowszych dzieł, dwa stoły założone czasopismami, i celniejsze gazety

londyńskie rozpięte na drewnianych sztalugach do czytania. Kto chciał przychodził i czytał, a w liczbie przychodzących widziałem ludzi różnego stanu, mieszczan, wyrobników i prostych żołnierzy. Nie po jeden raz to widziałem, ale kilka razy, bom sam tam chodził na czytanie dzienników. Od wejścia nic się nie opłacało, bo to wszystko utrzymuje się kosztem i szczodrobliwością miasta dla powszechnego użytku. Zakładanie takich wolnych bibliotek (*free libraries*) dzieje się z polecenia parlamentu, który je uważa za najskuteczniejszy środek do rozszerzenia oświaty między ludem i one od trzech lat po wszystkich główniejszych miastach są zaprowadzane.

Dotąd skreślałem Oxford jak mi się przedstawiał w dni powszedne; dziś dzień niedzielny, opiszę go teraz jak mi się przedstawił w niedzielę.

Ktokolwiek podróżował w Anglii, musiał to uważać, jak różni się niedziela od dni powszednich, jak o pewnych godzinach na odgłos dzwonów zapełniają się ulice tłumnie ludem w schludnéj świątecznéj odzieży zdążającym do swych kościołów, jak też same ulice na parę godzin zostają zupełnie opróżnione i ciche, a następnie się znów zapełniają wychodzącemi z kościoła jak rojem pszczół z ula. Ta zmiana w ten dzień nieraz się dzieje, lecz po dwa kroć i trzy kroć razy następuje; gdyż w wielu kościołach i kaplicach trzy odprawia się nabożeństwa, a wielu ludzi na nich wszystkich bywa, i rzadko kto niebyłby choćby na jednem. Niech więc kto chce zarzuca brak religijności w Anglii, jak to często słyszeć się daje; to samo zjawisko, niewchodząc głębiéj, już dostatecznym jest dowodem, iż duch pobożności musi być głęboko w narodzie zakorzeniony. Co się postrzega

że się dzieje na innych miejscach, toż samo jak uważałem było i w Oxfordzie, tem najgłówniejszem siedlisku nauk, zkąd ruch religijny na cały kraj się rozszerza. To samo korne ułożenie ludu i ta sama stłumiona cichość różniąca się od wrzawy dni tygodniowych, odznaczały i tu niedzielę.

Wprzód będąc uwiadomieni przez p. T. że co niedziela bywa w kościele ś. Maryi uniwersyteckie kazanie, czyli wyraźniéj, kazanie umyślnie zastósowane dla członków uniwersytetu, postanowiliśmy więc być na niem. Skoro usłyszeliśmy że dzwoniono, mieszkając w pobliżu bo na téj saméj ulicy, udaliśmy się do tego kościoła. Powoli zaczął zgromadzać się uniwersytet, zasiadając na ławach stopniowo wznoszących się, każdy stopień akademicki w przeznaczonem dla siebie miejscu. Wszyscy zdawali się być zebrani, i kościół cały zapełniony, jedno tylko podwyższone miejsce zostawało jeszcze próżne. W tem wychodzą na środek kościoła dwaj bedele, jeden niosący srebne, drugi złote berło (*mace*): — szedł Wicekanclerz w czerwonym płaszczu urzędowym, a za nim szli zwierzchnicy kollegiów w swych doktorskich ubiorach i zajęli opróżnione miejsce, będące na przeciwko ambony. Z chóru śpiewacy, młodzi chłopcy ze szkół odśpiewali hymn, który przy dobranych głosach starszych i przy organach wybornie się wydawał, nieuwłaczając bynajmniéj uniwersytetowi że w nim kreowano doktorów muzyki. Przy takich też akademickich zgromadzeniach nikt inszy jak mi mówiono, tylko Dr. Mus. zwykł grać na organach, i chórowi śpiewaków przewodzić.

Tok i porządek nabożeństwa uniwersyteckiego znalazłem odmienny od zwyczajnego, było znacznie skrócone. Nie czytano rozdziałów z Pisma Świętego ani liturgii, która jest nazbyt długa; ograniczono się tylko do kolekty i główniejszych modlitw, które były odczytane

z ambony. Odstąpiono w niem od pospolitego zwyczaju, gdyż widocznie chodziło tu głównie o kazanie. Ciekawy więc wielce byłem jakie ono będzie bo wyznaję że nielada zadaniem było prawić w obec tak licznego orszaku uczonych; pojmowałem całą każącego trudność i szkopuły. Z pierwszych słów usłyszanych z ambony, poznałem iż kaznodzieją dnia tego był Mansel B. D. professor Filozofii moralnéj, ten sam któregom słyszał wykładającego Arystotelesa etykę w kollegium Modlińskiem. Ucieszyło mnie to i nabrałem otuchy, ciekawy wszakże byłem jak się z zadania swego wywiąże. Począł kazanie dociekaniem źródła znajomości, kładąc za podstawę do niej przeświadczenie (*conscionsness*). Skreślał przedmioty i obszary poznania, jego stopnie i granice, wiedzę ograniczoną człowieka, a nieskończoną w Bogu jaka jest wszechwiedzą: i na ostatek że rozum ludzki jako ograniczony, poznać Boga nie może, Bóg sam tylko mocen znać siebie. Niewiem czyli brał jaki tekst do tego, bom go niesłyszał, ale rozumowanie zwracało się ku tym słowom ś. Pawła do Tymoteusza: (I. rozd. VI. w 16): „który sam ma nieśmiertelność i mie„szka w światłości nieprzystępnéj, którego niewidział „żaden z ludzi, ani widzieć może; któremu niech bę„dzie cześć i moc wieczna“.

Taka była osnowa kazania, w którem filozofia łączyła się z religią, obie wspierając się nawzajem. Przywodził w niem kaznodzieja, według tego jak mu prawdę poprzeć, lub błąd wykryć przychodziło, zdania Hegla, a nawet słyszałem przytoczonego Strausa. Bez najmniejszéj obawy ściągnienia tem na siebie zarzutu to czynił; ani wspominał o nich z pogardą, jak zwykle się robi, ale jako o badaczach pragnących dociec prawdy.

Wszyscy słuchali go z uwagą nawet z natężeniem umysłu aby nieutracić ciągu jego rozumowania. Wymowa była zwięzła, a przecie jasna; nic deklamacyjnego, nic

próżnego. Powiadano mi, że w swych kazaniach nieraz cytuje miejsca z greckich i łacińskich autorów i wyjątki z pism Ojców Kościoła. Nad takie kazania niemożna wyobrazić sobie nic więcéj uniwersyteckiego, nie są one dla ogółu ludu, ani do ich pojęcia. One podobieństwo mają do prelekcyj akademickich i nie są nawet odrębne, ale kilka ich ciągnie się nad jednym przedmiotem, dopóki on się zupełnie niewyczerpnie i niewyjaśni. Kazanie to p. Mansela, któreśmy słyszeli, było jedno ze środkowych z całéj ich seryi. Dalszy ciąg wykładu pozostał na następną niedzielę. Nad spodziew zdarzyło mi się słyszeć jedno prawdziwie uniwersyteckie kazanie. Prof. Mansel policzony jest do rzędu najznakomitszych filozofów nowożytnych angielskich. Najnowsze jego dzieło, wydane tego roku, jest: „Metafizyka", wielce cenione w tym oddziale nauk.

Po południu udaliśmy się do katedry *Christ Church* na nabożeństwo. Kościół ten jest normandzko-gotyckiéj architektury, w kształcie krzyża, wzniesiony jako i w części większéj całe kollegium kosztem kardynała Wolsey; nim ten znakomity prałat popadł w niełaskę u króla Henryka VIII. Najcelniejsze z architektonicznych swych ozdób winien on sławnemu budowniczemu Wren temu samemu który wspaniały kościół ś. Pawła w Londynie zbudował. Za naszem nadejściem zastaliśmy już na wielkim czworobocznym placu (*Square*) uszykowane rzędy chłopców niższych szkół i tu i owdzie przesuwających się akademików — ostatnich nie w togach ale w białych do stóp sięgających komżach. Czekali wszyscy nim drzwi otworzą. Jak się drzwi otwarły, akademicy wpuszczani byli do nawy kościoła która jest odgrodzoną, i zasiadali po obu bokach w stalach, publiczność mieściła się po innych skrzydłach kościoła na ławkach. Nabożeństwo składało się z pewnych modlitw czytanych z intonacyą przez księży, niewiele różniącą się

od intonacyi w katolickich kościołach, nieco tylko szybszą — a tak zwane *responsa* chór śpiewaków z ludem dawał. To przeplatanie głosu pojedynczego na pół śpiewnego z chórem śpiewu ludu, rozlegało się po świątyni z wielką uroczystością. Głosy chóru śpiewaków były wyborne, dobrane, jakie można tylko słyszeć na wielkich oratoryach; wszystkie męzkie, bo niema tutaj zwyczaju głosów kobiecych do kościelnych chorów wprowadzać. — Kompozycya śpiewu harmonizowała z myślą, daleka od wpadania w jednotonność, była najrozmaitszą. Upewniano mnie że w skutek protekcyi jaką uniwersytet rozciąga nad muzyką, mnóstwo wybornych znajduje się kompozycyj muzyki kościelnéj, a śpiewakom nastręcza się sposobność do wykształcenia swego talentu na modlitwach, które rano i wieczór każdego dnia odbywają się w kaplicach kollegiów, ze śpiewem i przy organach. Dwa kollegia, Nowe i Modlin, ze wszystkich najwięcéj z téj choralnéj muzyki słyną, posiadają bowiem, jak słyszałem, znaczne fundusze na utrzymanie tak zwanych *choristerów*. Katedra także ma ich ośmiu stałych na swym funduszu, oprócz organisty, który jeśli się nie mylę, bywa tam zawsze Dr. Muzyki.

Po skończonem nabożeństwie dziwnie mnie zajął widok młodzieży akademickiéj wychodzącéj z nawy kościoła, wszystkich w bieli nakształt Lewitów, a było ich ze sto z górą, synów, po większéj części szlacheckich rodzin angielskich, bo pomienione kollegium jakom wyżéj powiedział, jest ze wszystkich najarystokratyczniejsze i bogactwem niemal wyłączne. Z wzrostu, z urody, jako i z pewnéj swobodności umysłu, trudnoby znaleść piękniejszego modelu młodzieży. Wielu z nich jakby zawczasu przywykało do tego Lewitów ubioru, bo ich czekają z rąk własnych rodzin bogate benefisa lub prałactwa w kościele. — Inni, idąc w ślady swych przodków będą zasiadać w senacie, lub orężem rozprze-

strzeniać potęgę narodu, albo też piórem spisywać jego dzieje, wznosić go moralnie. Tak dawnemi czasy i u nas bywało. Nasza akademia krakowska stała na czele umysłowego ruchu narodu, na straży nieskażonego jego ducha, ztąd też nosiła ona podobieństwo — jak Jan Śniadecki jeden z ostatnich jéj wielkich wychowańców słusznie uważał — do starodawnéj Wszechnicy narodu angielskiego w Oxfordzie.

Mieliśmy jeszcze zaproszenie od Towarzystwa Budowniczego na posiedzenie, na którem miała być czytana rozprawa: „O wpływie religii narodowéj na narodową architekturę"; ale już czas niepozwalał być na niem. Tyle wzorów budownictwa wypływu z religii oglądaliśmy w Oxfordzie, iż nikt, kto się nad niem choć pobieżnie zastanawiał, niemógł nieprzystać, bez dalszych dowodów na twierdzenie zawarte w samym temacie rozprawy. Kollegium Merton, w którem Wycliffe był wychowany, przedstawia najpiękniejszy jego wzór z 13go wieku; kollegium Magdalene (*Modlin*) z 15 wieku; Kościół Chrystusowy z 16 stólecia, a Pembroke z 17go. Wiele architektury jest wznawianéj, którąby można nazwać odrodzeniem i wskrzeszeniem różnowiecznego budownictwa gotyckiego; a najpiękniejszym bez zaprzeczenia jéj wzorem, naśladującym budownictwo gotyckie z 13 wieku, jest nowo wzniesione wspaniałe Muzeum uniwersyteckie, o którém wyżéj była wzmianka.

Na tem kończę o ile mi się w kilku dniach pobytu nastręczyło mój pogląd na najstarożytniejszą w Euro-

pie i wielką Wszechnicę nauk, na kształcicielkę od tylu wieków najpotężniejszego narodu, a z którą akademia krakowska, kształcicielka naszego narodu, co do ustaw i wewnętrznych urządzeń w ścisłem stała powinowactwie. Zestawienie ich obu z sobą, i oraz przeszłości z obecnością, może objaśni niejednemu z rozważnych rodaków, przy pomocy innych pomników historycznych, karty dziejów narodowéj oświaty, z jakich źródeł ją u nas czerpano co ją szerzyło a co zaciemniało.

K. Lach Szyrma.

ODPOWIEDŹ

NA KILKA MYŚLI

WZGLĘDEM UREGULOWANIA STOSUNKOW WŁOŚCIANSKICH

w Królestwie Polskiem

przez

p. ALEXANDRA LUDWIGA

w *Dodatku do Czasu* na miesiąc Czerwiec r. 1858 ogłoszonych *).

Nie każden by może uwierzył, a nie jeden pewno mi weźmie za złe to porównanie, gdy powiem: że z piórem równie ostrożnie poczynać sobie należy, jak z wielu nałogowemi rzeczami. — Raz go wziąwszy do ręki, nie można sobie powiedzieć, że to raz pierwszy i ostatni. — Ja za szczęśliwego się poczytuję, że wpadłszy w tę łapkę, zmuszony do pisania raz jeszcze w kwestyi, w któréj już wszystko co powiedzieć miałem wypowie-

---

*) Zamieszczając następujący artykuł, winniśmy ponowić zastrzeżenie, że rozprawy treści i formy czysto polemicznéj nie wchodzą w zakres naszego pisma. Czynimy tu tylko wyjątek przez wzgląd na kwestyą tak bardzo obchodzącą mieszkańców Królestwa Polskiego (P. R.)

działem, tym razem odpowiadać mi przychodzi na artykuł, który będąc surową krytyką mego artykułu, w *Dodatku* listopadowym roku zeszłego umieszczonego, odznacza się obok głębokości w zbadaniu przedmiotu, wyrozumiałością dla przeciwnika, tak rzadko w krytykach dzisiejszych napotykaną.

Różność opinii i zdania, nie powinna pisma lub dysputy zaprawiać żółcią. — Nie powinna dotykać osobistości, jak to dość na nieszczęście często, dzisiejszym krytykom się przytrafia. — Prawdę tę pojmuje p. Alexander Ludwig. — Dobry to początek, a nadzieja porozumienia się naszego tem bliższa, gdy sam oświadcza: „że jakkolwiek stanowczo obstaje za oczynszowa„niem, uważa jednak, że takowe w takim tylko razie „byłoby lepszem od uwłaszczenia, jeżeli zjednéj strony „poprzedzone zostanie udzieleniem pożyczki Towarzy„stwa kredytowego ziemskiego na podstawie taxy, a „z drugiéj dozwoleniem przekazania na rzecz rat poży„czkowych, czynszów włościańskich, i że w razie prze„ciwnym, przełożyłby uwłaszczenie nad takie oczynszo„wanie“ (38) *). — W téj konkluzyi zapomniał p. Alexander Ludwig dodać jeszcze bardzo ważnego, a przez niego samego (41) proponowanego środka, jakim jest uwolnienie od opłacania podatków skarbowych niektórych przynajmniéj właścicieli.

Nie jestem ja do tego stopnia zapalonym zwolennikiem uwłaszczenia, abym korzystając z wyznania p. Alexandra Ludwiga, (44) że oczynszowanie jest rzeczywiście tylko stanem przechodnim, miał jak on przypu-

---

*) Mam pod ręką osobne odbicie z *Dodatku do Czasu* na miesiąc czerwiec r. 1858. — W odpowiedzi więc tej, co do punktów w których albo w zgodzie z przeciwnikiem być nie mogę, albo z których wytłomaczyć mi się Mu wypada, cytować będę w nawiasach stronnice Jego artykułu nie z *Dodatku*, ale z téj broszurki.

(*P. Autora*).

szcza, zwycięzko z innemi zawołać, a co, więc oczynszowanie takie jest półśrodkiem niedoprowadzającym do zamierzonego rezultatu, gdy uwłaszczenie wszystko od razu już kończy! — Jeżeli p. Alexander Ludwig nie zrozumiał mnie z artykułu na któren mi odpowiada, to mam nadzieję, że acz po napisaniu już swojéj odpowiedzi, poznał mnie lepiéj z artykułu, w odpowiedzi na pięć listów p. Wł. G. w *Kronice wiadomości Krajowych i Zagranicznych* ogłoszonych, przezemnie w *Dodatku do Czasu*, na miesiąc kwiecień r. b. umieszczonego. — Widząc właśnie że nie byłem zrozumiany przez p. Wł. G. jaśniéj i dobitniéj starałem się otworzyć moje zdanie, i wyraźnie powiedziałem: że tylko pod naciskiem, jak się w ówczas zdawało, nagłéj konieczności działając, wybierałem lepsze z dwojga nie bardzo dla nas dobrego, i niedobroć tę właśnie, głównie w gwałtowności działania dopatrywałem. — Tu jeszcze widzę potrzebę dodać, że o ile mi wcale do gwałtownéj przemiany istniejącego porządku nie pilno, o tyle chętnie przyjmuję każdy środek, zawsze do głównego mojego celu wiodący, abym tylko miał przekonanie, że do niego doprowadzi. Co więcéj oświadczam jak najuroczyściéj; że jestem za takim środkiem, który systematyczniéj prowadzić do uwłaszczenia będzie. — Jednakże winienem to oświadczyć, że takiego środka notabene na pewne, bez przypuszczeń wziętych za zasadę, ani wprzód nie widziałem, ani też po bacznym i pilnym odczytaniu artykułu p. Alexandra Ludwiga, środka takiego jeszcze nie widzę.

Z téj mojéj ślepoty trzeba mi się oponentowi mojemu wytłumaczyć, i to właśnie najtrudniejsze jest dla mnie zadanie. — Wiem że nie na małą rzecz się odważam. — Widocznie bowiem mam przed sobą przeciwnika, o którym liczne Jego cytacye statystyczne dowodzą, że miał sposobność teoretycznie lepiéj się ode-

mnie z przedmiotem obeznać, i że ma data i cyfry na swoje rozkazy. — Mała nakoniec wprawa moja w polemice stawia mnie w obawie, bym tak jak chcę i pragnę, utrzymał w odpowiedzi mojéj tę godność, jakiéj cześć zasłużoną w krytyce p. Alexandra Ludwiga oddaję. — Proszę więc przedewszystkiem o wybaczliwość i zawierzenie mym najlepszym chęciom.

Chcąc być w odpowiedzi równie grzecznym, jak nim jest p. Alexander Ludwig w krytyce, winienem Mu przedewszystkiem oświadczyć, że podobnych Jemu zwolenników oczynszowania nie uważam wcale (4. 38) za nieznających stosunków krajowych, ani za krzykliwych filantropów godzących na zgubę szlachty polskiéj. — O innego rodzaju zwolennikach mogła być i była w ówczas mowa, i co do tych zdania mojego bynajmniéj nie odwołuję. — Tamci nie kłopocą się wcale o to, jako czyli Właściciele będą wynagrodzeni. — Nie myślą jakby tym Właścicielom ułatwić to tak trudne przejście.— Nie wchodzą w to, że jednak ci co paść mają ofiarą, w chęci jedynie polepszenia bytu ludu, mają przecież prawo, żądać zapewnienia się od zupełnéj ruiny majątkowej, a to przez wybór środków, jakie dogodniejsze dla właścicieli, a do celu polepszenia bytu włościan zarówno prowadzące być się zdają. — Do miesiąca listopada roku przeszłego, takich tylko zwolenników oczynszowania widzieliśmy. — Było ich i jest dwa rodzaje. Jedni którzy nienawistni szlachcie polskiéj, chcieliby widocznie hymn jéj pogrzebowy z piekielną radością zanucić, — drudzy nie znający i nie mogący znać stosunków naszych, to jest mniejszych właścicieli, i mimo najlepszych swych dla kraju chęci, chcący nas na angielski urządzać sposób. — Ci ostatni zapominają: że naśladownictwo to, jako niestósowne do natury kraju, ludu i właścicieli liczbą przeważniejszych, do tego by nas doprowadziło, że nie do Anglii i Anglików, ale do

Irlandyi i biednych Irlandczyków zrobiłoby nas podobnemi. — Czyż nie dość jeszcze nasz biedny kraj ucierpiał już od obcych, aby mu to okropne podobieństwo gotowali jego właśni, i to z innych względów najzasłużeńsi i najszanowniejsi obywatele? — Pan Alexander Ludwig ani do jednych, ani do drugich nie należy, i jest jednym z pierwszych zwolenników oczynszowania w taki sposób występujący, że go ani o złe chęci, ani o brak znajomości stósunków krajowych, posądzić nie można. Ale pozwoli sobie powiedzieć:

1) Iż o środkach jakie proponuje, i jakie sam za konieczne i zasadnicze w projekcie swoim uważa, nie przedstawia żadnej rękojmi, że one będą z pewnością oczynszowaniu posiłkować. — Owszem nastręcza się w tym względzie wiele wątpliwości. — Nie można bowiem być pewnym, czyli Towarzystwo Kredytowe Ziemskie, uzna możliwem dla siebie wmięszanie się w proponowane kombinacye, i czyli z zasad swojéj instytucyi, będzie mogło angażować swoje kapitały w interes wprawdzie dla Ziemian tak korzystny, lecz z tylu trudnościami i z ryzyko osłabienia kursu listów zastawnych połączony, chociaż co do tego ostatniego punktu, nie ma zdaje się i nie powinno być żadnéj obawy. — Co zaś do pomocy ze skarbu, tem większa jest wątpliwość, by mimo z wielką znajomością rzeczy wykrytych przez p. Alexandra Ludwiga (42) na to funduszów, by mówię chciał skarb królestwa, w tem nie tylko swą możność, ale i obowiązek zrozumieć. — Nigdy tego nie doświadczając wybaczy p. Alexander Ludwig, że ten ostatni przez niego proponowany środek, w większej jeszcze od poprzedniego wątpliwości postawić nam wypada.

2). Drugi zarzut jaki ośmielamy się zrobić p. Alexandrowi Ludwigowi jest, że nie będąc jak to sam oświadcza bezwarunkowym zwolennikiem oczynszowania, jednakże wziąwszy cyfry za podstawę do udowodnienia

jego nad uwłaszczeniem wyższości, tak stawia te cyfry-by rachunek wypadł koniecznie na korzyść oczynszowania. — Nie przeczymy: że lepszéj podstawy jak pewniki matematyczne w dowodzeniu wziąść trudno, i że trudno, by nie brał cyfer za zasadę ten, kto te cyfry ma jak już powiedzieliśmy na swoje rozkazy. — Jednakże ośmielamy się zwrócić uwagę p. Alexandra Ludwiga na tę okoliczność, że doświadczenie nie raz przekonało, iż nie wszystko tak się pokazało w praktyce jak najlepsze statystyczne tabelle kazały się na pewno spodziewać. — Owszem w przemianach zwłaszcza spółecznych, te rachunki najczęściéj zawodzą, a praktyka i prosty chłopski rozum, najczęściéj nie mylą. — Wiadomą bowiem jest rzeczą, że w matematyce, odrobinkę nakrzywiona przy punkcie wyjścia linia, w dalszem i dalekiem jéj przedłużeniu zupełnie się mylną pokazuje Równie dzieje się z cyframi. — Jeżeli o mały ułamek, umyślnie lub przypadkiem się na początku pomylimy; to w dalszym rachunku, przypadkiem znajdziemy cyfrę fałszywą, lub też umyślnie cyfrę tę, jaką znaleść pragnęliśmy. — Tak się zrobiło przy wykazaniu różnicy pomocy pieniężnéj, na korzyść zwolennictwa oczynszowania, a to dla tego jedynie, iż biedne zwolennictwo uwłaszczenia, postawione zostało od razu w tym smutnem położeniu, że nie jedna ale trzy cyfer zasadniczych przeciwko niemu walczyło (32. 33). — Jedną taką cyfrą jest cyfra Złp. 2800, za włókę gruntów włościańskich przy uwłaszczeniu położona. która pomimo wszelkich usprawiedliwiań p. Alexandra Ludwiga, jest zbyt mała, z powodu że do usprawiedliwienia jéj wziął cyfrę złp. 3500 za włókę, cyfrę tak małą, że nie wiem czy nawet w okolicach piaszczystych, za tę cenę odstąpiłby kto włókę swéj ziemi; chyba w kraju zwszelkiego handlowego i przemysłowego ruchu ogołoconym, a przecież kraj nasz tak nisko nie stoi. — Drugą fatalną

dla zwolennictwa uwłaszczenia cyfrą, jest kurs niski, po 80 za 100 obligów Indemnizacyjnych, mimo środków, dla udowodnienia znowu czego innego na niekorzyść uwłaszczenia, przez samego p. Alexandra Ludwiga, (36) w zabezpieczeniu od zniżenia się kursu tychże obligów, obmyślanych. — Trzecią również fatalną cyfrą jest naznaczenie (24) morgów 20, na uposażenie przecięciowo dzisiejsze jednego włościanina trzech dniowéj pieszéj pańszczyzny. O ile na tamtych dwóch cyfer niskość, o tyle na téj ostatniéj zbyteczną wysokość, biedne zwolennictwo uwłaszczenia uskarżać się musi; bo na tych rachunkach przegrało sprawę, mimo że jego przeciwnik, zwolennictwo oczynszowania, na tak chwiejącej się podstawie usadowił.

3) Trzeci zarzut jaki bardzo żałujemy że musimy zrobić p. Alexandrowi Ludwigowi, jest że (16. 18. 37. 45.) trochę niekorzystnie na stronę właścicieli pokazał się nam usposobionym, podejrzywając w nas brak szczeréj chęci polepszenia bytu ludu, i tylko widząc chęć pozornego jak to mówią aby zbyć działania, jak gdybyśmy nie wiedzieli, że tak ważna społeczna, z politycznemi stosunkami kraju tak ściśle związana przemiana, nie da się i nie powinna, tak lekkomyślnie traktować. — Tak nie jest bynajmniéj. — Wiemy my mimo całéj naszéj prostoty, że to robota na wieczność, i że nie można chcąc drugich oszukać, raczéj siebie oszukiwać. — Wiemy, że skutki tych niedokładności i pośpiechu, gorzko by przyszło w przyszłości wnukom naszym opłakiwać. — Nie jesteśmy tak mało, dobro nasze znającemi, a gdyby się i znaleźli tak lekkomyślni, a egoiści, co wątpię, to też dla tego dopominałem się, aby bez wmięszania w tę rzecz właścicieli mniejszych posiadłości, kwestya tak ważna stanowczo rozstrzygana przez jedno tylko stronnictwo nie była. — Przecie większość

potrafiłaby fałszywe wyobrażenia, mniejszości sprostować i skutki tych powciągnąć.

4) Czwarty zarzut z którym wystąpić musimy przeciwko p. Alexandrowi Ludwigowi jest nadto gorliwa obrona kapitalistów (21. 25. 28. 40). — Zapomina, że właściciele dużo większe poniosą na korzyść ludu ofiary, a kapitaliści, chyba dla tego, że kapitalista a egoista to dwa jednobrzmiące wyrazy, mają mieć prawo do zupełnego wyjęcia ich z pod obowiązku poniesienia także pewnych ofiar, co na jedno wyjdzie, prawo do wymazania ich z listy obywateli kraju, w którym mieszkają, i w którym potrójne co najmniéj dochody, w porównaniu z właścicielami ziemskiemi, z majątków swych w tymże kraju zrobionych ciągną. — Nie są ludem, nie będą obywatelami kraju chcącemi coś dla ludu zrobić, czemże po tak gorliwéj praw ich obronie pozostaną.?— Chyba wyrzutkami ze społeczeństwa? Wątpię by im taką pozycyą obrońca ich gotował: by oni sami chcieli się mimo całego egoizmu, do dążenia podobnego publicznie przyznać. — Nie wątpiemy o chęciach kapitalistów uniknienia strat, ale chęci te jeszcze tak jawno miedzianem, czoła ich nie uczyniły. — Nie zapieram, że jak posądza mnie p. Alexander Ludwig, (21. 28) chciałem dotknąć kapitalistów. — Mam przekonanie, że z zupełną robiłem to słusznością, i że projekt mój pod tym względem, bynajmniéj rolnictwu nie zagraża, bo zgadzam się z p. Alexandrem Ludwigiem na to, że kapitaliści niechętnie się na dobrach ziemskich lokują. Dla tego też hipotecznych kapitalistów, dla niskości procentu, jest tak mało, a wszyscy co są, tylko przypadkowo, w skutku rozmaitych najczęściéj spadkowych stosunków, nie w chęci pomożenia rolnictwu, ale przez niemożność odebrania kapitałów, z temiż na hipotekach dóbr ziemskich pozostali. — Tacy, a takich największa jest liczba, odbiorą kapitały swe pewno z chęcią, cho-

ciażby ze stratą, bo stratę tę, przez wypożyczenie komu innemu bez hipoteki, a na wysoki procent, jak się to najczęściéj praktykuje, powetują. — Niech tylko jeżli to jest możliwem, będą jak proponuje p. Alexander Ludwig ułatwione subhastacye, i zniesione ograniczenie wysokości procentów (28), a przekona się czyli mimo téj jak obrachował i wyrzekł niezasłużonéj konfiskaty $^{1}/_{5}$ części majątku, nie wszystkim ale tylko niektórym kapitalistom, będą oni na długie lata od ziemi odstraszeni. Owszem my przekonani jesteśmy, że będzie jak nacisk, nie brak, zawsze pod warunkim wysokiego procentu. Z drugiéj strony, nieograniczenie stopy procentu, zabiłoby potrzebujących, a nie oględnych właścicieli, i dla tego też byłbym może za podniesieniem tej stopy, bo ona w stosunku do sposobności otwartéj dzisiaj do korzystniejszych lokacyj, jest może za niska: byłbym może za ułatwieniem subhastacyi; ale nigdy za zniesieniem ograniczenia stopy procentowéj, bo to otworzyłoby wolne wrota szkaradnéj lichwie, która dziś nie śmie i nie może jawnie się pomiędzy uczciwemi ludźmi przechadzać, i tylko się kryje po kątach, po za parawanem wykluczonych z towarzystwa synów Mojżesza. Wiem że tu walczy przeciw mnie zasada, iż lichwa powstaje właśnie w skutku ograniczenia do niskiéj stopy procentów prawnych; dla tego też właśnie zapobiegając temu szkodliwemu skutkowi byłbym za podniesieniem stopy procentu prawnego, by lichwa tej pozornéj obrony nie miała. — W ustanie jéj bowiem nawet przy zniesieniu ograniczenia stopy procentowéj nie wierzę, bo nigdy nic nie zadowolni chciwości, a czem łatwiéjsze dostanie pieniędzy, tem większa w nieoględnych ich potrzeba.

Broniąc gorliwie p. Alexander Ludwig kapitalistów, dał za przykład (21) wioskę wartającą 100,000 Złpol. ulokował na niej 30,000 złp. towarzystwa kredytowego.

Gdzież to jest podobny stosunek pożyczki, kiedy w Sandomierskiem i Krakowskiem, gdzie najwyższa jest ofiara, nigdzie go nie znajdujemy? Dalej ulokował 20,000 pożyczki bankowéj. — Bank polski lepiéj dba od p. Alexandra Ludwiga o pewność swoich pożyczek, bo nigdy Złp. 20,000 po 30,000 Towarzystwa, na wioskę tak niskiéj wartości nie pożycza. — Ulokował nareszcie 40,000 wierzytelności prywatnych, które musiałyby być zaciągnione po Towarzystwie i Banku. — Wątpię by się znaleźli amatorowie kapitaliści, co by chcieli na taką hypotekę pożyczać, chyba w chęci nabycia wioski, lub w myśli obdarowania właściciela, a w takim przypadku strata jeśli by ich dotknęła, byłaby dobrowolną, lub karą za chęć podstępnego nabycia. — Po takiem obciążeniu téj biednéj wioski, przyznał p. Alexander Ludwig właścicielowi jéj, aż 50,000 złp. kapitału indemnizacyjnego. — Jakoś wioska ta tak mała, przez jakiś szczególny wyjątek, przy małéj u nas w ogóle ludności, byłaby szczególnie licznie osiedlona, by wartość gruntów jéj włościańskich, aż do téj cyfry urosła. — Takie wziąwszy cyfry, łatwo było projekt mój, nie przeczę, dla kapitalistów mniej korzystny, pomyłką niegodną dyskusyi nazwać. — Bliżéj się jednakże temu dowodzeniu przypatrzywszy, czyliż to nie jest tak dobrze pomyłką, nie wytrzymującą dyskussyi, przez p. Alexandra Ludwiga na stronę nadto gorliwéj obrony kapitalistów popełnioną, jak moja była, jeżeli była, w celu podania ręki biednym właścicielom. — Rozstrzygnięcie téj kwestyi oddajemy pod sąd każdego, kto tylko zechce wziąść na szalę co lepiéj, czy podrujnować trochę i to niektórych tylko kapitalistów, czy zrujnować zupełnie wszystkich mniejszych właścicieli, którzy już i tak duże, a tamci żadnych ofiar nie ponoszą i z których pracy ci kapitaliści żyją.

Na zarzut uszczerbku ogólnéj prokukcyi krajowéj, odpowiadamy najprzód, że mylnem jest przekonanie, i nawet jeśli chcemy być szczeremi, przekonaniem nazwać to trudno, iżby kapitaliści do produkcyi w kraju jak nasz głównie rolniczym, przyczyniać się mieli, gdy się tak niechętnie na ziemi lokują. — Powtóre, iż gdy właśnie dla podniesienia téj produkcyi, myślimy o poprawie losu ludu, a poprawa ta bez ofiar klass innych do skutku doprowadzoną być nie może, i gdy właściciele już i tak dużo straty poniosą, nie widzimy, dla czegoby kapitalistów tak troskliwie od małych stosunkowo strat ochraniać. —

Oburza to bardzo na mnie p. Alexandra Ludwiga, że w projekcie moim popełniam nibyto wielką jakąś niesprawiedliwość, (21, 28) odsądzając wierzycieli hypotecznych od prawa zabrania właścicielowi indemnizacyi, na satysfakcyą swoich hypotecznych wierzytelności i spłacenie ich lub niespłacenie, do woli właściciela zostawiam. — Na pozór zdaje się mieć racyą p. Alexander Ludwig, bo prawda że wierzytelności te na całości dóbr były zabezpieczone. — Lecz pytam się czy możność uiszczania się z procentów i kapitałów, polega tylko na saméj wartości dóbr, czyli też i na dochodach z nich. Jeżeli i dochody grają tu jaką rolę, co zdaje się tak jest, to wierzyciel odbierający właścicielowi możność ciągnienia tych dochodów, działać będzie tem samem na swoją i drugich wierzycieli szkodę. — Subhastacya i wypędzenie właściciela z wioski, niezawodnem będzie i ostatecznem takiego działania następstwem, a z tem, spadnięcie niższych wierzycieli. — Pierwszy więc wierzyciel, lub kilku pierwszych skorzysta na wzięciu indemnizacyi i subhastacyi majątku, a wszyscy poniżsi stracą. — Cóż więc lepszego, czy zostawić do czasu kapitały wszystkich wierzycieli na uszczuplonéj wprawdzie hypotece, z jaką taką pewnością pobierania procentów

i nadzieją po przetrwaniu kryzys, odebrania jeśli nie z dochodów, to z pożyczki towarzystwa kredytowego kapitałów; obok zostającéj im zawsze możności subhastowania, w razie ich niecierpliwości; — czyli też dla uratowania jednego lub kilku wierzycieli, zniszczyć poniższych i właściciela. — Nie jest więc tak krzycząca niesprawiedliwość z méj strony, jak ją p. Alexander Ludwig wystawił, zwłaszcza że ograniczyłem obowiązek przyjmowania *al pari*, do wysokości wziętéj przez właściciela indemnizacyi. Daleko więcéj krzyczącą sądzę być niesprawiedliwością uważać indemnizacyę za własność wierzycieli. — Pańszczyzna bowiem jest dzisiaj kapitałem obrotowym gospodarstwa w ręku dziedzica.— Zapłata za nią, czy nawet jak chce p. Alexander Ludwig procent od wartości gruntu, nie zmienia początkowéj natury kapitału, ale zawsze pozostać powinien tym samym obrotowym kapitałem; stąd jeśli nie jest własnością dziedzica wprost, to jest własnością tak do ziemi przywiązaną, że bez niéj ziemia ta produkować nie może; a zatem musi ten kapitał być w ręku tego w czyim ręku jest ziemia. — W czem lepszy ma być wierzyciel od właściciela, by jemu a nie właścicielowi kapitał taki przysądzać, — tego prawdziwie pojąć niepodobna. —

Po tych ogólnych uwagach nad myślami p. Alexandra Ludwiga względem uregulowania stosunków włościańskich w Królestwie polskiem, przejdźmy do szczegółów bo dużo jeszcze na obronę projektu naszego w tych szczegółach potępionego, do powiedzenia zostaje.

Do przyczyn które p. Alexander Ludwig ustanawia za powody utrzymania się odbywania pańszczyzny do roku 1846, a mianowicie do ostatniéj, (5) dodać by wypadało, że obawa czyli włościanie po ich oczynszowaniu będą wychodzili na najem, bardzo była i jest słuszna, a to z powodu bardzo małéj ludności w wio-

skach naszych, wyludnionych ciągłym kilkunastoletnim poborem rekruta, bez żadnego ograniczenia, wszystko bowiem co zdrowe i silne zabieranem było; jak również przez choroby epidemiczne, w ostatnich latach tak często po kraju grasujące. — To jest największa i najistotniejsza przyczyna, silniej od przywiedzionych przez p. Alexandra Ludwiga działająca, na powstrzymanie się od skasowania pańszczyzny tych nawet, którzy jak najmocniej są przekonani, że osobliwie po roku 1846 system pańszczyzniany jest systematem zupełnie zużytym.

Czyli zaś system pańszczyzniany przed rokiem 1846 był jak twierdzi p. Alexander Ludwig dla stron obu, osobliwie dla włościan niedogodnym, o tem także nic dzisiaj już na pewno orzec nie można. — Kto siedział na wsi przed rokiem 1846, ten wie i zgodzi się pewno ze mną na to, że wówczas żadnéj ze stron, a przynajmniej włościanom, osobliwie w środku kraju, wyjąwszy może od granicy pruskiej, wcale się jak to mówią o żadnéj zmianie ani śniło. — Zdaje mi się więc, że nieukontentowanie włościan z pańszczyzny i jakaś chętka do zmiany, któréj dziś nie zaprzeczamy, powstało dopiero w skutku zgubnego przykładu, dojścia darmo do własności, danego w kraju sąsiednim, i w skutku darmo wyświadczonych im kosztem właścicieli dobrodziejstw, przez ukaz roku 1846. — Rok ten był rokiem obudzenia żądz ludu, na drodze podniety jego nienawiści do panów. — Ta bolesna strona naszego ludu, była nam przed tem zupełnie nieznana, co dowodzi żeśmy sobie na nią nie zasłużyli. — Obawa coraz gorszych stosunków tego obałamucenia umysłów ludu, wyrodziła jednocześnie i w nas, poczucie potrzeby odwrócenia grożącéj burzy przez podstawienie innego stałego porządku, w miejsce bezpowrotnie zrujnowanéj dawnéj patryarchalności, czyli krócéj mówiąc, wyrodziła ona w nas

potrzebę skasowania pańszczyzny, i poznanie jéj niedogodności.

Nie zaprzeczamy słuszności twierdzenia p. Alexandra Ludwiga, że ukaz roku 1846 dodał bodźca zmianie robocizny na opłatę pieniężną, i że niedogodności pańszczyzniane powiększyły się w skutku wmięszania się w te stosunki Władz Administracyjnych; ale nie możemy jak p. Alexander Ludwig obracać tego na korzyść ukazu, i działań Władz Administracyjnych, czego one zupełnie na celu nie miały, i tylko co innego ostrzem miecza chcąc zrobić, co innego tępą jego stroną zrobiły. — Ostrze zwrócone było przeciw właścicielom na korzyść chłopów, tego zaprzeczyć nie podobna, i niepodobna działania tępéj strony miecza, głównem działaniem tegoż miecza nazywać (5)

Co do całego projektu p. Alexandra Ludwiga dla władz towarzystwa kredytowego ziemskiego, to tylko na wielu i częstych bardzo zapytaniach *jeżeli* ??? i po kilkakroć *jeżeli* ??? ograniczyć nam się wypada, bo gdyby władze towarzystwa kredytowego były coś podobnego przynajmniéj przedstawiły, mielibyśmy rękojmię, że uważają przyjście tym sposobem w pomoc właścicielom najprzód za możliwe dla siebie, a następnie za obowiązkowe. — Czyli więc towarzystwo kredytowe będzie mogło i będzie chciało (5) wycofać z obiegu w roku 1860 listy zastawne II okresu? — Czyli udzieli pożyczkę w ilości 502,000,000 złp. (7)? — Czyli będzie mogło być upoważnione, do stałego odnawiania pożyczek w latach przez p. Alexandra Ludwiga wykazanych (10)? — Czyli potrafi uchylić zasadę, by nie kursowało więcéj listów zastawnych jak tylko z dwóch okresów? — Czyli nakoniec będzie mogło wdać się (13) w przyjmowanie przekazów zalegających czynszów włościańskich? Na to wszystko jako będące projektem czysto prywatnym, stanowiącym jak to sam p. Alexander Ludwig przyznaje

główną jego podstawę, z któréj nasz projekt potępia; na to wszystko mówię, potrzebowalibyśmy faktu jakiego urzędowego, od władz naczelnych towarzystwa kredytowego ziemskiego wychodzącego, byśmy mogli przyznać p. Alexandrowi Ludwigowi wyższość jego nad naszem rozumowaniem. — Być może że p. Alexander Ludwig wie o tym fakcie, bo przypuścić trudno, by nas tak gołosłownie potępiał. — Lecz gdy my o nim na wsiach nie wiemy, niech będzie łaskaw być na nasze niedowierzanie wyrozumiałym, i sobie winę przypisze, że nam faktu takiego przytoczyć nie raczył, tyle innych przytaczając.

Twierdzi także p. Alexander Ludwig, (25) że mają być dobra takie, na których pożyczka Towarzystwa kredytowego jest tak wielka, że wartość gruntów dominialnych przenosi. — I to potrzebowałoby sprawdzenia, bo obok znajoméj wszystkim zasady w udzielaniu pożyczki, zdaje się przypadek ten być bardzo wyjątkowym, prawie niepodobnym. — Powtarzamy *zdaje się nam być* bo nie mamy pretensyi do tak szczegółowéj znajomości kraju, byśmy z pewnością o bytowaniu lub nie podobnych wyjątków twierdzić mogli. — Wszakże jeżeli takie wyjątki gdzie się trafiają, to jako dla wyjątków i to zbyt rzadkich, wzgląd w prawie ogólnem miany być nie może, i gdyby nawet Towarzystwo kredytowe uszczerbek jaki poniosło, to on jak nie może być tak wielkim, by aż przed jego obawą cofnąć tak zbawienny środek, jakim jest obciążenie gruntów włościańskich osobną wierzytelnością, tak też gdy uszczerbek ten nie z prawa ale z jego złego wykonania od władz Towarzystwa by wyniknął, uwzględniany być przy nowem prawie nie powinien.

Nie dosyć także usprawiedliwioną zdaje się nam być obawa p. Alexandra Ludwiga (25) o konkurencyą przy licytacyach dóbr, przez Towarzystwo kredytowe na sprze-

daż wystawianych, bo pominął uwagę, o ile to dobra ziemskie poszły w górę od daty udzielenia pierwotnéj pożyczki. — Obawa więc o spadnięcie summ Towarzystwa kredytowego, (26) i paniczny przestrach o zachwianie się kredytu krajowego, (27) zdają się nam być przesadzone.

Nie zaprzeczamy że projekt ten cały zdaje się być bardzo szczęśliwie pomyślany, lecz gdy dotąd jedynie jako pomysł szczęśliwy uważany być może, a daleko mu jeszcze do tego, by w fakt dokonanym bydź mogący przeszedł, nie możemy mu przyznać wyższości nad naszym, w którym nikogo do pomocy nie wzywamy, oprócz stron głównie interesowanych, i nie żądamy niczego więcéj, jak tylko prostego i gdzieindziéj już praktykowanego wynagrodzenia, za odstąpioną część własności. —

Przyznaje p. Alexander Ludwig potrzebę rewizyi podatku ofiary. — Powiada (7) że poleconą została i nie raczył nas jednak objaśnić, mając tak wszystkie dokumenta pod ręką, dla czego rzecz tak dawno polecona, dotąd się przewłóczy, i jak długo jeszcze wlec się tak będzie, a ztąd jak długo, z całą operacyą projektowanego przez niego oczynszowania, wstrzymać się wypadnie. — My wprawdzie domyślamy się powodu téj zwłoki, leżą one nie w woli Najwyższéj, bo o téj częściach zaprowadzenia porządku w kraju nie wątpimy, ale leżą podobno w niechęci wykonawców téj woli, jak się to dość często u nas praktykuje.

W całéj gubernii Warszawskiéj, ofiara jest bardzo niska, niezyskali by więc tamtejsi właściciele na regulacyi ofiary, i bodaj czy nie słuszne jest nasze domniemanie, że w tym leży przyczyna opóźnienia wykonania woli Najwyższéj. P. Alexander Ludwig objaśnił nas tylko o tem (41) że w oczekiwaniu na rezultat téj rewizyi podatków, koniecznem było ich podniesienie, któ-

re dotknęło już i tak przeciążone okolice podwójnym jeszcze ciężarem, a innym okolicom kraju żadnéj prawie różnicy nie uczyniło. My zaś wiemy i to z Ukazu, że podniesienie to wcale nie oczekiwaniem na rezultat spodziewanéj rewizyi ofiary, ale potrzebą zaspokojenia wydatków ówczesnéj wojny, spowodowane zostało. Wiemy i to z uciążliwego doświadczenia, iż 12 lat już tak podniesione podatki płacąc, jeszcze widać kosztów wojny nie pokryliśmy. Naturalny to bardzo wypadek, gdy nie cały kraj, lecz tylko pewna część jego wydatek ten ponosi. Kiedy zaś o powróceniu do dawnéj normy nie słychać, tak przeciążające nas opłacanie podatków, a nie kończenie zapowiedzianéj rewizyi ofiary, do innych wcale jak p. Alexandra Ludwiga wniosków nas doprowadza. My w pośród téj pomroki, zmuszeni jesteśmy przewidywać, że do téj rewizyi, do tego terminu podług p. Alexandra Ludwiga, ustania tak uciążliwéj opłaty podatków, chyba nigdy nie przyjdzie; a zatem Bóg wie kiedy by przyszło i do ukończenia oczynszowania, które podług p. Alexandra Ludwiga rewizyą podatków poprzedzone być powinno, a w którem jest jeszcze niedogodność, że rewizya ta drugi raz za zmianą dochodów właścicieli i włościan nastąpić by musiała. Trudność ta jest i przy uwłaszczeniu, tylko postępowanie w usunięciu jéj dużo prostsze i prędsze, bo na jednéj rewizyi się kończące. Prawda że nam nic znowu nie jest tak pilnego do téj zmiany, ale włościanom tylu rozumowaniami w tym przedmiocie obałamuconym, zaczyna być bardzo pilno i stojemy dziś na tym punkcie, że kto wie czyli dogodzenie téj w nich obudzonéj żądzy, nie stało się i dla nas pilnem i koniecznem, dla zapobieżenia smutniejszym daleko wypadkom, jak mogą być te straty, na jakie nie przeczymy, że nas uwłaszczenie włościan narazi.

Dogodność projektu swojego dla włościan, opiera p. Alexander Ludwig na tem, (36), że przy uwłaszczeniu pociągnąć by ich wypadało do uiszczenia większéj opłaty od téj, jaką by przy oczynszowaniu opłacać im przyszło. Gdy nie jest oznaczony czynsz z morgi, a zatem i różnica ta jeszcze liczebnie oznaczoną być nie może. Drogie gdyby nawet wypadło zapłacenie własności, miałoby ten dobry skutek że generacya ciężar ten ponosząca lepiéj by umiała szanować pozyskane dobrodziejstwo: przekazałaby to poszanowanie następcom a ta klassa co bez własności jak koniecznie być musi powstanie, nie zazdrościłaby uwłaszczonym ich pozycyi drogo okupionéj. Nadto cóżby było dziwnego, gdyby własność trochę więcéj kosztowała jak dzierżawa, o to trzebaby się prostego chłopskiego rozumu zapytać.

Zapowiedział nam nakoniec p. Alexander Ludwig, że największa z projektu jego dogodność wyniknie dla produkcyi krajowéj. Tak ważnéj rzeczy dowiedzenie oparł najprzód jak wszystko na przypuszczeniu o pożyczce Towarzystwa kredytowego (37) i na tem, że pożyczka ta, dałaby do rąk właścicieli fundusz na koszta rozgraniczenia gruntów włościańskich i uregulowania gospodarstwa na gruntach dworskich; jak również, że projekt jego daje więcéj czasu właścicielom, do przeprowadzenia tak ważnych zmian. Powtóre, oparł tę dogodność na pomocy, któréj się od skarbu dla niektórych właścicieli spodziewa (41). Prawda nie małe dwie korzyści, materyalna co do forszusu pieniężnego i moralna co do zysku na czasie;— cóż kiedy obiedwie podlegają wątpliwości, najprzód ze strony skarbu, a następnie ze strony Towarzystwa kredytowego. Nadto co do korzyści pierwszéj, ta upada zupełnie dla tych właścicieli, którym udzieloną przez Towarzystwo kredytowe pożyczkę, wierzyciele zabiorą, jeśli prawa tych ostatnich będą tak gorliwie, jak to chce mieć p. Alexan-

der Ludwig szanowane. Gdy zaś względność naszą dla właścicieli co do kapitału, nigdy własnością wierzycieli, ale własnością gospodarstwa, a zatem właściciela będącą; nazwał wielką niesprawiedliwością i prawie nonsensem, a proponuje i nazywa zasiłkiem dla właścicieli taką pożyczkę, do któréj my prawa wierzycielom nie zaprzeczamy, niechże nam daruje, że korzyści jaką on widzi my widzieć nie możemy. Dla obdłużonych więc właścicieli, tylko korzyść druga, zysk na czasie pozostaje, a i ta korzyść pokazuje się żadną, bo pierwszy właściciel taki, zupełnie upadnie i wioskę swą straci, zanim się w niéj ureguluje. Gdy więc wykazaliśmy, że w skutku natury pożyczki (jako z Towarzystwa kredytowego) i w skutku gorliwéj obrony praw wierzycieli, właściciele korzyści pieniężnéj w projekcie p. Alexandra Ludwiga wykazanéj osiągnąć nie mogą, a korzyść na czasie także jest bardzo względna; — gdy z zaniedbania wsparcia właścicieli, upadek ich gospodarstw, a zatem upadek produkcyi ogólnéj koniecznie wyniknie, bo nie można opierać jéj przynajmniéj w latach początkowych, a nawet i następnych, na produkcyi włościańskiéj, własne tylko potrzeby zaopatrującéj; gdy nakoniec produkcya ta, nie zyszcze na częstéj odmianie właścicieli, co koniecznie nastąpić by musiało przy upadku dzisiejszych właścicieli; — sądzimy że od zapowiedzenia swego, wielkich dla produkcyi ogólnéj korzyści, p. Alexander Ludwig odstąpić by powinien. Powie on na to może, że ten sam upadek zagraża właścicielowi przy uwłaszczeniu, które regulacyą gruntów poprzedzone być musi, a na to funduszów mieć on z nikąd nie będzie. Być to po części może, łatwiéj jednakże wielu właścicielom będzie pożyczyć gdzieś tymczasowo pewną sumkę, na koszta regulacyi włościan, w nadziei spłacenia jéj wziętą zaraz indemnizacyą, jak w nadziei pobierać się mających rocznych czynszów od włościan,

jaki postawiemy w wątpliwości, co jest ciągle bardzo do przypuszczenia, posiłkowanie oczynszowania przez Towarzystwo kredytowe, lub jeżli posiłkowanie to będzie ratunkiem dla wierzycieli, a nie dla, w jak można najtrudniejszéj pozycyi postawionego, właściciela. Przedewszystkiem więc tę wątpliwość usunąć by należało, zanim i co do tego punktu, wyższość projektowi p. Alexandra Ludwiga przyznamy.

Dziwno nam także i bardzo, jak znający tak doskonale stosunki krajowe p. Alexander Ludwig, mógł wyrzec (13). „Dla zasłonienia nakoniec właścicieli od trudności przy sprzęcie siana i zboża, gdyby włościanie „w pierwszych latach po oczynszowaniu wzbraniali się „wychodzić na najem, można dozwolić zastrzegać obok „opłaty czynszu, albo dnie pomocnicze, które po latach „6ciu zamienione zostaną na opłatę pieniężną, w wysokości zaraz przy zawieraniu kontraktu oznaczonéj; albo „najem przymusowy, co do ilości dni, rodzaju roboty i „wysokości wynagrodzenia stale oznaczony, do którego „przez lat 6 po oczynszowaniu byliby obowiązani.“— Jak to? więc p. Alexander Ludwig myśli o zmianie Najwyższego ukazu? lub o jego odwołaniu osobliwie co do najmu przymusowego? gdzież i kiedy się to w rządzie cesarsko rosyjskim praktykowało? Któż będzie śmiał wystąpić z taką propozycyą do tronu? Wprawdzie bywają wypadki że ukazem następnym zmieniany bywa ukaz poprzedni ale to tylko w wypadkach czysto administracyi wewnętrznéj lub finansowych nigdy we względzie jak tu jest politycznym, nigdy w skutku inicyatywy osób prywatnych do któréj to inicyatywy żadnego nie mamy organu. Nigdy na koniec nie można się spodziewać odwołania ukazu noszącego cechę postępu w kierunku filantropijnym o którą to zaletę dla ukazów swoich monarchowie rosyjscy a osobliwie dziś panujący tak bardzo stoi, i tak gorliwie jéj przestrzega. Niech nam

daruje p. Alexander Ludwig, pokazuje nam jak dziecku jakieś cacko, a cackami to tylko dzieci zabawiają. My jak niepragniemy tego cacka, jakim jest proponowane przez niego przywrócenie najmu przymusowego, tak też się nim nie ucieszymy. Żartuje sobie z nas p. Alexander Ludwig, a na to sobie nie zasłużyliśmy. Co zaś do zastrzegania dni pomocniczych i ich potem na pieniądze zamiany, tu w tym punkcie pokazał p. Alexander Ludwig, że o ile zna stosunki rządowe w kraju, wyjąwszy powyższéj pomyłki, o tyle nie zna chłopa polskiego, kiedy tak nigdy nie kończącemi się układami (bo w 6 lat zmiana i znowu kiedyś zmiana na uwłaszczenie) chce go zadowolnić, a na miejsce bezpowrotnie zrujnowanego dawnego patryarchalnego stosunku, takim stosunkiem niepewnym zaspokoić. Nadto taka mięszanina pod względem rodzaju wypłaty czynszu cóż za sobą prowadzi? oto że chłop pod exekucyą prywatną albo w wypłacie czynszu w gotówce albo w odrobku dni pomocniczych zalegać będzie, a pan na te zaległości się oglądając nie chętnie cenę najmu będzie podwyższał i obaj tracić będą; gdy przeciwnie przy uwłaszczeniu i exekucyi rządowéj w krótkich terminach rat indemnizacyjnych chłop musi szukać zarobku by kwotę potrzebną na termin uzbierał a pan nie mając na co się oglądać płacić będzie drożéj najem w miarę jego potrzeby. Taka konkurencya do najmu z jednéj strony a potrzeba jego z drugiéj, równoważyć będzie cenę pracy i do sprawiedliwéj normy ją doprowadzi. Oczynszowanie tych korzyści nie przedstawia.

Co do proponowanéj przezemnie zasady do ocenienia wartości gruntów włościańskich, która się tak p. Alexandrowi Ludwigowi nie podoba; po długich cytacyach i dowodach, doszedł on do téj konkluzyi, po raz pierwszy mówiąc niby to na obronę właścicieli, że nie można odbierać im tego, co się im od włościan z gruntów

przyrudowanych itp. należy i powiedział (19) „że wy-„wołane chwilową koniecznością zniesienie niektórych „powinności nie udeterminowanych *nie może być powo-„dem*, aby przy stałem uregulowaniu powinności, tamo-„wać właścicielom dóbr możność, zapewnienia sobie do-„chodu z gruntów w posiadaniu włościan zostających; a „w takiem położeniu stawiałoby uwłaszczenie wszystkich „właścicieli takich dóbr, w których stałe powinności od-„bywane są z dawnych gruntów, a z przyrudowanych „lub za dogodności leśne, odrabiali darmochy i najmy „przymusowe, dziś *chwilowo uchylone*". Prosimy uważać na dwa ostrożne wyrażenia się w tym ustępie, jedyną bronią p. Alexandra Ludwiga przeciwko nam będącym, a widocznie nadciągnionym, by zwalić zasadę naszą nie dla tego, żeby była nie słuszną, ale że jest słusznie na korzyść właścicieli ustanowioną. — Wyrażenia te są 1mo *nie może być powodem* i 2do *chwilowo uchylone*. Wyrażenie pierwsze jest tylko przypuszczeniem, ale nie jest i być nie może twierdzeniem na pewno, bo p. Alexander Ludwig nie wie i ręczyć za to nie może, czyli przy oczynszowaniu, te chwilowo jak nazywa uchylone, przez jakąś chwilową konieczność należytości, przez niego samego tak gorliwie dla właścicieli zastrzegane, będą im powrócone. Jednakże na tem przypuszczeniu oparł udowodnienie wielkich strat, na jakie przy uwłaszczeniu przezemnie proponowanym, bylibyśmy wystawieni. — Straty te przecież, jak z jednéj strony nie są tak wielkie, jak chce to nadciągnąć p. Alexander Ludwig, tak z drugiéj strony, nie ma powinności czyli przy oczynszowaniu, zarówno jak przy uwłaszczeniu, nas nie dotkną. Wyrażenie drugie: *chwilowo uchylone* pozwoli sobie p. Alexander Ludwig powiedzieć, jest dla nas wielką wątpliwością, bo nic się u nas chwilowo nie dzieje, cokolwiek dzieje się z Najwyższego Ukazu, nawet tam, gdzie Ukaz wyraźnie powiedział o tymczasowości. —

Ukaz znoszący darmochy nigdzie o tem nie wspomina. W ukazie zaś podnoszącym o drugie tyle podatki, jak najwyraźniéj powiedziano *tymczasowo* na pokrycie kosztów wojny, a jednak lat 12, płacimy podwójne podatki, i ani słyszeć by do dawnej normy powrócone być miały. — Gdy oprócz bezwzględnego orzeczenia o niesłuszności mojej zasady (20) więcej nad tę jedyną ze straty darmoch wynikającą, a tak przez p. Alexandra Ludwiga nadciągniętą niedogodność, projektowi mojemu nie zarzucił, to tylko mam mu do powiedzenia, że trudno na takich przypuszczeniach i na takiem podniesieniu do najwyższej potęgi strat małych, opierać korzyści oczynszowania nad uwłaszczeniem i potępiać mnie, tak mało złego mi dowodząc i takiemi pozornemi dowodami dowodzenie swoje popierając. Jeżeli brak map i inwentarzy, utrudniałby przy uwłaszczeniu dochodzenie praw właścicieli, to ten sam wypadek byłby i przy oczynszowaniu, gdyby co niepodobna, ukaz dał się zmienić i tak jak mniema p. Ałexander Ludwig, ta chwilowa tylko konfiskata mogła być powróconą.

Nie wiem dla czego nazywa p. Alexander Ludwig „niesłuszną“ podstawę, do obliczenia wynagrodzenia właścicieli przezemnie przy uwłaszczeniu proponowaną, wartość nie gruntu lecz pańszczyzny, kiedy ja się opieram na ukazie roku 1846, z mocy którego po darowaniu ogółu gruntów włościańskich, ogułowi włościan, już my prawa do wartości gruntów rościć sobie nie możemy, i tylko pańszczyzna pozostała jest naszą własnością; i kiedy sam przyznaję, (4) że pańszczyzna nie jest niczem innem jak tylko wypłaceniem się z dzierżawy robocizną. — Jest więc pańszczyzna procentem od kapitału, a ten zkapitalizowany, zdaje się być najprostszym i najłatwiejszym dojściem wartości ziemi, dawniéj czasowo, a po ukazie roku 1846 wieczyście wydzierżawionéj. — Wszakżesz Rząd pruski, którego o przychylność

dla właścicieli polskich w Xięstwie poznańskiem pomówić nie można, a jednak zostawił im do woli, albo podług wartości gruntów włościańskich, albo podług wartości pańszczyzny, należytość swoją od włościan przy uwłaszczeniu ich szacować. — Że zaś skasowanie Najwyższym ukazem niektórych praw właścicieli, utrudniło wymiar sprawiedliwy wartości, to da się jedynie naprawić, podniesieniem wartości dnia pańszczyznianego, tam gdzie tego konieczna zajdzie potrzeba, powstająca z niemożności rozplątania, tego nie przez nas zaplątanego gordyjskiego węzła. — O ile więc trudność ta nie pochodzi z winy projektującego zasadę, o tyle też przy uwłaszczeniu zawadzać nie powinna, bo znajdzie się również i przy oczynszowaniu, albo też przy n iem pominiętą być całkiem musi na szkodę właścicieli przypuszczając podług wszelkiego do prawdy podobieństwa niemożliwość zmienienia ukazu.

Co do ocenienia przezemnie dnia pańszczyźnianego złp. 1 odpowiadam, że nie myślałem wcale stanowić zasady, tylko przedstawiałem przykład, w znajomych mi okolicach praktykowany; a jak p. Alexander Ludwig nigdzie nie podaje liczebnie zasady, do ustanowienia czynszu rocznego z morgi przy oczynszowaniu przez niego projektowanem; i ta zapewnie stósownie do okolic kraju, byłaby w przyszłości oznaczoną; również i ja wartość dnia pańszczyźnianego temuż samemu względowi i porozumieniu się dobrowolnemu stron pozostawiam. Znajduje p. Alexander Ludwig zbyt wysoką cenę złp. 1 za dzień pieszy. — Nigdzie jednak nie objawił swego zdania wiele by go cenił, a przecież jak każda rzecz, tak i ta musi mieć jakąś wartość. — Prosilibyśmy o oznaczenie jéj, i w tym celu odsełamy p. Alexandra Ludwiga, jako zwolennika oczynszowania, do dzierżawców dóbr rządowych i prywatnych już oczynszowanych, niech

się ich raczy zapytać wiele go dziś płacą, a zobaczemy czyli my wartość tę przesadziliśmy.

Na jednę jeszcze rzecz zgodzić się nie mogę, to jest aby jak chce p. Alexander Ludwig, (12) Rząd ostatecznie z urzędu czynsz, lub jak u mnie wartość dnia pańszczyznianego, oznaczał. — Wolałbym decyzyą tę mieć pozostawioną w ręku komitetu obywatelskiego, lub komitetu *mixti fori* jeśli tego koniecznie potrzeba, w którymby tylko jeden członek rządowy, na przykład Radca ekonomiczny zasiadał; a to z powodu, że w decyzyi rządowéj, pewno byśmy sprowadzeni zostali do zasad rządowych, przy oczynszowaniu i klassyfikacyach gruntów praktykowanych. — Zasady te nie są dla właścicieli mniejszych posiadłości stósowne. — My tak hojni jak Rząd być nie możemy, by tak tanio jak mógłby to Rząd uczynić własność naszą sprzedawać. — Łatwiéj jest to Rządowi uczynić, bo jest o wiele zamożniejszy, od prywatnych właścicieli mniejszych posiadłości. — Rząd jest zupełnie w pozycyi większych właścicieli, a różnicę między nami dość już dobitnie przedstawiłem.— Jak właściciele wielkich posiadłości, tak Rząd, nigdy tych co my musiemy dochodów z dóbr swych wyciągnąć nie mógł, więc oddałby włościanom to, czego nigdy nie pobierał, i tanio sprzedając, jeszcze by zysk dla siebie znalazł. Innaj rzecz z właścicielami mniejszych posiadłości. — Nadto jak tylko by chłop wiedział, że w razie nieporozumienia się stron, Rząd ma decydować, z pewnością by na propozycye właściciela, choćby najumiarkowańsze się nie zgodził, bo te zawsze byłyby wyższe, od cyfer rządowych, częstokroć w dobrach sąsiednich ustanowionych. — Cyfer tych na pewnoby się włościanin spodziewał, a nie rachowałby dogodności, jakie mieć będą włościanie dóbr prywatnych, z nieodmieniania się ustawicznego posiadac a gruntów dworskich, jeśli tylko będą umieli zachować z tym posiada-

czem, jeśli nie dawny patryarchalny stosunek, to przynajmniéj sąsiedzką względność, na obopólny interes. — Decyzya ostateczna przez Rząd, jaką p. Alexander Ludwig zaproponował, udaremniałaby zupełnie dobrowolne porozumienie i zostałoby ono fikcyą tylko na papierze, nigdzie w czyn nie wprowadzą.

Jedną z przyczyn robiących ze mnie tak gorliwego zwolennika uwłaszczenia, że nawet jestem przeciwny oczynszowaniu uważanemu przez p. Alexandra Ludwiga za stan przechodni do uwłaszczenia; nie zapieram tego, że tą przyczyną jest, aby się nie wystawiać na niekorzystne porównanie w umysłach ludu, zasad dla nas koniecznych, z zasadami przez Rząd przyjętemi. — Dosyć już jest obudzonej niechęci i nienawiści, po cóż je jeszcze powiększać, a to byłoby skutkiem naturalnym podobnego przejścia. — Uwłaszczenie wprost przeprowadzone od tego zasłania, bo włościanin nasz ma dość zdrowe pojęcie interesu swojego, by zrozumiał, że inna całkiem jest rzecz być właścicielem, a inna czynszowaniem, i choćby też więcéj mu opłacać przyszło jak w dobrach rządowych płacą czynszownicy, nie uważałby się za pokrzywdzonego. — Pojmuję ja bardzo, że obstawanie przy oczynszowaniu na szacunku gruntów opartem, jest bardzo w interesie biurokratycznem, bo system ten otwiera na długie lata niezmiernéj liczbie indywiduów pole do nowych, koniecznie stworzonemi być muszących, licznych posad, otwiera pole do zysków rozmaitych i do przewłóczenia w tym celu jak najdłuższego całéj roboty jak się to dzieje w Wielkiem Księstwie Poznańskiem. — Ale nie przyjmuję i wątpię, by w większéj liczbie przynajmniéj właścicieli ziemskich, ta chwilowa jeśli jest przychylność do oczynszowania, długo przetrwać mogła. — Sądziłbym że uwaga ta, sprostować by powinna niektóre przez biórokracyą obałamuco-

ne wyobrażenia, i skierować je, do lepszego zrozumienia własnego i ludu interesu.

Ma zupełną słuszność p. Alexander Ludwig (29), że ja nietylko w pierwszéj chwili, ale aż do ostatniéj, obstawać będę przy tem, aby porównanie następstw oczynszowania i uwłaszczenia następowało pomiędzy projektami tak jak te projekta są przez każdego z nas obu podane, a nie po dowolnym jednego z nich zmodyfikowaniu. — Tym sposobem podstawa projektu p. Alexandra Ludwiga pozostanie zawsze tem czem jest, to jest zależną od mnóstwa *jèżeli*, a w podstawie mojego projektu pozostaną główne i jedyne; tak bardzo przeciwnika mego rażące dwie wady, to jest działanie niby to na szkodę kapitalistów, przez odmówienie im tego, do czego nigdy prawa nie mieli dla przyniesienia ulgi koniecznéj, na ciężkie straty narażonym właścicielom; i druga wada, a podług nas najprostsza i najsprawiedliwsza słuszność, to jest wzięcie za zasadę do wynalezienia wartości gruntu włościańskiego, opłaty od wieków przez włościan robocizną uiszczanéj, przez nikogo do roku 1846 nie zaskarżonéj, a nie oszacowania tychże gruntów, operacyi połączonéj z tylu formalnościami rzecz całą przedłużającemi i przy regulacyi gruntów znowu koniecznemi do powtórzenia; — operacyi dogadzającéj tylko widokom biórokratycznym i widokom stronnictwa właścicielom najnienawistniéjszego. Upierać się koniecznie przy tej zasadzie jest to umyślnie nie chcieć korzystać z doświadczenia w Xięstwie Poznańskiém gdzie wybór był właścicielom zostawiony. — Chwycili się ocenienia pańszczyzny a przecież lud nie jest przeciążony i przeprowadzenie uwłaszczenia się powiodło.— Zaletą główną projektu p. Alexandra Ludwiga, będzie powolność i systematyczność większa w przejściu do tak ważnéj przemiany społecznéj, ale na nieszczęście zaleta ta obok dwóch koniecznych warunków od Towa-

rzystwa Kredytowego i Skarbu zawisłych, otoczona jest wielką wątpliwością, ażali projekt ten da się w życie w prowadzić.

Nie zastrasza nas bynajmniéj zapowiedzenie przez p. Alexandra Ludwiga (29) „że gdyby chciał niezasadnie „potępiać uwłaszczenie, korzystałby z nietrafności środ„ków przez nas proponowanych i wykazałby złe następ„pstwa uwłaszczenia, chociaż takowe nie byłyby konie„cznem następstwem uwłaszczenia, lecz wypływałyby „z niewłaściwego jego wykonania“. Nie zastrasza nas to dla tego: że najprzód już tem powiedzeniem przyznał niejako sam przeciwnik wyższość naszemu chociaż nie projektowi, to systematowi, a my bynajmniej nie mieliśmy zamiaru spuszczać się do ostatnich szczebłów wykonania. — Owszem w pewności, iż gdy gdzieindziéj systemat ten dał się wykonać, to i u nas w wykonaniu przeszkód nie znajdzie, zostawialiśmy wykonanie ludziom fachowym, do tego celu od nas kompetentniejszym i tylko broniliśmy i bronimy saméj zasady.— Powtóre nie zastrasza nas dla tego, że gdy p. Alexander Ludwig, po tak surowym rozbiorze nie wykazał w projekcie naszym więcéj niedogodności, jak dwie wyżéj przytoczone, i tę trzecią w niewłaściwości podanego przez nas wykonania, która sądziemy da się usunąć, a dwie poprzednie nie są tak bardzo rażącemi, jak je przedstawić przeciwnik usiłował, wątpiemy, by więcéj niedogodności wynaleść potrafił, chyba *nie zasadnych*. Tych się nie bojemy, bo one równie jak nadciągnienie widoczne zrobionych projektowi naszemu zarzutów, umacniają w nas wiarę w systemat, którego broniemy, przekonowając, iż mimo niezaprzeczonéj wyższości przeciwnika, i jego w dowodzeniu zasobów, nic on tak zastraszającego nam nie dowiódł, coby nas z naszéj prostéj szczeréj i otwartéj drogi jaką idziemy, zwrócić było zdolne.

Jak dalece tak oczynszowanie jak uwłaszczenie spowoduje jak my utrzymujemy, lub nie spowoduje jak utrzymuje p. Alexander Ludwig, (30) kilkoletniego zaprzestania przez włościan odbywania robocizny na najem; a stąd czyli oczynszowanie bez warunków przez p. Alexandra Ludwiga zaproponowanych, będzie lub nie ruiną majątków drobniejszych właścicieli; i czyli fundusze są im potrzebne na przetrwanie kryzys, lub tylko na inne wydatki przez p. Alexandra Ludwiga wyszczególnione; są to kwestye, które się opierają na znajomości natury ludu i stosunków czysto gospodarskich. Ten więc z nas ma racyą, kto większą część życia swego z ludem i w gospodarstwie przepędził, więcej się starał lud poznać i do większéj pod tym względem doszedł jego i gospodarstwa rolnego znajomości. Rzecz tę, albo sumienne nasze przyznanie się, albo ocenienie twierdzeń naszych przez podobnych nam obywateli wieśniaków rozstrzygnąć jedynie może.

Zupełną przyznajemy słuszność twierdzeniu p. Alexandra Ludwiga (31), że o uwłaszczeniu bez odseparowania gruntów włościańskich, myśleć niepodobna i że odseparowanie to dużo byłoby później jak na początku kosztowniejsze.

Słusznym także widzimy zrobiony nam zarzut, że nie ustanowiliśmy rozległości gruntu, w któréj chcielibyśmy widzieć uposażonego każdego włościanina. Jeżeli to opuściliśmy, pochodzi to z téj saméj przyczyny, że broniąc jedynie zasady, komu innemu wykonanie jéj zostawialiśmy. — Sądzilibyśmy jednakże, że rozległość ta powinna być wzięta przecięciowo, z całéj przestrzeni gruntów przez włościan każdéj wsi obecnie, na jednakową ilość dni pańszczyznianych w tygodniu posiadanych, dzieląc tę przestrzeń przez ilość numerów osady, w tabelli prestacyjnéj figurujących, z zachowaniem toż-

samości co do położenia i natury gruntów, co nie byłoby tak trudnem do wykonania w każdéj wiosce.

Chcąc dać dowód p. Alexandrowi Ludwigowi, że nie jestem tak zapalczywym zwolennikiem uwłaszczenia jak mnie być osądził, to jest aż do żądania rzeczy niepodobnéj w wykonaniu, oświadczam jak najuroczyściéj, że tylko w niepodobieństwo to nie wierzę, a sądzę, iż takie jest dziś położenie rzeczy, że w żaden sposób o innym naszym z włościanami stosunku mowy być nie może, jak tylko o ich uwłaszczeniu, i to o ile można jak najprędzéj do skutku doprowadzonym. — Jeżeli jednak przeprowadzenie uwłaszczenia wprost napotyka takie przeszkody, że te w żaden sposób usunąć się nie dadzą, co wątpię, i jeżeli warunki projektu p. Alexandra Ludwiga dadzą się uskutecznić pod temi dwoma kondycyami, musiałbym się zgodzić na projekt przez niego podany, uważając go nie jako konieczność do uwłaszczenia, ale jako konieczność do obejścia trudności przeprowadzeniu uwłaszczenia wprost towarzyszących i jako ułatwienie włościanom środków do nabycia własności. — Nie mogę bowiem przyznać stósowności i porównania, (44) że oczynszowanie jest stanem przechodnim tak niezbędnym, jak uczęszczanie do szkół przed przyjściem do uniwersytetu, jak granie gam przed graniem większych kompozycyj. — O ile bowiem to jest każdemu wiadomo, że do zrozumienia nauk wyższych w uniwersytecie wykładanych, potrzebne jest przysposobienie szkolne, i że gamy są podstawą nauki muzyki; o tyle i to jest wiadomem, że gdy każdemu, a zatem i włościanowi, łatwiéj jest gospodarować na swojéj własności jak na dzierżawie, więc przejście do uwłaszczenia przez oczynszowanie, nie jest dla niego potrzebnem, jako stojące w odwrotnym zupełnie stosunku. — Z drugiéj strony właścicielowi zupełnie wszystko jedno bo na jednakie przemiany w jego gospodarstwie, tak oczyn-

szowanie jak uwłaszczenie, przez odjęcie pańszczyzny go wystawia. — Niestósowność tego porównania jeszcze jest i pod względem moralnym do zakwestyonowania, o ile bowiem stopniowanie, będąc koniecznym warunkiem do coraz wyższego w naukach i muzyce wydoskonalenia, obudza w uczących się dobre chęci, o tyle nie ma pewności, czy to powolne stopniowanie w dojściu coraz łatwiejszym sposobem do lepszéj materyalnéj i towarzyskiéj pozycyi, nie obudzi mniéj godziwéj już i tak dość u ludzi obudzonéj żądzy, przyjścia do téj pozycyi zupełnie darmo; tem więcéj gdy zwrócimy uwagę na to, że nikt ręczyć nie może, czyli jak to niedawno praktykowaliśmy, wstrząśnienia jakie społeczne, nie zapalą w szkodliwym kierunku umysłów w tym przeciągu czasu, jaki upłynąć musi między oczynszowaniem, a spodziewanem uwłaszczeniem. Podobno więc lepiéj o ile tylko jest to możebnem, od razu doprowadzić po drodze godziwéj i słusznéj lud nasz do tego szczebla pozycyi towarzyskiéj, którego nam dziś zazdrości, i nad który nic wyższego do żądania już mieć nie może.

Nie obstając uporczywie przy tem naszem wnioskowaniu jeżeli mu towarzyszą tak nieprzebyte trudności, i chcąc p. Alexandrowi Ludwigowi dać jeszcze jeden dowód czystości chęci naszych, jedynie dobro ludu na celu mających, gdy obecnie mamy także pod ręką Poranki karlsbadzkie przez Adama Krzyżtopora, nie w myśli bynajmniéj krytykowania tego dzieła, pełnego najpiękniejszych i najzdrowszych zasad, i pochodzącego od tak ze wszechmiar szanownego autora, ale w chęci przyrzucenia ziarnka piasku, do tego morza głębokiego nie pospolitą nauką i doświadczeniem, ośmielamy się zrobić tu parę uwag, jakie nam się czytając to pismo i pismo p. Alexandra Ludwiga nastręczyły. — Te acz trudne w zastósowaniu, są następujące.

Czyliby nie można w projekcie p. Krzyżtopora zrobić téj odmiany, iżby w miejsce proponowanego przez niego Banku polskiego, jako posiłkującego uwłaszczenie przez wzięcie w tym interesie strony jego finansowéj, podstawić Towarzystwo kredytowe ziemskie i Skarb, tak jak działanie tych instytucyj w celu oczynszowania włościan, p. Alexander Ludwig określa, (ma się rozumieć jeżli te władze na to się zgodzą) i obok modyfikacyi stósownych, dla każdéj z tych instytucyj, jako w miejsce Banku polskiego podstawionéj koniecznych, opierając pożyczkę Towarzystwa na taksie li tylko gruntów dworskich, wprowadzić w wykonanie projekt pana Krzyżtopora, i w części projekt p. Alexandra Ludwiga z temi małemi odmianami.

1. Aby w projekcie p. Alexandra Ludwiga nie obstawać koniecznie, ani przy jego ani przy mojéj do ocenienia wartości gruntów włościańskich zasadzie, lecz wziąść zasadę p. Krzyżtopora na stronnicy 122 zaprojektowaną, obu nas nibyto godzącą, to jest oprzeć obliczenie czynszu, razem na wysokości uposażenia i na wysokości prestacyi dotąd uiszczanych i tę przeciędową summę skapitalizować, z tem jedynie zastrzeżeniem, że jeżeli mnożenie summy, powyższym sposobem osiągnionéj, przez 20, zdaje się dawać za uciążliwy iloczyn na stronę włościan, to znowu mnożenie jéj przez 10, będzie za nadto z krzywdą właścicieli, więc należało-by jakąś w tym rachunku modyfikacyą zaprowadzić. — Zawsze jednak zwracamy uwagę na to, jak w Księstwie Poznańskiem pańszczyzna ocenioną została.

2. Aby w projekcie p. Krzyżtopora, w rozdzieleniu tak otrzymanego kapitału, zaprowadzić tę odmianę przez niego samego nawet na stronnicy 232 acz bardzo lekko dotkniętą; to jest aby nie $^6/_{10}$ na indemnizacyą dziedzica a $^4/_{10}$ na zaspokojenie potrzeb gromadzkich i gminnych rachować; ale wziąść stosunek $^7/_{10}$ i $^3/_{10}$. — Zdaje

się nam bowiem być $^6/_{10}$ i $^4/_{10}$ pierwsza cyfra za niska dla wynagrodzenia właściciela, druga za wysoka na cel do którego ją autor przeznacza, i cyfry $^7/_{10}$ i $^3/_{10}$ lepiéj i praktyczniej byłyby może zastósowane.

3. Aby rozdział znowu indemnizacyi dziedzica, proponowany przez p. Krzyżtopora na stronnicy 142, w stosunku $^1/_3$ dla dziedzica, a $^2/_3$ dla jego wierzycieli odmienić, jeżeli już koniecznie wierzycielom to prawo przyznane być musi, na rozdział przez połowę. — Dowody bowiem przez p. Krzyżtopora i przezemnie przywiedzione na udowodnienie że się tem krzywda tak wielka wierzycielom nie dzieje, a jak podług mnie że oni zupełnie prawa do indemnizacyi nie mają, znalazłyby tu zastósowanie. — Nam się zaś zdaje, że $^1/_3$ część indemnizacyi, małą bardzo albo żadną nie stałaby się właścicielom pomocą.

Pan Krzyżtopor lepiéj uwzględnił pozycyą właścicieli jak p. Alexander Ludwig, któren zapiera dla właścicieli kryzys w tem przejściu, a ztąd zapiera potrzeby funduszów na jej przetrwanie; co znowu chociaż przyznał p. Krzyżtopor, pominął jednak najważniejszą tego kryzys przyczynę, to jest brak ludności w naszym kraju.— Owszem na stronnicy 332 mówi o powiększeniu się ludności. — W szczęśliwszej widać odemnie mieszka pod tym względem okolicy, dla tego z tak odmiennych widzimy ten przedmiot stanowisk. Ja największą właśnie trudność działania osobliwie prywatnie (a o takiem tu jest mowa) widzę w braku ludności, i w niechęci chłopa naszego, do przystania na to, co pan by też najdogodniéj dla niego zaproponuje, a w oglądaniu się na to, co rząd u siebie zrobił i możniejsi panowie, których autor przytacza, a których trzebaby się zapytać jak dalece kontenci są ze swego dzieła. Zapytać by się także trzeba właścicieli mniejszych posiadłości, osobliwie w okolicach bezleśnych, czyliby mogli odstąpić do użytku

włościan swoje lasy, tak jak to uczyniono w Ordynacyi Hr. Zamojskich. — Udowodniłem już szkodliwość skutków jakie pociąga za sobą oczynszowanie uważane za stan przechodni, a to przez konieczność porównania przez włościan, zasad dla nas koniecznych z zasadami rządowemi. — Po cóż się sami mamy na to wystawiać? Dla tego oczynszowanie przedwczesne na drodze prywatnéj, uważam za niestósowne. — Zdaje mi się, że my powinniśmy czekać z robotą na to, co zrobić każą, a nie zarzynać się dobrowolnie. — Może przypadkiem zlitują się kujący zasadę do tego koniecznego przejścia, i ukują coś takiego, co nas z pod tego noża wyswobodzi, a jeśli nic lepszego nie wymyślą, to pewno i my nic lepszegobyśmy nie zrobili i pozostałoby nam w zysku tylko to przekonanie, żeśmy się sami dobrowolnie zarznęli.

Dla zaradzenia próżniactwu ludu, podaje p. Krzyżtopor jako środek żądanie od Stolicy Apostolskiéj, niektórych zmian pod względem starodawnych naszych praktyk religijnych. — Nie ze wszystkiem to podzielamy, bo najprzód nie chcielibyśmy widzieć religii wziętéj za instrument, i powtóre żal nam dawnéj pobożności ojców naszych, z którą i nam i ludowi naszemu tak dobrze dotąd się działo, i nikomu niezawadzała, poświęconéj dla interesu materyalnego. — Nie dziwujemy się że ksiądz proboszcz, jako pijar, przyjaciel nowości pod względem form religijnych, dał na to swoje przyzwolenie. — Nie myśląc krytykować, zostawiamy to zwolennikom Przeglądu Poznańskiego, oni to lepiéj od nas potrafią.

Radzi także p. Krzyżtopor, by zacząć od sprzedania budynków chłopom. — Jabym je darował gdyby chcieli przyjąć, ale nie chcą, jak tylko na zaraz dane zapytanie odbiorą odpowiedź, ze muszą odtąd o ich dobrym stanie pamiętać, i stawiać nowe swoją mocą jeśli dozwolą starym upadku, lub za pieniądze z Dyrekcyi

ubezpieczeń podniesione, jeśli ulegną spaleniu; jak również że opłata składki ogniowéj, do nich a nie do dworu odtąd regulować się będzie.

Należę bo kategoryi dziedziców na stronnicy 328 przez p. Krzyżtopora opisanych, a żadnego z grzechów na stronnicach 329 i 330 wymienionych, nie mam sobie do wyrzucenia, i dla tego właśnie tak śmiało i otwarcie zdanie moje otwieram.

Pisałem w zakątku moim na Powiślu, w Królestwie Polskiem, w miesiącu sierpniu 1858 r.

Onufry Sulima

SUPER FLUMINA BABYLONIS.

Nad cichym brzegiem Babilońskiéj rzeki,
Tam siadywali my i wspominali,
Na ciebie Syon, i łzę ocierali
Z czerwonéj łzami gorzkiemi powieki.
Na wierzbach harfy zawieszonéj drzewa
I strun porwanych zwieszały się końce;
Więc urągali nam: Czemu lud nie śpiewa?
Czemu te harfy wiszą tak milczące?
— A jakoż spiewać nam na ziemi cudzéj,
A jakoż palce kłaść na struny złote,
Kiedy królowie niegdy, ninie słudzy,
I jednę tylko znamy rzecz, tęsknotę?
Kiedy nam słowa wzdychanie zaparło,
I widowisko zmarłych niewiniątek,
Których tak wiele na tych brzegach marło
W oczekiwaniu dni weselnych świątek?
Więc my na wierzbach zawiesili lutnie
Struny oddając wichrom wzruszającym,

A wy pytacie czemu siedzim smutnie
Przed miastem ludów i przed dniowem słońcem?
O niech wprzód język zeschnie nam na skórę
Nim zaśpiewamy utrudzeni żalem;
Niech wprzód prawicę zapomnimy wtórę,
Nim utraconą świętą Jeruzalem!
O ziemio! ojców niech nas pomsta kosi,
Jak polną trawę kosarz letniéj pory,
Zanim wygnańcy na tych brzegach bosi,
Przywdziejem na się ludów tych bisiory.
Niech nas gniew Boży okryje jak morzem
I powytraca do ostatniéj głowy,
Jeśli na czele szczęścia nie położym
Syonu świętéj góry Dawidowéj.
O! Babilonie, o ziemio przeklęta,
Na którą oczy zdroje łez wylały,
Szczęsny kto porwie twoje niemowlęta,
I jak skorupy rozwali o skały!....

Teofil Lenartowicz.

Ś. FRANCISZKA SERAFICKIEGO

PIEŚŃ O STWORZENIACH

CZYLI

O BRACIE SŁOŃCU.

O wszechmogący, dobry gospodynie!
Błogosławieństwo, chwała, cześć we wszystkiem
Tobie jednemu, bo od Ciebie płynie —
I człek niegodzien nazwać Cię nazwiskiem.

* * *

Chwała bądź Panu z tworów Jego likiem,
Szczególniéj z bratem słońcem, co obdarza
Dzionkiem nas, świeci swym własnym promykiem,
Jasno-promienne — Boga wyobraża. —

* * *

Chwała Ci! siostrze xiężycowi gwoli,
I chwała gwoli tym gwiazdom na niebie,
Któreś rozsypał jak ziarnka na roli —
Czyste, świetlane, by patrzyły w Ciebie.

*
* *

Chwała bądź Panu gwoli wiatru bratu
Gwoli powietrzu, chmurom i pogodzie,
By świat wilżyły i wiały po światu
Ku Twoich stworzeń dobru i wygodzie.

*
* *

Chwała bądź Panu prze wodę siostrzycę
Czy źródła, rzeki, napełnia, czy morze —
Wszak pożyteczna, i czyste ma lice,
I zawsze nisko ściele się w pokorze.

*
* *

Chwała Ci Panie w bracie ogniu, którym
Przyświecasz mrokom i nocom ponurym.
O jak wesoło skrzą się jego głownie!
W pożarze tylko straszny niewymownie.

*
* *

Chwała bądź Panu gwoli matce ziemi,
Ona nas żywi i dźwiga na grzbiecie,
Wiosną się stroi kwiatami barwnemi
Owoc jesienią nam daje i w lecie. —

*
* *

Chwała bądź Panu, chwała w tych, co mogą
Przebaczać krzywdy dla miłości Bożéj —
Cierpliwie w życiu iść krzyżową drogą,
Błogosławieni, którzy cierpieć mogą,
Pan im zbawienia wieniec na skroń włoży.

*
*   *

Chwała bądź Panu, i w téj siostrze naszéj
Śmierci cielesnéj, co nieuniknioną —
A biada temu, który w grzechu skona —
A błogo temu, kto wolę Twą kona —
Bowiem śmierć druga już go nie przestraszy.

*
*   *

Niechże cześć, chwała, będzie Panu dana:
Pełńcie w pokorze służbę wedle Pana.

Wszystkie największe utwory świętego zachwytu i natchnienia obchodziły się bez pomocy przepisów i wymagań sztuki, a jednak zawsze są najwonniejszą jéj zaprawą i treścią. — Dziś kiedy chcemy szczytne te dźwięki przelać w mowę pisemną, narażeni jesteśmy na niemałą trudność i niepokój — trudność, bo proste słowa pierwotworu przelane dosłownie, nieodpowiadają dzisiejszym wymaganiom sztuki — niepokój, bo używając sztuki do przekładu, popełniamy jakby świętokradztwo

pozwalając sobie rozciągać, przemieniać, glossować nietykalne doskonałości świętego textu.

Temi myślami przejęty, gdym wykonał przekład rymowy kantyku ś. Franciszka, spostrzegłem że ten przekład mimo swéj wierności jest parafrazą oryginału — niepozostało mi zatem nic innego, tylko podać tu czytelnikom text włoski, wraz z dosłowną wersyą, aby tym sposobem mogli osądzić ile pierwotnéj woni namaszczenia, zatrzymało się w mojéj parafrazie.

Altissimo omnipotente bon signore:
Tue son le laude, la gloria et l'honore et ogni benedictione:
A te solo se confano:
Et nullo homo è degno de nominar te.

Laudato sia Dio mio signore cum tutte le tue creature, specialmente messer lo frate sole:
Lo quale giorna et illumina nui per lui:
Et ello è bello et radiante cum grande splendore:
De te signore porta significatione.

Laudato sia mio signore per sor luna et per le stelle:
In célo le hai formate clare et belle.

Laudato sia mio signore per frate vento et per l'aire et nuuolo et omne tempo:
Per le quale dai a le tue creature sustentamento.

Laudato sia mio signore per sor aqua:
La quale è multo utile et humile et pretiosa et casta.

Laudato sia mio signore per frate foco, per lo quale tu allumini la nocte:
Et ello è bello et jucundo et robustissimo et forte.

Laudato sia mio signore per nostra matre terra:
La quale ne sostenta et guberna et produce diversi fructi et coloriti fiori et herbe.

Laudato sia mio signore per queli que perdonano per lo tuo amore et sosteneno infirmitate et tribulatione:
Beati queli que sostenerano in pace: che da ti altisimo serano incoronati.

Laudato sia mio signore per sor nostra morte corporale:
De la quale nullo homo viuente pò scampare.
Guai a queli que more in peccato mortale:
Beati queli que se trouano ne le toe sanctissime voluntate:
Che la morte secunda non li porà far male.

Laudate et benedicite mio signore et regratiate:
Et seruite a lui cum grande humilitate.

Najwyższy, wszechmogący dobry Panie
Twoja cześć, chwała, uwielbienie i wszelkie błogosławieństwo:
Tobie jednemu należą się,
A żaden człowiek niegodzien nazwać Cię.

* * *

Pochwalony bądź Boże Panie mój, ze wszystkiem stworzeniem Twem, a szczególniej z panem bratem Słońcem,
Które dzień sprawia i świeci nam przez siebie.
A piękne jest i promieniejące wielką światłością
I o Tobie Panie dające świadectwo.

* * *

Pochwalony bądź Panie gwoli siostrze twéj Księżycowi i gwoli gwiazdom,
Któreś na niebiesiech porobił przejrzyste i piękne.

* * *

Pochwalony bądź Panie gwoli bratu wiatrowi gwoli powietrzu, obłokom, oraz pogodzie i wszelkiemu czasowi.
Bowiem przez nie dajesz utrzymanie swoim stworzeniom.

* * *

Pochwalony bądź Panie gwoli siostrze wodzie, która wielce jest użyteczna i pokorniutka, i drogocenna i czysta.

* * *

Pochwalony bądź Panie gwoli bratu ogniowi, za pomocą którego rozświecasz noc.

A piękny on i wesoły i bardzo silny, i gwałtowny.

* * *

Pochwalony bądź Panie w matce naszéj ziemi

Która nas żywi i nosi i rozmaite owoce wydaje oraz barwiste kwiatki i zioła.

* * *

Pochwalony bądź Panie i w tych co przebaczają z miłości dla Ciebie, i znoszą cierpliwie choroby i umartwienia.

Błogosławieni którzy przecierpią w cichości; Najwyższy Pan da im za to koronę.

* * *

Pochwalony bądź Panie i w siostrze naszej śmierci cielesnéj.

Któréj żaden żywy człowiek nie wyminie.

Biada umierającemu w grzechu śmiertelnym.

Błogosławieni konający w zgodzie z przenajświętszą Twą wolą.

Bo druga śmierć niemoże im nic zaszkodzić- —

* * *

Chwalcie i błogosławcie Pana i czyńcie mu dzięki

I służcie Panu w największéj pokorze:

* * *

Powyższa pieśń ś. Franciszka Serafickiego zwana zazwyczaj pieśnią o bracie słońcu (*de lo frate sole*) jest niezaprzeczonéj autentyczności, chociaż dopiero w sto sześćdziesiąt lat po śmierci świętego wspomniał o niéj Bartłomiéj z Pizy w księdze pisanéj r. 1385.

Następujące szczegóły o niéj podaje kronika Franciszkańska. —

Pewnego razu gdy święty Franciszek spędził był czterdzieści nocy na czuwaniu, wpadł w zachwycenie, poczem rozkazał bratu Leonardowi wziąść pióro i pisać Jakoż wyśpiewał hymn o Stworzeniach, czyli o słońcu. i polecił bratu Pacyfikowi który był kiedyś poetą, aby słowa w dokładny rytm ujął, i aby tę pieśń wyuczyli się bracia na pamięć i odmawiali każdego dnia.

Pierwszy rzut téj pieśni kończył się na siedmiu pierwszych strofach — lecz zdarzyło się iż właśnie pod ten czas zaszła wielka kłótnia między biskupem Asiżu, a władzami miejskiemi; Biskup rzucił klątwę — władza miejska wetując, wyjęła pasterza z pod prawa i zabroniła mieszkańcom wszelkiego z nim i jego podwładnymi stosunku. Święty Franciszek zmartwiony tą waśnią obywateli, użalał się, że nikogo niema, któryby pośredniczył do zgody, i w téj myśli dodał następującą strofkę.

„Pochwalony bądź panie gwoli tym, co przebaczają dla miłości Twojéj“.

Poczem rozkazał aby uczniowie jego poszli wprost do władz miejskich, nakłonili je do stawienia się przed biskupem, i przybywszy na miejsce zaśpiewali na dwa chóry tę nową strofę. Uczniowie spełnili rozkaz, a na dźwięk tych słów miłości, którym sam Bóg zdawał się użyczać cudownéj mocy, nieprzyjazne strony uściskały się ze skruchą, prosząc o wzajemne win przebaczenie.

Niedługo potem ś. Franciszek mając nadwątlone zdrowie, zaprowadzony został do Foligno, aby zmiana powietrza przywróciła mu siły. W rzeczy samej uczuł ulgę, aleź wkrótce miał objawienie, że cierpieć będzie jeszcze przez dwa lata, poczem przejdzie na spokój wieczny. Uszczęśliwiony tą przepowiednią, złożył ostatnią strofę:

„Chwała bądź Panu i w siostrze naszéj śmierci cielesnéj, któréj żaden żywy człowiek nie ujdzie i t. d.

Sposób ten tworzenia cząstkowie, urywkowo, w miarę natchnień serca i potrzeb chwili, zupełnie zgadza się ze sposobem tworzenia wielkich poetów jak Dante, Kamoens, którzy w swoich podróżach i na wygnaniu nosili ze sobą rozpoczęte dzieła, dodając każdego dnia po trochę gorącego wyrazu swych bólów, cierpień lub nadziei.

Pieśń ta jest krótka, a jednak cała dusza świętego odzywa się z niéj. Jest i braterska jego miłość do stworzeń i miłość chrześciańska rzucająca go w kłótnie publiczne dla przywrócenia zgody — i ta nakoniec nieograniczona miłość która szukając Boga w naturze i służąc mu w cierpiącéj ludzkości, za niczem nie tęskni tylko żeby się z nim spotkać w godzinie śmierci. W pieśni téj powiewa owe natchnienie ziemskiego raju, jakim jest piękna Umbria, gdzie niebo takie złote, a ziemia tak ukwiecona. Język w niéj pełen prostoty poczynającego kształcić się języka. Nie jest to jak już mówiłem sztuczna kompozycya liryczna, ale krzyk serca, krzyk rodzącéj się poezyi włoskiéj, która rozległszy się po całéj ziemi, może się pochlubić tak szczytnym początkiem, jakim się żadna niepochlubi.

Lucyan Siemieński.

PADYSZAH

I CZTERECH DERWISZÓW *).

Autobiografia Padyszaha Azad Becht.

Azad Becht z kolei tak rzecz zagaił.

O Derwiszowie! Zrządzeniem miłosierdzia bożego i łaską Stworzyciela, po przeniesieniu się ojca mojego z téj doliny płaczu do rajskich dziedzin wieczności, siadłem na tronie wszechwładzy, na dywanie mocarstwa. Młody i przedsiębiorczy, zmusiłem cesarza byzanckiego do słuchania rozkazów moich, a jego państwo, niby wosk miękki zgniotłem pod pieczęcią moją.

Niebawem późniéj, przyjechał jakiś kupiec z Bedehszanu do Byzantu. Towarów miał co niemiara, klejnoty, drogie tkanki i inne osobliwości. Sława jego gruchnąwszy po mieście doszła aż do uszu moich. Kazałem mu

---

*) Zob. *Dodatek* z czerwca 1858.

jawić się u dworu. Celem moim było zasiągnąć wiadomości o tém, co i jak się dzieje w państwach innych mocarzy, dowiedzieć o zaletach królów potężnych i o postępkach panów przemożnych, poznać niedolę i dolę narodów świata. Gdy przyprowadzono kupca na dwór mój, ofiarował mi w darze szkatułeczkę. Otwieram ją i znajduję prześliczny rubin ważący trzy *miskale* *), bez skazy i najczystszéj wody. W skarbcach mojego ojca nie było równie pięknego rubinu, i dotąd ani słyszałem nawet o podobnym klejnocie. Ucieszyłem się tedy niezmiernie; widziałem w darze szczęśliwą wróżbę przyszłości mojéj, uczciłem dawcę, osypałem go honorami i nagrodami. Dałem mu firman rozkazujący wszystkim poddanym mego cesarstwa aby go wszędzie przyjmowano jak najuprzejmiéj, bezpłatnie podejmowano, nad jego zdrowiem i całością towarów czuwano i za świadczone mu usługi, ani grosza nie brano.

Długo bawił na moim dworze i istotnie, był to mąż wielkiego doświadczenia, wymowny, grzeczny i co dzień odkrywałem w nim nowe zalety. Jego podarunek, ów rubin nad rubinami, stał się pieszczotą oczu i duszy mojéj. Co dzień chodziłem popatrzeć nań w skarbie i rad pokazywałem go obecnym, dziwili się chwalili i tak czas mijał.

Pewnego dnia poseł z europejskich krain przybył powinszować mi wstąpienia na tron. W naznaczoną godzinę wprowadzony do posłuchalnéj izby: Uczta wspaniała królewskim lśniła się przepychem; książęta państwa i urzędy dworu, każdy siedział na swojem miejscu. Wedle zwyczaju i stósownie do woli mojéj przyniesiono szkatułeczkę z rubinem. Napatrzywszy się i nachwaliwszy do woli, pokazałem go posłowi. Z nie-

---

*) Jeden *miskal* odpowiada $71^{3}/_{4}$ granom angielskiéj wagi.

małem zdziwieniem zauważaliśmy że poseł uśmiechnął się patrząc na klejnot i że go chwalił tylko dla grzeczności.

Między urzędnikami mojemi miałem starca, niegdyś ministra dworu ojca mojego. Człowiek ten mądry i doświadczony, powstawszy z miejsca swojego, po odmówieniu modłów za zdrowie moje i zwykłych pochwał, prosił o głos, otrzymał zgodę moję i rzekł:

„Nie przystoi mocarzom świata dziwić się lada czemu. Ten rubin ważący trzy *miskale*, niegodzien tylu pochwał twoich. Kamień jest zawsze kamieniem tylko, jakkolwiek piękny; więc możnaby go mniéj wychwalać w obecności cudzoziemców. Tem bardziéj że ten rubin istotnie nic nadzwyczajnego. W Chorasańskiem mieście, Niszapur, znam kupca, co psu swojemu sporządził obróżę ozdobioną dwunastu rubinami, z których każdy waży siedm miskalów.“

Obraziły mię zuchwałość i nagany starca, kazałem go śmiercią ukarać. Poseł europejski prosił o przebaczenie winowajcy, wstał i uczciwie kłaniając się mówił.— Błagam cię monarcho, racz mi wytłumaczyć w czém on przewinił? —

Rzekłem: kłamcą jest. Poseł rzekł:

Ale któż mu dowiódł kłamstwa?

Któż ze zdrowym rozsądkiem, da wiary ażeby kupiec co dla lichego zysku frymarczy życiem i zdrowiem, naraża się to podróżując przez dzikie pustynie, to na kruchéj łodzi po morzach Omanu i Kulzymu *), ażeby, mówię, podobny człowiek zgodził się ozdobić obróżę psa swojego aż dwunastu rubinami ważącemi po siedm miskalów? —

---

*) Morze czerwone, *Kylzym*.

Poseł w odpowiedź ucałował ziemię służb pokornych i rzekł: „Padyszahu! niech szczęście służy ci drużnie, niech dola będzie orędowniczką prac twoich! Na morzu świata są odlewy i przylewy, na ziemi jego pełno pochyłości i wzniesień, a nocy idą za dniami. Dla tego więc każda wieść każde twierdzenie ma swoją stronę prawdy i kłamstwa. Bardzo być może iż i owa obróża egzystuje. Gdyby też nawet staruszek ex-minister dla poparcia prawdy swojéj, okrasił ją zmyśleniem, to tém lepiéj:

Wiersz. Ministrowie są umem królów, są wszystkiem na czem świat stoi.

Woléj kłamstwo pożyteczne niż prawdę zdradliwą.

A oprócz tego wszystkiego, niegodzi się mocarzom ażeby karali śmiercią swojego sługę, zanim się nie przekonają o istocie winy jego, ani uprzednich zasług jego zapominali. Do czegóż budują ostrogi i więzienia, jeżli nie przeto aby w chwilę gniewu monarchów i sędziow i wrazie podejrzenia na kogo, niekarać natychmiast ale go uwięzić i czekać aż gniew pański ochłonie, a grzech oskarżonego udowodni się. Takim sposobem krew niewinna nigdy nie skala poły szat sędziego."

Na próżno szukalem sposobów jak przekonać posła. Uczciwie ale dzielnie zbijał dowody moje, i arcy dowcipnie ukołysał gniew mój. Rzekłem:

„No zgoda, przez wzgląd na ciebie, niech go niezabijają, a tylko zamkną do więzienia. Daję mu cały rok dla usprawiedliwienia się. Jeśli dowiedzie mi słuszności słów swoich, uwolnię go. W przeciwnym razie wiem co rozkażę!"

Poseł ucałował podłogę służb pokornie wdzięcznych, a staruszka ex-wezyra poprowadzono do więzienia. Rodzina dobrego staruszka dowiedziawszy się o tém zaczęła narzekać i płakać, krzyk i żale podniosła. Miał on jedynaczkę córkę, panienkę bardzo ozdobną wdzię-

kami ciała, rozumu, dowcipu i nauki i powabem siedmnastu lat swoich. Pisała dziwnie piękném pismem i stylem. Ojciec ją kochał i obok własnego domu wybudował dla niéj dom osobny. Napełnił go wszystkiem co uprzyjemnia życie. Odaliski krasne, śpiewaczki sławne głosem i znajomością muzyki, dał na posługę jéj. Siostry książąt i córki panów zamożniejszych, zawsze otaczały szczęśliwą a miłą wezyrownę. Dni i noce mijały na falach wina i harmonii.

Otóż gdy wezyrowna, to jedyne zepsute dziecko szczęścia, w owym dniu niefortunnym, weseliła się ze swoimi, codziennym zwyczajem; — nagle wpada do nich jéj matka: warkocze w nieładzie, twarz we krwi *) bez turbana i boso, tłukąc się w piersi, jęcząc, oburącz biła sobie skronie.

Wiersz. Przebóg! o matki, nierodźcie wy córek, a gdy je rodzicie, niech nie żyją długo! —

„Córka nie pomści się za zniewagę rodziny. Gdybym ja zamiast ciebie, miała syna, choćby ślepego lub chromego, ujął by się, upomniał za niesprawiedliwość, palcami rozumu starł by z serca rdzę boleści, rozwiązałby węzeł trudności mojéj.“

Córka niewiedząc jeszcze o niczém, pociesza matkę, bada co się stało? pragnie odkryć przyczynę łez i rozpaczy matki, pyta: zkąd ci ta chęć bycia matką chromych i kulawych? — Matka mówi: „Okryjmy się popiołami pokutnic, trzebaż nam większéj biady, jak to, że za jedno słówko przyśmielsze, wyrzeczone w obec króla, twój ojciec wtrącony do więzienia. Król w gniewie za to że mu ojciec twój powiedział iż jakiś kupiec w Niszapurze, ma dwanaście rubinów siedmiomiskalowych,

---

*) Kobiety wschodu kaleczą sobie twarz i piersi pazurami nawet żelazem, na znak rozpaczy i boleści.

na obróży psa swego. Gdyby nie wstawienie się posła europejskiego, ojciec twój nieżyłby już, król dał mu rok zwłoki dla dojścia prawdy, inaczéj niezawodnie go zabije! Otóż gdybym miała syna, nie córkę, mógłby pojechać aż do Niszapuru a wróciwszy przebłagać gniew pana, oswobodzić ojca starego! „Biada nam biada!“

Na to wezyrowna odpowie: „Bądź dobréj otuchy, matko! Prawdę mówisz, ale niezapominaj że przeznaczenia nikt nie przeinaczy. Trzeba cierpliwie znieść niedolę i zgodzić się na wolę najwyższą, zanim los nie polepszy się. Niedobra więc męczyć się płaczem i skargą. Bądź co bądź, na nieszczęście nie masz innéj rady jeno cierpliwość.

Wiersz. Cierpliwość i zwycięstwo, są dwie stare przyjaciołki. Z kolei, po cierpliwości, przybywa zwycięstwo.

Otóż prośmy Pana Boga o swobodę ojca mojego, a módlmy się za pomyślność naszego Padyszaha, bo my wszyscy jego słudzy i dzieci sług jego, co on rozkaże to najlepsze.“

O derwiszowie! ta mądra wezyrowna, rozsądną radą ukoiła serce matczyne. Niebrudząc łzami niewczesnéj rozpaczy ani kwiatów ani dywanów rozkoszy swojéj, wezyrowna pobiegła rozmówić się z eunuchem haremu. Był to mąż nielada, wychował ją dzieckiem a teraz czuwał nad jéj skarbami i rządził domem z zupełném zaufaniem pani i wychowanki swojéj. Sam na sam z eunuchem, zręcznie sypanemi cukrowemi słówkami, przypomniawszy mu wszystkie dowody wierności i przywiązania jakie jéj dawał od lat dziecinnych, tak mówiła daléj.

„Chcę ażebyś mi pozwolił jechać z sobą dla oswobodzenia ojca mojego, dla rozproszenia wszelkiéj wątpliwości na przyszłość. Udajmy się w głąb Persyi, aż do samego Niszapuru, dla powzięcia języka od ludzi godnych wiary. Da Bóg wrócimy tu z owym kupcem

chorasańskiem do naszego padyszaha, i uwolnimy niesłusznie cierpiącego więźnia.“ —

Eunuch, zrazu niechętny, widząc że wezyrówna nalega, skończył zgodzeniem się. Uradzili, iż pokryjomu, eunuch wyszuka dwóch przewodników persów świadomych drogi, i zaopatrzy się w pieniądze i klejnoty, aby wrazie potrzeby niezbywało na niczém.

Wszystko to eunuch uskutecznił bez zwłoki. Jak tylko rzeczy i ludzi przygotowano, wezyrowna przebrała się po męzku; zapasy, suknie towary i klejnoty, zapakowane starannie, kazano juczyć na wielbłądy; wyszła z eunuchem tak ostrożnie iż nikt niepostrzegł; dosiedli rączych czworonogów i daléj w podróż, do Persyi. Matka i domowi najprzód postrzegli nieobecność wezyrówny, ale trwożąc się i unikając niesławy taili przed królem i dworzanami.

Wezyrówna, przebrana za giermka eunuchowego, jechała daléj i daléj z eunuchem i resztą spółpodróżnych. Podobna słońcu jasnemu, siedmnastoletnia, w kwiecie krasy i młodości, wesoło i rzeźwo przyjeżdża do Niszapuru. Towary, ludzie i konie, pomieszczono w karawanseraju. Odpocząwszy przez noc, wezyrówna udaje się do łaźni. Jéj cyprys, obmyty z kurzu podróżnego, z sercem pełném nadziei, rozkosznie się przechadza po bazarach. Tak przypatrując się, bawiąc, przychodzi w punkt środkowy (czeharsuk) bazarów i zatrzymuje się przed sklepem jubilerskim: rozmaite kamienie, perły i drogocenne klejnoty, bez liczby i miary, świeciły się zsypane w kupy, niby zboże w horudach. Mężczyzna, około lat 45, pańskiego wejrzenia, poważny, w kosztownéj sukni, siedział w sklepie na dywanie, wsparty, o atłasową poduszkę. Przed nim słudzy i zwolennicy, w pasach i czapkach rzęśniejących złotem, stali rzędem. — Przed sklepem kilku innych panów siedziało w krzesłach, rozmawiając. —

Wezyrownę (zawsze przebraną po męsku) uderzył w oko i sklep i jego gospodarz z atłasową poduszką, rzekła sobie: to niezawodnie musi być ów kupiec, o którym ojciec mój powiedział Padyszahowi.

Tak wiedziona przeczuciem i poruczywszy się opiece Boga najwyższego, spojrzała w inną stronę i cóż widzi? oto drzwi otwarte prowadzą do innego sklepu, pustego, bez towarów, tylko w nim dwie klatki stalowe, ogromne stoją. W każdnéj z nich siedział człowiek uwięziony, wyzuty z wygód i spokoju. Ich głowy i brody sędziwe, pokryte włosami sięgającemi do pasa. Pazury podobne szponom zwierząt drapieżnych. Twarze zżółkłe, oddech zimny, i serce boleści pełne. Na ciele skóra przyschła do kości, słowem postacie jakich ani najopłakańszy los dotąd nikomu jeszcze niepokazywał, o jakich ani ucho starszego i nowszego świata dotąd nie słyszało. Drzwi klatek zaryglowane, a przy nich dwaj oprawcy, murzyni, barczyste chłopy okropnego wejrzenia strzegli więźniów.

Wezyrówna, modląc się ze strachu, idzie daléj. Widzi sklep inny ze drzwiami otwartemi: podłoga usłana jedwabnemi dywanami z haftem złotym; mozaikowe krzesło stało pośrodku z kapą adamaszkową a na kapie wylegał się pies w obróży osypanéj brylantami w czapraku złotogłowym, przywiązany łańcuchem złotym. Psisko spało. Tuż przy krześle stała złota miednica pełna wody, a dwóch pachołków europejskich, z twarzą jak księżyc w pełni, gotowi do usług, jeden w ręku miał wachlarz z piór pawich i wiał nim nad kundlem, drugi ręcznikiem batystowym ocierał z pyłu psie nogi przednie i tylne.

Wpatrując się tak dziwnemu widowisku, wezyrówna dostrzegła że na obróży psiéj były istotnie owe siedm rubinów. Więc dziękuje Najwyższemu za tak pożądane

odkrycie i przemyśla jakby tu napisać o tém wszystkiem akt urzędowy, ztwierdzony pieczęcią dla posłania padyszahowi swojemu. Powieściarz dodaje, że: blask promiennéj piękności wezyrównéj, roznieeał pożar w sercach i duszy przechodniów; cały bazar spłonął ogniem miłości. Czyj tylko wzrok zatrzymał się na słońcu jéj wdzięków, olśniony wisiał nad nią i krążył koło niej jak owe złote pyłki krążące w jasności słonecznéj. Zewsząd zbiegali się na środek bazaru i stawali uderzeni jéj krasą. Tłum gęstniał tak, że nakoniec przegrodził ulice i utrudnił komunikacyą. Kupiec, ów jubiler, dowiedział się o tem wtedy już gdy lud miejski otaczał wdziękinię ogromnym wieńcem jak wieniec kręgu księżycowego. Posłał więc jednego ze służących swoich prosząc aby gość drogi *) raczył zajść do sklepu i uszczęśliwił kupca obecnością swoją.

Wezyrowna, istny miesiąc nieba powabów, przyjęła chętnie zaprosiny. O derwiszowie! jak tylko padły na nią oczy jubilera strzała miłości puszczona z łuku brwi wdziękini, utkwiła w sercu jego.

Wiersze. Strzała rzucona z silnego łuku, przebija na wskróś namiot duszy kochanków.

Wrażenie sprawione na nim nieuszło bynajmniéj bystrego wzroku wezyrowny. Zbladł zarumienił się i westchnął.

Wiersz. Częste zmiany rumieńca i nagłe bicia serca, zdradzają wszędzie i wstydzą biednego kochanka.

Wezyrówna pobiegła ucałować rękę poważnego kupca, a on szczęśliwy przycisnął ją do piersi i tulił jak ojciec ukochane dziecię. Pocałował ją w czoło i posadził przy sobie. Po wzięciu i oddaniu zwykłych pozdrowień i grzecznostek, zapytał: Błogi młodzianku! po-

---

*) Nietrzeba zapominać że wezyrówna przebrana po męsku, uchodzi za mężczyznę.

wiedz mi jakiego kwietnika jesteś różą? Jakich gajów cyprysem? Jakiéj ostrygi perłą? Jaka szczęśliwa strona przysyła nam tu ciebie?— W odpowiedź rzekła: Szanowny panie! Konstantynopol jest moją ojczyzną. Ojciec mój całe życie trudnił się handlem. Teraz w siedmdziesiątym już roku, stracił wzrok i przymuszony siedzieć w domu, wysłał mię podróżować i uczyć się. Otóż, że niemogę znieść morskiéj podróży, wolałem najprzód zwiedzić Persyą. Jadąc w niejednem już mieście słyszałem pochwały wdzięków i cnót twoich, zażądałem poznać was, i w tym celu przybyłem do Chorasanu. Dzięki Bogu, miałem szczęście ucałowania stóp waszych. Te i temu podobne pochlebstwa z takich jak jéj ust i oczu, opętały do ostatka wszystkie zmysły rozkochanego jubilera, rzekł:

Wiersz. Deptaj po trupach miłości twojéj. Co krok spotkasz tu tysiące dusz zakochanych, padłych na hekatombę pod nogi twoje! Gołąbko niebios, powieki moje są gniazdem twojem, zlituj się, zstąp weń, bo dom jest twoim domem! Synu mój! gdzie stanąłeś w naszem mieście? Racz mi uczynić łaskę przyjęcia gospody u mnie. Jesteś po raz pierwszy w Niszapurze, a więc ostrożność nie radzi zamieszkać w cudzym domu. Bogu chwała, niezbywa mi na dobréj sławie, ludzie mię znają a wielu z nich doświadczyło łask i hojności mojéj, szanują mię. Dla tego to moi krewni i przyjaciele niemają czego się lękać ani sułtana, ani gminu. Jeślibyś raczył złożyć stopę twoją na oczach moich, będzie to dla mnie istotnem dobrodziejstwem.

Wezyrówna po niedługim i nieszczerym oporze w końcu zgodziła się na mieszkanie u jubilera. Jego służący pobiegli przenieść wszystko z karawanseraju, a wezyrowna przesiedziała ostatek dnia tego w jubilerni; dokonała podboju duszy gospodarza.

Wieczorem, gdy zamykano drzwi sklepu, weżyrówna idąc z kupcem do jego domu, widziała jak jeden ze wspomnianych giermków, niósł przed nimi owego psa na ręku, a drugi giermek dźwigał psie krzesło. Podobnież dwaj murzyni na głowach swoich, nieśli owe dwie klatki z więźniami z tyłu za kupcem. Jak tylko cały ten orszak przybył do domu, jubiler usiadł w przysionku. Pod przysionkiem na brzegu sadzawki, służący rozesłali dywanik, na nim postawili krzesło a na krześle znowu psa złożywszy zaczęli jak pierwéj rzeźwić go i pieścić. Murzyni postawili klatki na przeciw, na widoku.

Po nowych grzecznościach i dziękach że wezyrówna przyjęła mieszkanie, jubiler kazał przynieść wina. Gość i gospodarz piją wesoło rozmawiając. A gdy zaczęło już szumieć im w głowie i przyniesiono wieczerzę, jubiler skinął na sługi wskazując w stronę psa. Giermkowie posłuszni postawili stół przed krzesłem, zasłany obrusem złoto haftowanym. Pies zeskoczył z krzesła najadł się dowoli, napił się wody ze złotéj miednicy, poczem znowu wskoczył na krzesło, wyciągnął się i zasnął, gdy tym czasem giermkowie ręcznikiem ucierali mu mordę i łapy.

Niedojadki pozostałe od psa wygodnisia oddane owym dwom stróżom murzynom, którzy je ponieśli do klatek. Jeden z nich przyszedł wziąść u jubilera klucze. Otworzono klatki, wyprowadzono z nich więźniów, aby się karmili ogryzkami psiemi. Nieszczęśliwi i téj pociechy nie długo użyli; znowu katując ich ćwicząc i łając, zamknięto do klatek, a klucze odniesiono jubilerowi.

Barbarzyński ten postępek oburzył wezyrównę. Sądziła że jubiler musiał być wyznawcą jakiejś wiary wbrew przeciwnéj islamowi. Więc niechciała z niem wspólnie wieczerzać. Na najusilniejsze prośby jego niechce dotknąć pokarmów, mówi mu: „Mnie się niegodzi jeść z tobą. Człowieku, jakiéj ty religii? Azali niewiesz

że Biblia, Koran i reszta ksiąg świętych uważają psa za najnieczystsze stworzenie. Jedni europejczycy stanowią wyjątek, ale i oni, chociaż od psa nieczystsi, nie posunęli psiéj miłości do takiego jak ty stopnia. Ty wielbisz i adorujesz psa twego jeno bożka, każesz sługom bożym dogadzać mu we wszystkim. Sam nawet nieśmiesz jeść, za nim pies niepodje. A cóż teraz powiedzieć o niesprawiedliwości tak okrutnie wyrządzonéj owym dwom więźniom? Karmisz ich ostatkami psiéj strawy! Upamiętaj się, powiedz jaka religia pozwala na taką obrzydliwość? Bogu jednemu wiadomo jakiéj ty wiary, to tylko pewna że gdybyś był mahometanem nie kłaniał byś się nieczystemu psu. Nie ty nie muzułmanin!

Jubiler uniewinniał się: Synu mój! prawdę mówisz. Dobrze wiem o tem, że to się nie godzi, ale inaczéj czynić niemogę, los i okoliczności zmuszają mię. Psu hołdy składam, ale brzydzę się ludźmi, co bałwochwalą, kacerzą i niewyznają wiary największego z proroków.

Tu odmówił wyznanie wiary wedle koranu.

Przekonała się że istotnie był jednego z nią wyznania.

Spytała: jeżeli tak, więc co to wszystko ma znaczyć? Jubiler rzekł: kochane dziecko moje! Mówiłem już tobie, że psochwalcą słynę po świecie. Niech jak chcą mniemają, co do mnie wiem co czynię, ale przyczyny postanowiłem nie wyjawiać nikomu. Zrobiłem już wiele dla bliźnich, i zrobię jeszcze więcéj, lecz tajemnicy mojéj nieodgadną. I ty synu mój, zaniechaj poszukiwań o niéj; wierz mi że wiedza któréj pragniesz, spowoduje ci smutek i boleść, nic więcéj, a ja niemam siły opowiadania o tem, ani tybyś zdołał wysłuchać do końca. Otóż lepiéj wyrzecz się niewczesnéj ciekawości.

Przezorna w interesach wezyrowna, zamilkła. Tem bardziej, że już się tyle dowiedziała ile jéj potrzeba było do spełnienia głównego celu podróży. Nienapierała

się więc dłużéj, owszem zaczęła jeść wyborne potrawy i przysmaki.

Skróćmy powieść: przeszło dwa miesiące nie w ciemię bita dziewczyna umiała panować i gościć u kochanego jubilera, co ją kochał więcéj niż własne dziecko i stał się tak od niéj zależnym, że lampa życia jego gasła po godzinie nieobecności wezyrowny, a jak tylko się pokazała oddychał swobodniéj i żył podwójnie. Pewnego wieczora, gdy oboje byli pod hełmem i wino we krwi wrzało, nagle zaczęła płakać. Jubiler w rozpaczy oddałby połowę skarbów swoich dla rozweselenia jéj, dałby się zarżnąć jak baran ofiarny, pyta o łez przyczynę? Odpowiedziała: Ojcze mój, cóż ci rzekę? O gdyby raczéj nigdy tu noga moja nie postała, nieznałbym co to nędza rozłąki, co ból rozstania się z kochanymi! — Muszę, koniecznie mi trzeba porzucić twój dom gościnny, oderwać się z objęć twoich, rzucić się w zamęt świata, w wir ludzi, niewiem nawet czy mi kiedy się udą znowu ciebie uścisnąć, czy zostanę przy życiu.

Biedny jubiler, palony miłością i winem, słysząc to, rozbeczał się jak dziecko, szlochając powtarzał:

Wiersse: W ów dzień gdy się oddalę od świecy oblicza twojego, zamierzchnę, oślepnę jak lampka gasnąca o świcie. W ów dzień gdy służbę przy tobie porzucę zostanę w świecie jak żyjący w grobie.

Duszo ty moja najdroższa, światło oczu moich, cóż tak nagli, abyś sługę twojego zasmucał tak prędko azali nasyciłeś się obecnością jego?

Wiersze: Nietrzeba było pokazywać nam twarzy twojéj. Nietrzeba było porywać biednego serca mojego.— A teraz gdyś twarz pokazał, gdy uniosłeś serca nasze, chcąc niechcąc musisz należeć do nas, być gwoli sercu naszemu.

Synu mój, klnę się na przyjaźń naszą, że:

Wiersz. Dopokąd śmierć mię nie zakryje połą swego całunu, pod piaskiem grobowym, dopótąd nieprzestanę całować połę szat twoich, niewypuszczę ją z rąk moich!

Światło mych oczu, synu mój! — wyrzuć z głowy te niemożne marzenia, że dopóki ja stary sługa twój żyję, dopóty żadną żywą miarą niezgodzę się na oddalenie twoje. Persya także może być ojczyzną, powietrze jéj zdrowe, wody czyste, pełno przyjemności do życia, i nie mniejsza ani uboższa od Carogrodu. Jeżeli ci żal pozostałych tam, rozkaż a natychmiast każę ci tu sprowadzić kogo tylko serce zażąda. Słudzy moi za dni kilka dostawią ci zdrowo i cało przedmiot tęsknoty twojéj, jeśli nie wierzysz, niech z nimi razem jedzie twój eunuch. Bo też mi trudno zostać bez ciebie. Tak długo dźwigałem horę i trud po różnych stronach świata, nieraz o głodzie i chłodzie, aż nagromadziłem dostatków bez liku i miary, i oto już dożyłem lat pięćdziesięciu i niemam krewnych ani potomstwa co by po mojéj śmierci zapłakali nademną i pomodlili się szczerze a oddali pogrzebową powinność. Chcę ażebyś ty był moim synem i dziedzicem; póki żyję, uszczęśliwiaj oczy moje światłem obecności twojéj, rządź moim dobytkiem, pod tym jedynym warunkiem abyś po moim zgonie, pogrzebł mię własnemi rękami i niezapomniał rzeczy potrzebnych dla zbawienia duszy mojéj. Niedługo już ci czekać. Jeszcze więc trochę cierpliwości, a potem rób co chcesz.

Wezyrowna odpowie: O mój ty ojcze, nie sądź że mi tak spieszno porzucić dom twój dobrodziejstw i ciebie zostawić. Ale wola rodziców jest wolą Bożą! — Oni mi niepozwolili więcéj jednego roku podróżować. Oboje w podeszłym już wieku, wyglądają niecierpliwie powrotu jedynego dziecka. Niechcę być niewdzięcznym synem. I ty sam nie dozwól mi tego. Owszem do tyla innych już łask, któremi szczodrze mię obsypałeś, dorzuć jeszcze jedną. A wieszże jaką? Oto, racz jechać sam ze

mną, uszczęśliw przybranego syna nowym zaszczytem, kilkanaście dni spędź na podróży po carogrodzkich krajach, a ja nieodstępnie przy twojem strzemieniu będę, stróżem i przewodnikiem i póki żyję będę ci wdzięczny i posłuszny na skinienie twoje.

Po długich naradach i rozmowach, biedny kupiec jak każdy zakochaniec, zgodził się na wolę przedmiotu miłości swojéj, zdawało mu się że to jego własna wola.

Wiersz. Kto chcesz mieć dzikiego pawia, musisz narazić się na niewygody podróży w Indyach· Kto chcesz mieć kochankę, musisz dźwigać kajdany *) więzienia.

Chcąc niechcąc zaczął gotować się do drogi, do Byzantu. Jak tylko się kupcy dowiedzieli że jubiler psochwalca jedzie do Grecyi (*Rum*), wielu ich zgodziło się towarzyszyć mu w podróży. On na czele, z sutym zapasem złota i klejnotów, z mnóstwem sług, z bębnem honorowym, chorągwią, kuryerem i innemi znakami dostojeństwa panów perskich, w godzinę uznaną przez astrologa za szczęśliwą, wyjechawszy z Niszapuru, kazał przy drodze rozbić podróżne swoje namioty. Reszta spółwędrowców kupców mieścili się przy nim gdzie i jak kto mógł. Takim sposobem przeszło sto wielbłądów było pod ładunkami wyrobów bawełnianych i jedwabnych, sto mułów pod ciężarem złota i srebra, sto pachołków rzeźwych i młodych z szablą u łęku, z szablą u łęku, z sercem silnem w piersi, istne mocarze męstwa, a piękni jak księżyce w pełni, o złotolitych pasach, na arabskich dżanetach. Przed nimi słońce nieba pieszczoty tonąca w blasku pereł i klejnotów strzemie w strzemie z jubilerem, jechała wezyrówna. Inni kupce, do koła, przed i po za tą jutrzenką, jak gwiazdy drugiéj i trzeciéj wielkości, jak satellici konstellacyi Kastora i Pol-

---

*) *Kunde* i także *kajd*, pierwsze wyraz perski, drugie arabski.

luxa, rzęśnieli tu i owdzie. Daléj w *techtrewanie* *) niesiony przez czterech wielbłądów wylegał się ów pies a za nim szły muły z klatkami więźniów: wszystko pod okiem czujnego jubilera.

Aby tèm wygodniéj podróżować, część karawany, zawsze poprzedzała o jeden dzień, dla urządzenia przyszłego noclegu. Dzięki téj ostrożności, wezyrowna przyjeżdżając znachodziła już rozbity namiot, do którego najprzód zapraszano wszystkich spółpodróżników na przekąskę; poczém każdy szedł do swojego namiotu. Jubiler, dla honoru wezyrowny, podejmował własnym kosztem cały orszak, ludzie i czworonogi żyli o jego pieniądzach modląc się za zdrowie wdziękini.

Karawana przybyła o jeden dzień drogi od Konstantynopola. Wezyrowna wyprosiła sobie pozwolenie pojechać wprzód do miasta i przygotować tam wszystko dla przyjęcia i wywdzięczenia się łaskawcy swojemu. Zrazu niechciał ale potem się zgodził pod warunkiem, aby więcéj nad jednę noc nie bawiła z dala odeń.

Wezyrowna przybywszy do stolicy, gdy już ściemniało, wchodzi do domu rodzicielskiego nieprzemieniając swoich szat męskich. Słudzy, domowi zrazu jéj niepoznali zdziwieni zuchwałością przychodnia w nocy. Ale ona wręcz bieży do matki mówi kto taka i rzuca się do nóg, prosząc o przebaczenie, że ją zasmuciła odjazdem. — Matka, po matczynem napomnieniu, pyta ją o wszystkich okolicznościach. Córka mówi: Droga mamuniu, Bóg świadkiem, że wyniosłam czysto niepokalane imie rodziny mojéj. Owszem dziś wierzę iż co się stało, stało się zrządzeniem bożem. Pobłogosławił mi za szczeąı chęć oswobodzenia ojca. Chwała najwyższemu za

*) *techti rewan* „łóżko chodzące“ tak zowią lektyki w których jeżdżą osoby chore i niedołężne, albo kobiety a niekiedy wielcy panowie dla nadania sobie powagi.

przyczyną modlitw twoich, matko, niebo wysłuchało jedynéj méj prośby. Noc smutku zmieniona w poranek radości. Kupiec jubiler z psem i obróżą rubinową i zresztą ciekawości, gotowi stanąć przed wami. Ja szczęśliwa i niewinna jak w dzień naszéj rozłąki. Bądź łaskawa pozwól mi jeszcze na całe jutro oddalić się. Skończę dzieło zaczęte. Uwolnimy nareszcie ojca z ostrogu, z pod siekiery kaciéj. Biedny staruszek nie będzie dłużéj się dręczyć w więzieniu.

Matka widząc i słysząc tak miłe rzeczy, rozradowała się bardzo. Czołem wdzięczności uderzyła Bogu, ucałowała głowę i twarz cnotliwego dziecka, pomodliła się za nią i pozwoliła jéj odjechać.

Tegoż poranku Wezyrowna śpieszyła z miasta do karawany swojéj. Ale jubiler zniecierpliwiony, niedoczekał na miejscu umówioném. W nocy jeszcze kazał był zdjąć namioty i jechać za zbiegiem ukochanym.

Wiersz. Trudnoż to widzieć miejsce opuszczone przez ukochanych!

Wezyrowna spotkała go pod samém już miastem. Uradzili, aby wjechać do stolicy w szczęśliwą godzinę. Otoż dla wyboru i oznaczenia tej godziny, kazali sobie rozbić namioty w sadach na przedmieściu, aby odpocząć nieco i astrologowi dać czas potrzebny.

Los zdarzył, że jeden z młodych książąt dworu mojego przejeżdżając tamtędy postrzegł namiot i siedzących podróżnych u brzegu strumyka. Dziwi się kto oni tacy, tém bardziéj że siedzieli na krzesłach. Wiedział że padyszach nieposyłał w podróż żadnego z panów swoich i że żadnego posła niespodziewano się w Konstantynopolu. Posyła więc na zwiady służącego a sam zdala stoi i na odpowiedź czeka. Jubiler wywiedziawszy się od gońca o dostojeństwie i rodzie pytającego posłał umyślnych z zaproszeniem: jeżeli pan nie nudzi so-

bie w towarzystwie podróżujących cudzoziemców, niech raczy nas odwiedzić i odetchnąć u nas na chwilkę.

Xiąże pośpieszył na wezwanie. Namioty, sprzęty, tłum czworonogów i ludzi, bęben, chorągiew i kupiec tak zamożny dodane do wdzięków przebranéj Wezyrowny, wszystko to uderzyło przybysza. Ale szczególniéj krzesło z psem i klatki z więźniami zwracały uwagę jego. Grzeczny jubiler hojnie przyjął go ofiarując mu na wstępne, kilka sztuk drogich materyj. Książe, wywiedziawszy się o rzeczach i ludziach jedzie do miasta i nazajutrz bieży na dwor królewski, opowiedzieć o wszystkiem. Zdziwieni dworzanie i panowie zaczęli szeptać między sobą.

Ruch ten niezwykły zwrócił ciekawość moję. Pytam co to takiego, o co rzecz idzie? Opowiedzieli mi honory psu świadczone i poniżenie więźniów w klatce. Oburzyło mię to arcy silnie. Rzekłem, on zapewne nie islamskiéj wiary, owszem przez szacunek dla islamu, trzeba ukarać tego psotnika. Kazałem więc katom przydwornym dostawić mi głowę i majętność jego. Zdarzyło się, iż obecny temu wszystkiemu był tenże sam poseł europejski co przed rokiem ujął się był za exwezyra. Usłyszawszy mój rozkaz zaczął się śmiać do rozpuku. Śmiech ten rozdął iskrę gniewu mojego, zapytałem groźno: Dla czegoż to się pan tak sobie weseli? Rzekł: Padyszachu, dla wielu przyczyn. 1) dla tego że prawda słów cnotliwego wezyra jest oczywistą, i uwolnisz go z więzienia; 2) dla tego, że w owym dniu nieumarł niezasłużenie, 3) dla tego, że dzisiaj Padyszach nieprzekonawszy się ani sprawdziwszy naocznie plotki powiedzianéj mu, dał rozkaz zabicia oskarżonego cudzoziemca.

Czułem, że europejczyk ma racyę i także przyszły mi na myśl wyrazy exwezyra. Kazałem więc przyprowadzić go natychmiast z więzienia.

Wszystkich dostawiono na dwór mój razem: jubilera, jego pseudo-syna, klatki i psa. Na wieść że czekają u wrót, pozwoliłem wprowadzić. Najprzód jawił się jubiler z wezyrowną, oboje bogato odziani, wszakże wdzięki jej, promienniejsze od złota i kamieni, były główną ozdobą posłuchalnéj sali. Na dłoni trzymała tacę złotą pełną drogocennych kamieni różnéj barwy, z których każdy wart był całorocznego podatku jednéj prowincyi.

Jubiler, ucałowawszy ziemię, otworzył usta dla życzeń i pochwał dla mnie. Przemówił tak wymownie, że zdumiony siłą i wdziękiem krasomowstwa krzyknąłem: Szatanie! uczuj litość! Heretyku zbłąkany z drogi bożéj, poco rozrzucasz te nowe sidła? Czemu kroczysz po zdrożnych ścieżkach? Jakiéj ty wiary? Kto prorokiem twoim? — Jak się nazywasz i co zacz sprawy twoje?

Rzekł mi: Monarcho! Niech dola twa wiekuje, niech koło przewrotnego losu toczy się gwoli żądaniu twemu! — Wiara moja jest wiarą w prawdziwego Boga. Prorokiem moim, Muhammed, przeczysty Pański. Dogmat mój, cześć dwónastu imamów, błogosław im allachu! — Sprawą moją pełnić przykazania koranu, pościć, modlić się. Co się zaś tyczy pozorów, które sprowadziły na mnie twoją niełaskę, i rzuciły mię w podejrzenie, są to rzeczy nie zależne od wiary mojéj a o przyczynach tego mówić nie przystoi, ani taić nie nada.

Wiersz. Boleść to tak pełna żalu, że gdybym odjął rękaw od oczu moich łzy by moje lunęły aż na połę!

Otoż właśnie dla téj przyczyny przymuszony kryć boleść wnętrza mojego, znoszę hańbiące pozory czczenia psa. Swoi i obcy nazywają mię psochwalcą, a w ojczyznie mojéj w Persyi, płacę osobny podatek za adoracyą psów. Padyszahu jestem w państwie twojem, rób zemną co ci się podoba.

Gniew mój jeszcze silniéj wybuchnął. Rzekłem, czarcie wilkołaku pustyni pogaństwa! Niewywiedziesz mię w pole wykrętnemi słówkami. Jedno z dwojga, albo mi tu natychmiast wytłómacz przyczynę psiego bałwochwalstwa, jasno i zrozumiale dla wszystkich, albo rzucę cielsko twoje na pastwę odwetowi sprawiedliwości. Niech zastraszeni przykładem kaźni twojéj zuchwalcy nietargają praw najświętszych!

Rzekł mi: Monarcho! gdybyś ty wzamian za krew moją raczył przyjąć dar wszystkich bogactw moich, bogactw których rachmistrze czterech części zamieszkałego świata niepotrafią policzyć? — Weż je zupełnie a tylko uwolń mnie i tego chłopca.

Uśmiechnąłem się mówiąc: wyrzuć z głowy te jałowe niedowarzone myśli. Niewyjdziecie stąd jeno sposobem jaki wskazałem. Tu przerażony, blady zalewał się łez potokiem i jęczał okropnie wołając: synu mój drogi, mnie ciebie żal nie siebie, bo niemam komu cię zostawić, niewiem, gdzie i jak zapewnić los sierocie! Inaczej nielękałbym się umrzeć.

Rzekłem. Śpiesz się człowieku, a prędzéj; dosyć tych bredni i chytrości. — O derwiszowie! mąż ten, mędrzec szkoły boleści, widząc, że musi uledz, wystąpił naprzód i ucałowawszy podnożek tronu, rzekł: Mocarzu! gdyby mi nieszło o coś droższego nad moje życie i niezbywało na odwadze rozstania się z tem dzieckiem, nigdy człowiecze ucho niesłyszałoby z ust moich tej tajni. Wszakże, ponieważ inaczéj być nie może, każ przyprowadzić owych dwóch więźniów z klatki, przed tron twój, padyszahu! — Racz pilnie uważać i umem sięgać na dno prawdy a wrazie gdybym skłamał, niech oni poprawią.

Podobna propozya podobała mi się, kazałem więźniów wydobyć z klatek i postawić obok jego. Jubiler zagaił posiedzenie mówiąc:

Monarcho! stojący na prawo jest moim starszym bratem, ten co na lewo średnim, a ja z nas trzech najmłodszy. Rodziliśmy się na ziemi Farsu. Nasi rodzice trudnili się handlem i mieli kapitału do 20,000 tumanów. W czternastym roku życia mojego, straciliśmy ojca. Z pomocą starszych i przyjaciół oddaliśmy nieboszczykowi hołd ostatnich posług. Dziesiątego dnia późniéj, wieczorem bracia rzekli mi: jutro naznaczysz sobie pełnomocnika i zawołasz go tutaj, aby na wspólnem posiedzeniu rozdzielić na równe części dziedzictwo ojca naszego, niech każdemu z nas oddadzą cząstkę właściwą. Oparłem się temu, myślą błąkając się po uroczych krainach wierności i miłości bratniéj rzekłem:

Słuchajcie bracia, po co te działy między nami, ja wasz brat i sługa, a niewątpię bynajmniéj, że ile mi razy zabraknie czego, znajdę u was pomoc. Bóg wziął nam ojca, wy żyjcie długo i szczęśliwie a nagródzicie mi tę stratę, wiem niezawodnie, iż mi niczego niepożałujecie. Ja jeszcze młody i bez doświadczenia, dozwòlcie więc niech dojrzeję pod cieniem opieki waszéj.

Odpowiedzieli mi: bracie nieźleś sobie doradził, ale i my musimy przemyślać jak i ciebie nasycić i samym podjeść. Na to nierzekłem ani słowa. Poszedłszy do sypialni padłem na pościel zalewając się łzami i po stracie ojca cieszyłem się nadzieją, że mam braci. Usnąłem.

Nazajutrz braci niebyło w domu, a w godzinę po ich odejściu, przyszedł woźny z roskazem abym się jawił przed trybunał sędziego. Znalazłem już tam obu braci moich, skurczeni w kątku siedzieli. Na zapytanie sędziego, czemu niechcę przystąpić do działu dziedzictwa wedle praw koranowych? powtórzyłem jemu wczorajsze moje wyrazy. Wtedy bracia rzekli: Jeżeli serce twoje zgadza się z językiem, daj nam na piśmie, iż gdybyś

na przyszłość zaczął rościć jakie prawa do dziedzictwa ojcowskiego, poszukiwania twoje będą bezprawiem.

Przyszło mi na myśl, że bracia chcą mieć podobno zrzeczenie się dla tego, aby się oprzeć, wrazie gdybym młody i niedoświadczony zaczął trwonić majątek nasz wspólny. Dałem więc im żądany dokument, stwierdzony podpisami i pieczęciami trybunału i świadków, a sam śpieszyłem wrócić do domu. Tak jeszcze dwa dni minęły. Na trzeci, bracia mi rzekli: Poszukaj dla siebie mieszkania, pobyt twój w naszym domu przeciwny prawom.

Ledwie aż wtedy przekonałem się, że zdradą i wybiegami prawniczemi chcą mię wydziedziczyć. Więc oparłszy się na opiekę bożą, odpowiedziałem im skromnie, prosząc o parę dni cierpliwości. Zapomniałem ci napomknąć, padyszahu, iż za życia ojca, byłem jego najukochańszem dzieckiem. Ile razy wracał z podróży, przywoził na gościniec coraz inną zagraniczną ciekawość. Podarunki tè przedawałem zaraz po odebraniu i takim sposobem, uciuławszy sobie kapitalik umieściłem go na procenta. W chwili zgonu ojca, narosło już było do tysiąca tumanów. Oprócz tego, ojciec darował mi był dziewczynę, do usługi i łoża.

Otóż kupiłem sobie chatkę za grosz dorobkowy, i przeniosłem się do niéj z moją odaliską i ot z tym psem co tu widzicie, a którego mam sobie za najświętszy obowiązek kochać i szanować. Nieboszczyk ojciec chował w stajni przy koniach sukę. Pies mój jest jedném z jéj szczeniąt. Dzieckiem będąc, lubiłem szczeniątko i sam je karmiłem. Otóż, gdyśmy z odaliską porzucali dom rodzicielski, jedynym z domowników co miłością dla syna wywdzięczył się za łaski ojca, był mój wychowanek, pies. Poszedł za nami i niechciał wracać. Od téj chwili datuje przyjaźń nasza.

Wiersz. Niezapominaj świadczonego ci dobrodziejstwa. Spojrz na same dno prawdy, a zobaczysz, że psi ogon lepszy od wąsa niewdzięczników.

Tak jest, moi bracia wydalili mię z domu, a to psisko, z uczuciem wdzięczności, nieporzuciło mię na chwilę. Padyszahu! Przyszedłszy do domu, kupiłem potrzebne sprzęty i dwóch młodych murzynków niewolników. Pozostałe od tych wydatków pieniądze użyłem na założenie sklepiku bawełnianych wyrobów. Siadłem handlować, wezwawszy pomocy bożéj. Gorzko było pomyśleć o nieludzkim postępku braci. Rzucili mię bez winy, Bóg najwyższy podjął niewinnego i tak miłosiernie patrzał na mnie, że po trzech latach, kapitał mój pomnożył się do 4,000 tumanów. Co lepsza, zasłużyłem sobie na wziętość i powszechny szacunek władz miejskich i rzeczy moje coraz pomyślniejszą postać brać zaczęły. Wszechmocny w szczodrobliwości swojéj, pomagał mi wyraźnie. Dziękując za łaski jego nieraz powtarzałem sobie:

Wiersz. Setne dzięki, że Stwórca jest obrońcą moim, on dawcą powszedniego chleba i sprawcą powodzeń moich.

Monarcho! Racz posłuchać jak się obróciło koło losu sprawiedliwych. Było to w pewien piątek, czwartego lata po śmierci ojca mojego. Nie wychodziłem z domu ale jeden ze służących moich murzynek, poszedł był na bazar zakupić rzeczy potrzebnych dla gospodarstwa. Wrócił ze łzami w oczach. Czego płaczesz? Spytałem: Nierad odpowiedział: Co ci do tego, świątkuj zdrów i wesoł w domu, a niepotrzebnéj ciekawości zaniechaj, Rzekłem: co ci jest, murzynku, zdaje się cierpisz? Odpowiedział: spodziewam się, że mam co cierpieć. Ty sobie tu płużysz w dostatkach i szczęśliwego od kłopotów głowa niezaboli, a twoich starszych braci, na publicznym rynku miejskim, biczują oprawce za to że

niechcą czy nie mogą zapłacić długu jakiemuś żydowi. Słyszałem jak nielitościwy żyd ze śmiechem na ustach mówił im: wiém ja dobrze, iż niejesteście w stanie uiszczenia się z długu, ale jak umrzecie pod batogami, to ja znajdę zasługę i nagrodę u Jehowy za umęczenie wrogów mojéj wiary. Nikt ani się wstawi, ani ręczyć niechce za braci twoich. — Padyszahu! słysząc to zawrzało mi we krwi. Kazałem służącemu wziąść dwie kiesy pieniędzy i pośpiesznie biegłem na rynek. Przychodzę. Na widok dwóch tych młodzieńców, pod rózgami kata, niemogłem się wstrzymać od łez; krwią płakałem! Kilka srebrników wcisnętych do ręku oprawców wstrzymały kaźn. Zapytałem żyda: Kacerzu, łotrze, jak śmiałeś nieuczcić piątku, święta mahometanów? W ten dzień karać nie wolno. — Rzekł: jeśli ci się zamarzyło ulżyć im powinnéj chłosty, zapłać moje sto tumanów a bierz ich z duszą i z ciałem. Inaczéj, nie bredź ani się mięszaj w nie swoje. Rzekłem pokaż mi oblig ich. Rzekł oblig złożyłem w ręce urzędnikom. Służący mój dał sto tumanów i wziął oblig. Obaj bracia moi, do pasa obnażeni we krwi stali w okropnem poniżeniu i ucisku. Kazałem ich rozwiązać i zanieść do domu mego, bo iść o własnéj sile niebyli w stanie. Nie opuszczałem ich, płaciłem doktorowi, i otoczyłem ich wszelkiemi wygodami, aż do wyzdrowienia. Potem posławszy ich do łaźni, odziałem porządnie, służyłem im czém mogłem. Niechcąc ich poniżać ani wstydzić unikałem nawet pytania co się stało z ojcowskiem dziedzictwem. Znieważeni nieśmieli oczu pokazać na świat ani wyjść z domu na ulicę gdzie ich wytykano palcami. Dłuższe siedzenie w domu bez żadnego zajęcia się męczyło ich. Zaproponowałem, aby podróżowali, bo kupiec podróżą skarbi pieniądze i sławę, używa świata. Był to jedyny sposób zamknąć potwarzy usta.

Zająłem się przygotowaniem dla nich wszystkiego co potrzebne podróżującym, każdemu dałem służącego, wielbłąda, namiot, suknie i towarów na sto tumanów. Postanowiliśmy, że wyjadą z karawaną która się puszczała z Szyrazu wgłąb Azyi średniéj (Turkestan). Niezapomniałem także zaopatrzyć ich w pieniądze na rozchody dróżne. Po odjeździe ich, czekałem dni i noce szczęśliwego powrotu ich. Po roku karawana wróciła bez braci. Różni opowiadali o nich różnie, aż nakoniec znalazłem prawdomowcę, który mi rzekł: Jeden z twoich braci w Bocharze zgrał się w karty, co do grosza i przystał na służbę do szulerni, wymiata salę i dziedziniec i z tego żyje. Drugi skończył jeszcze gorzej, jest odźwiernym w domu nierządnic bocharskich.

Wieści te zasmuciły mię bardzo. Uczucie obrażonéj godności rodu i imienia naszego męczyło mię i budziło ze snu, życie omierzło mi. Nikomu nic nie mówiąc, cicho a prędko, popożyczawszy u sąsiadów złota i srebra, poruczając się Bogu, sam jeden puściłem się wprost do Bochary.

Przyjeżdżam. Po długich poszukiwaniach, znalazłem ich obu w nędzy ostatniéj. Przeprowadziłem do mego mieszkania, zapłaciłem waniennemu i krawcowi za danie im ochędożnéj powierzchowności, niepozwalając sobie najmniejszéj wymówki li niedelikatności żal mi było przydawać do niedoli tak nieszczęśliwych utracyuszów i marnotrawców. Znowu kupiłem dla każdego ładunek towarów i potrzebne zaopatrzenia, wyjechaliśmy. Przybywszy do granic Faksu, o dwa dni drogi od Szyrazu, zostawiłem ich we wsi. Sam zaś pośpieszyłem do miasta i po dwóch dniach pobytu, rospuściłem pogłoskę iż bracia moi wracają z podróży. Przyjaciele moi przyrzekli pomnożyć orszak z jakim mieliśmy wyjechać na uczciwe spotkanie wracających, naznaczywszy uprze-

dnio dzień i godzinę powrotu ich do ojczyzny. Tak uradziliśmy wieczorem.

Rano, przybiega do domu mojego jakiś wieśniak z płaczem i wrzaskiem i przeklęstwami. Co to takiego pytam. Rzekł: o gdyby braci twych noga niepostała nigdy we wsi naséj! A toż dla czego? — Szajka rozbójników, połakomiwszy się na wasze towary, wpadli na wieś naszą, zrabowali nas do szczętu i ich obrali do nitki.— Zawołałem święć się Imie Boże!

Wiersz. Czyj dywan utkano na czarnéj osnowie, nie-ubieli go żadna mądrość ludzka.

Zapytałem. A cóż się z bracią dzieje?— Na przedmieściu wałęsają się goli i nadzy.

Natychmiast pobiegłem ich wyszukać, odziałem ich porządnie i odwiózłem do Szyrazu. Przyjaciele dowiedziawszy się o powrocie, przychodzili powitać. Przez kilka dni podejmowałem hojnie i gości i przybyszów. Bracia, mówiąc że się wstydzą oczu pokazać, niewychodzili z domu mojego. Tak minęło dwa czy trzy miesiące. Pomyślałem: oni tu biédni zanudzą się na śmierć trzeba pomyśleć o wróceniu im dobrego imienia. Znowu więc dla ich dobra, postanowiłem odbyć podróż. Nakupiłem stósownych towarów, nająłem muły i w godzinę uznaną przez astrologów za szczęśliwą, wyjechaliśmy.

Nic nadzwyczajnego nie zdarzyło się aż do brzegu morza. Przeładowaliśmy towary z mułów na okręt, rozpięto żagle, płyniemy. Mój pies, wierny a nieodstępny towarzysz mój, niewiem zasnął był na brzegu, czy zbłąkał się, tak że zapomnieliśmy go wziąść z sobą. Postrzegłem się, gdy już okręt żeglował środkiem morza, pies na brzegu skowyczał i żalił się nareszcie widząc że się oddalamy coraz bardziéj, rzucił się wpław. Fale odnosiły go do brzegu, on walczył z niemi i znowu ku nam płynął. Niemiałem serca zostawić go w takiem po-

łożeniu. Garść złota dałem jednemu z majtków, posłano łódź i przywieziono mi faworyta.

Cały miesiąc minął na okręcie. Rad byłem z obecności moich braci i ani mi na myśl przyszło, że szatan nie śpi lecz czuwa. Starszemu bratu wpadła w oko odaliska moja; po długich szeptach ze średnim, uradzili wrzucić mię do morza. Pewnej nocy, ku świtowi, gdy z odaliską moją spaliśmy w jednéj z kajut okrętowych, brat średni obudził mię, mówiąc: wstań a wyjdź na pokład zobaczysz Boże zrządzenie. Wstaję, wychodzę.

Padyszahu! w uroczystą tę chwilę i pies mój obudził się i niewołany szedł za mną. Na pokładzie znalazłem starszego brata: siedział na saméj krawędzi okrętu i zgarbiony, głową ku morzu wpatrywał się wgłąb fali. Spytałem:

Co wy tam zobaczyliście, bracia?

Cud, cud niesłychany; Przyjdź-tu, człowiek morski, z koralowemi rogami tańcuje w głębi.

Gdyby kto inny niż bracia powiedział mi co podobnego, nigdy nieuwierzyłbym, ale tylko co ze snu zaufałem im odrazu. Schyliłem się tedy i spuściwszy głowę a przecierając sobie oczy, wpatrywałem się w głębie morskie, nie mogąc dojrzeć niczego. Starszy rzekł: Ot tu, niżéj, niżéj, jakżesz jeszcze nie widzisz? Tymczasem brat średni ujął mię za pas i z tyłu pchnął tak silnie, że runąłem na łeb na szyję do wody.

Okręt leciał pędem strzały, a fale rozkołysane miotały mną tu i owdzie.

Wiersz. To na dno same, to na grzywę pian szczytu, sięgałem chłostany biczem bałwanów rozjuszonych.

W chwili, gdy już dusza wydzierała mi się z ciała, i traciłem władzę rąk i nóg, polecając się jedynemu Bogu, i żebrząc u niego, aby ze skarbów miłosierdzia rzucił mi perłę zbawienia; poczułem, że mi coś przeszkadza tonąć. Słowem, uratowany byłem cnotą psa mojego,

co widząc, że mię bracia wtrącili do morza, skoczył za mną a Stwórcy podobało się zrobić go narzędziem wyprowadzenia mię z cieniów śmierci na jaśnią życia.

Przez siedm dob, trzymany ręką bożą, na grzbiecie psa wiernego, w paszczęce krwiożerczego oceanu, raczéj martwy niż żywy płynąłem, aż przybyliśmy do jakiéjś wyspy, wyrzuceni na suszą. Niepamiętam téj chwili, wiem tylko, że otworzywszy oczy ujrzałem, że mię pies mój lizał. Podziękowałem bożéj opatrzności, ale tak długa męka na morzu pozbawiła mię siły i możności ruchu. Ledwie zdołałem zwracać gasnące oczy, ujrzałem zdala coś nakształt miasta. Bogu jednemu wiadomo jakim cudem udało mi się tam dopełznąć, ale późno wieczorem. Trzeba więc było doczekać poranku, aż wrota otworzą.

Przechodząc bazary ujrzałem piekarnią pełną chleba i piérogów. Ręce i kolana mi zadrżały, serce biło; oparłszy się o ścianę, mówiłem sobie w duszy może też się kto ulituje. Nie śmiejąc ustami, prosiłem piekarza oczyma, lecz skąpy i nieużyty odtrącił mię. Idę daléj w nadziei znalezienia lepszych ludzi, ale nie mogę zdobyć się na odwagę żebraniny, a tu ogień głodu mię dopieka i żniwo cierpliwości mojéj i statku mojego, zapala się i płonie. Omal nie upadłem, ptak ducha mojego, wyłamywał się z klatki ciała chcąc lecieć po ziarno chleba powszedniego. Patrzę aż zbliżają się do mnie jacyś dwaj panowie w ubiorze perskim, ręka w ręku, brat za brat głośno weselili się i giestykulowali.

Dziękowałem Bogu, że w podobnéj godzinie zesłał mi ziomków, i utwierdziłem się w postanowieniu, ażeby nie żebrać. Gdy stanęli przedemną i wpatrzyłem się lepiéj poznałem w nich braci. Uradowany widokiem, zapomniałem o zbrodni ich, biegnę witam po imieniu, całując rękę brata starszego.

Zrazu bardzo się przerazili, obaj, jeden i drugi wrzasnęli z przestrachu, ale bezwstyd i zuchwałość przemogły. Starszy brat trącił mię w policzek, upadłem. Powstawszy rzuciłem się pod opiekę brata średniego, lecz odepchnął mię nogą. Obaj tratowali nieludzko po mnie gdym się w boleściach tarzał i wołał do nich i zaklinał: Bracia moi, w czemże przewiniłem? Rzekli: odkaraskaj się ty od nas, a daj nam święty pokój upiorze! Lud gromadził się koło nas, pytał o winę. Bracia, w zmyślonéj rospaczy rozdzierali na sobie szaty, krzyczeli: chwytajcie go, zabijcie łotra. On służył u nieboszczyka brata naszego. on go utopił w morzu, okradł i uciekł. Oddawna szukamy mordercę po całym Hindustanie, ledwie aż teraz znaleźliśmy tu! To powiedziawszy znowu mię deptali, znów bezwstydnie opowiadali przed tłumem: ten zbrodzień, niewdzięcznik, niepomny na dobrodziejstwa pana swojego a naszego brata, umorzył go w kwiecie lat, i za cóż, dla czegoż? — Przeto że obsypywał darami, że ogrzewał na piersi tę żmiję przebrzydłą.

Nareszcie przybyło kilku policejskich, wyrwali mię z rąk braci i poprowadzili do *Hakima* (rządca cywilny). Bracia też weszli za mną do sądownictwa: wołając ratunku! sprawiedliwości! Oskarżyli mię i przekupili Hakima datkiem stu tumanów, domagając się prawa odwetu; krwi za krew, to jest ażebym śmiercią był skarany za śmierć przez nich wymyśloną.

Hakim pozwolił mi usprawiedliwić się. Ale osłabiony tylu ciosami spadającemi raz poraz, trudami na morzu, głodem, deptaniem, kułakami braci, niemiałem siły ani przytomności umysłu na zawołanie. Milczenie moje Hakim wziął za zeznanie winy, uwierzył, iż bracia prawdę mówili i rozkazał, aby mię powieszono na placu miejskim, dla przykładu i postrachu innych zbrodniarzy.

O Padyszachu, żyj długo i szczęśliwie, a miej rządców sprawiedliwszych niż ów Hakim! — Za drugie sto tumanów pozwolono braciom moim, aby własnoręcznie *) mię kaźnili. Już zarzucili mi stryczek na szyję, już stałem pod szubienicą, aby na niéj zawisnąć lada chwila. Nikt za mną się nie wstawił, nikt niechciał pomódz, jego pies mój, zbity i głodny jak ja, wył żałośnie, przypadał każdemu do nóg i niezważając na kije i kamienie sypiące się nań zewsząd, nieoddalał się odemnie. Padyszahu! przekonawszy się, że wszystko mię opuściło, podniósłem serce ku Bogu rzekłem: Allahu, ty widzisz, ty przybądź na wołanie moje, albowiem ochrony nie znam, okrom ciebie! Zacząłem odmawiać pacierz umarłych.

Wiersz. Ponurzony w wir rozpaczy, patrz na jedynie wierną nadzieję, na Boga, ta gwiazda zawsze widna.

Jakoż Stwórca, w nieprzebraném miłosierdziu swojém, zdarzył, że podówczas Raj Eazem, król owéj krainy, był niebezpiecznie chory. Wezwani lekarze nie mogli mu pomódz, z wielkiem przerażeniem emirów i urzędników państwa. Jeden z ministrów, człek mądry poradził że najlepszem lekarstwem jest ofiarować bydlęta Bogu, rozdać jałmużnę i pouwalniać z więzienia skazanych na śmierć, ażeby, sprawą modlitwy ich pożądane zdrowie wróciło Rajowi. Natychmiast któryś z emirów poszedł uwalniać więźniów, a idąc przez plac miejski widzi tłum, pyta o przyczynę [zgiełku. Mówią mu, że Hakim skazał winowajcę na gardło, i że mają go właśnie w téj chwili powiesić. Posłuszny Emir własną szablą odciął mój stryczek i porąbał przygotowaną dla mnie szubienicę. Ja, omdlały, padam na ziemię, oprawce przelęknieni uciekają. Niedosyć na tém, emir karci Hakima i przy-

---

*) Wiadomo że koran pozwala, aby krewni zabitego mścili się własnoręcznie nad zabójcą.

musza go oswobodzić wszystkich co po ostrogach miasta zamknięci cierpieli. Bracia moi widząc co się święci ulękli się, ażebym ich nie wydał. Biegną więc do Hakima i nowem przekupstwem, otrzymują odeń obietnicę, iż mię tajemnie każe wtrącić do więzienia Salomonowego, gdzie z głodu i od pragnienia umrę, tak że ani Raj Eazem ani kto inny się o tém dowie. Groziło mi więc nowe niebezpieczeństwo.

Więzieniem Salomonowém, zwała się studnia, którą za starych lat złe duchy i diwowie wykopali byli na rozkaz Salomona, na wierzchu góry; a u stóp jéj leżało miasto, o pół ferzecha drogi odeń odległe. Studnia głębsza od tajemnicy stworzenia i stworzeń, ciemniejsza od nocy rozłąki kochanków. Otwór studzienny, niemiał szerokości więcéj nad łokieć, ale na dnie w skale wyrznięto obszerne izby. — Od dni Salomona aż dotąd, rzucano tam ofiary gniewu królewskiego, aby nędznie w okropnych mękach ginęły.

Krótko mówiąc, gdy leżałem już na dnie téj studni, a bracia ucieszeni, że się pozbyli mię, poszli broić spokojnie, to czcigodne wierne zwierze położyło się u studni. Padyszahu! po długiem omdleniu obudzilem się niewiedząc, że jestem na dnie otchłani takiéj. Nareszcie rozpatruję w ciemnościach mnie otaczających, zarażonych swędem duszącym. Czyż to grób mój? pytam i przychodzi mi na pamięć, że miałem stryczek na szyi. W przekonaniu więc, żem umarł i pogrzebiony, zaczynam odmawiać pierwszą suratę koranu. Poruszyłem się; czuję że miejsca dużo i przestronne; zdziwiłem się dla czego przestronne? — Potém znów pomyślałem, czego tu się dziwić; ciebie zabito niesprawiedliwie, przeto Bóg najwyższy uwolnił ciebie od grobowéj męki.

W takich rozmyślaniach nieprzestawałem odmawiać wszystkich modlitw jakie tylko kiedy umiałem. Aż tu, nagle głos dwojga ludzi trącił mię w ucho. Myślę sobie:

to dwaj aniołowie śmierci *) i już gotowałem się był do strasznego examinu. W tém znowu usłyszałem szelest najprzód, jakby coś na powrozie spuszczono na dno studni; potém jak gdyby dwóch ludzi coś jadło.

Zdziwiony jeszcze bardziéj, macam do koła siebie i dłonie moje spotykają tylko zgniliznę i kości. — Spytałem w głos: o stworzenia boże, powiedźcie mi kto ja, a kto wy? — Zaśmiali się i rzekli: To miejsce jest Salomonowa studnia, więzienie stanu, a ty i my więźnie. Rzekłem: ależ przecie żyjemy jeszcze, to i za to chwała Bogu.

Znowu się zaśmieli, przeklinając bliźnich jedząc i pijąc. Potem rzekli do mnie; my żyjemy ale tobie bodaj że już nie długo kawęczeć. Rzekłem: i właśnie dla tego powinniście mnie zaprosić do jedzenia i picia z wami. Zaśmieli się i niebawem musieli zasnąć bo słyszałem chrapanie. Ja głodny osłabiony zacząłem jęczeć.

Padyszahu! dziś jeszcze niepojmuję jak mogłem wyżyć po tylu dręczarniach. Siedm dób po morzu, miotany wiatrami, na fali, chłostany burzą. Potem rzucony na brzeg i tam całą noc, cały dzień głodny, spragniony, pół nagi i bosy; potém po kamieniach pustyni, ledwom dopełzł do miasta tam wpadły pod chłostę braci słysząc swoje skazanie na szubienicę; na koniec wtrącony w takie więzienie, słyszący wyrok śmierci; z omdlenia przechodzący w omdlenie; a w chwilach jaśniejszych poruczający Bogu ducha wyrywającego się z ciała!.... Padyszahu! odwróć uwagę od tak okropnego obrazu, a posłuchaj kilka słów o szczodrobliwości i miłosierdziu Stwórcy dnia i nocy, Karmicielu mrówki i węża:

---

*) Nekir i Munkir, aniołowie których obowiązkiem jest examinować nieboszczyka czy umie alkoran i czy żył wedle jego rozkazów.

Dowiedz się jak wierny pies mój, leżący przy otworze studni, obudza się w nocy i widzi, że ktoś stanął nad otworem, że przywiązawszy na długi powróz dzban wody i serwetę z jadłem, spuścił je na dno studni, a potém, wyciągnął ztamtąd próżny powróz i odszedł. Bóg wszechmocny dał pojęcie psu, iż patrząc zrozumiał że w studni musi być inny więzień, któremu tajemnie jeść i pić noszą, pojął że i on także powinien karmić i poić pana swojego!

Jak tylko dzień zaświtał, pies mój bieży do miasta do piekarni, porywa chleb tylko co położony na przedaż i daléj w nogi, a nim się postrzcżono był już da leko. Piekarz puścił się w pogoń, rzucał za nim kamienie i kije, nic niepomogło wyrwawszy się z rąk piekarza, biedne zwierze ujrzało się w środku całéj psiarni ulicznych i jatkowych kundlów, zniósł nie jedno ugryzienie, ale chleba niepuścił, tak zmyliwszy wszystkie pogonie przybiega i rzuca mi chleb do studni. Słyszałem najprzód spadek czegoś tuż przy mnie, a potém skowytanie nademną.

Z jakąż rozkoszą omacałem chleb jeszcze ciepły pod dłonią! Podnoszę w górę oczy i postrzegam bladą gwiazdkę. Było to świtanie dnia. Szczęściem, moi dwaj towarzysze spali i niesłyszeli niczego, inaczéj bowiem przyszłoby może pomiędzy nami do boju. Podziękowawszy Bogu, posiliłem się, ale dokuczało pragnienie, niemogłem przełknąć suchéj skurynki, a tu ani kropli wody.

Padyszahu! ten pies najwierniejszy i o mojem pragnieniu myślił. Jak tylko chleb mi podał, puścił się z góry na dolinę, rzekłbyś potok wezbrany. Pod górą była wieś a przy wsi osobna chatka należąca do jakiejś zgrzybiałéj staruszki. Babka rozumna co wiele przeżyła, wiele złego i dobrego widziała. Pies mój przybiega do niéj właśnie gdy przygotowywała sobie wodę potrzebną na cały dzień: napełniwszy dzbanki, stawiała

je na chłodzie w cieniu, potem siadła do kołowrótka i zaczęła prząść.

Pies zatrzymał się na progu chatki, i oczy swe utkwił w stronę gdzie stały dzbanki i poszedł ku nim. Trącał i umyślnie wywracał najprzód jeden, potem drugi trzeci i inne dzbanki obala i tłucze. Babka zagniewana widząc że zniszczy jéj całodzienną prowizyą napoju, porywa koczergę i zaczyna nią okładać boki szkodnika. Ale pies, zamiast ucieczki, tuli się do nóg babki łaszcze się i przymila, tak że się jéj aż żal zrobiło; więc napełniwszy jeden czerep wodą stawia przed psem; pies nie pije, lecz znowu się łasi, bierze za połę i ciągnie staruszkę w stronę góry, wyje!

Babka wiedziała dobrze o studni Salomonowéj i o trzymanych tam więźniach. Nietrudno jéj było zrozumieć że pan tego psa musi być w ich liczbie i że pies chce wody dla pana. Więc aby spróbować, może z natchnienia, bierze dzban wody i powróz, idzie za psem, który co chwila wraca do niéj, tuli się jakby dziękował i prowadzi wyżéj a wyżéj aż na szczyt góry, do otworu studni. Tam mój pies wierny, szczekaniem w próżnią otchłani, donosi mi o przybyciu swojem a domyślna babka na sznurze, spuściła aż na dno dzbanek wybornéj, świeżéj i czystéj jak łza wody;— wypijam; dzban próżny wrócił w górę. Orzeźwiłem się, ogień pragnienia zgasł, z lepszą otuchą rzuciłem się w kąt mojéj ciemnicy, składając hołd wdzięczności powinnéj allahowi.

Takim trybem, o padyszahu! co dzień wedle rozkazu niebieskiego karmiciela, miałem chleb i wodę. Piekarz przekonany że niemoże się obronić, przywykł i dobrowolnie mu dawał chleby. Babka, ile razy nieprzyniosła mi wody tyle razy znalazła dzbanki i garnki swoje powywracane i pobite, więc także przywykłszy, nosiła co dzień i niekiedy nawet psa karmiła. Z resztą pies

żywił się jak mógł kośćmi i resztkami zbieranemi po ulicach, ale nie uszczuplał mojéj cząstki, i mieszkał przy otworze studni. Minęło mi takim trybem sześć długich miesięcy. Padyszahu! łatwo pojąć jak musi wyglądać ten co przebył sześć miesięcy na dnie ciemnéj smrodliwéj studni.

Wiersz. Słaby, wybladły, z półduszą, ze skórą przyschłą do kości.

Ah, niekarz, Boże nikogo, podobną karą rozłąki i oderwania się od życia i miłości.

Wiersz. Życie moje minęło w boleściach i w rozłąki. Biedny kochanek, cudzoziemiec, zdala od swoich, tułacz, udręczony ręką srogiego losu, z sercem zbolałem. Dokądże pójdę, co poczmę, komu opowiem stan duszy mojéj? Kto obroni praw moich, kto pomści się za rozłąkę niesprawiedliwą? Rozłąko, niecna, ach gdybyś ty kiedy wpadła w ręce moje, zabiję, zamorduję cię bez litości! Łez moich perłami płacę zbrodnię rozłąki *). Jéj nawet saméj, rozłące, smutno bez ciebie, łzami krwawemi opłakuje oddalenie twoje. Śpiewaku wiosny, Hafizie! moje róże powiędły zdala od niéj, ze słowikami śpiewam pieśń rozłąki!

Nakoniec, o padyszahu i moich modlitw Bóg wysłuchał. Po pewnéj nocy, którą przepędziłem bezsennie, z sercem strapionem, z oczyma krwią płaczącemi, leżąc na piasku pokory, bijąc czołem nieczułą ziemię, żaliłem się i mówiłem do Boga jak do kochanki.

Wiersz. Z twarzą zżółkniałą przyszedłem do drzwi twoich cyprysie pieszczót! Czołem upokorzoném ścierałem pyły twoich pałaców. Dola wdzięku i młodości trwa kilka dni tylko niewięcéj; spiesz się spojrzeć na biedy moje, niedufaj bardzo w wieczność piękności znikoméj!

---

*) Po persku „*krew rozłąki*" alluzya do prawa odwetu wedle przepisów koranowych, gdzie zabójca płaci tyle a tyle za krew przelaną jeżeli chce ocalić życie swoje.

Noc się zbliżała już do kresu swojego, a w tę uroczystą chwilę, Stwórca miłosierny, Pan szczodrobliwie lubiący sługi swoje, raczył otworzyć przedemną drzwi swobody. Widzę powróz spuszczony aż na dno studni i słyszę wyrazy szeptane, ciche, miłośnie:

— „Biedny cudzoziemcze, opasz się mocno powrozem, pora już wyleść z téj otchłani smutku. Prędzéj a ostrożnie!“

Podziękowawszy allahowi, pomyśliłem sobie, to zapewne bracia twoi użaliwszy się przyszli ciebie uwolnić. Okręcam więc silnie około pasa i ramion mój powróz i pełen radosnych uczuć wydostałem się na brzeg studni. Noc była tak ciemną że najsilniejszy wzrok niemógł niczego w niéj dojrzeć. Niewiedziałem kto mię wybawił, ale co osobliwsza to że i on także niewidział ani wiedział ani chciał pytać kto jestem, tylko z pośpiechem odpasał mi powróz i idąc przedemną rzekł: prędzéj spiesz za mną, nie tu miejsce stania i rozmowy!

Jak mogłem złażąc i pnąc się szedłem za nim z góry aż na ustronie, gdzie znaleźliśmy dwa konie pod siodłem. Wsadził mię na jednego, sam na drugiego wskoczył i cwałem pędziliśmy w głąb wyspy. Gdy rozwidniało, mój zbawca targnął wodze i obrócił się ku mnie. Był to młodzieniec doskonałej piękności, od głowy do nóg uzbrojony. Zbliżywszy się doń, zobaczyłem że mu oczy gniewem się zapaliły, zaczął sobie gryść rękę z rozpaczy i dobywszy miecza wpadł na mnie. Zlękniony i aby duszę ocalić spadam z konia na ziemię i wołam: o królu świata wdzięków, zkądże ta nagłość gniewu po owéj słodyczy łask twoich? Rzekł: kto ty taki i skądeś, oszuście? Odpowiedział: Ja cudzoziemiec oderwany od wszystkiego co kochałem, napojony trucizną rozłąki, z życiem rzuconem na cztery wiatry z ser-

cem krwi i bolu pełném. Łzami i zaklinaniem wzbudziłem w nim litość, darował mi życie i spytał:

Nędzarzu, siadaj na koń tu nie miejsce płaczu. Znowu pędziliśmy jak konie wyskoczą, a on się żalił i śpiewał:

Wiersz. To czego serce me chciało, nie to się staje; to czego Bóg chciał, to się tylko staje.

Aż do zachodu słońca podróżując co najspieczniéj, przybyliśmy na brzeg zdroju. Mój zbawca zsiadł i puścił na paszę nasze konie. Zdiął z siebie oręże i zbroje, wszystko pokładł koło siebie, usiadł i rzekł mi:

Nieszczęśliwy, teraz opowiedz mi swoje przygody, ze wszystkiemi szczegółami, abym wiedział kto ty taki. Wyspowiadałem się szczerze ze wszystkich okoliczności życia mojego, od początku do końca. Zbawca mój słuchając nieraz łzy ronił a potem dodał.

No, a teraz posłuchaj mojéj powieści. Jestem córką Raja Eazema, króla tej wyspy i tego miasta co zdala pod nami czernieje. Młodzieniec uwięziony w studni Salomonowéj, jest synem pierwszego wezyra i nazywa się Behruz. Pewnego razu, ojciec mój rozkazał był ministrom i książętom państwa, ażeby ich synowie wyprawili turnieje, goniąc na ostre i szermierząc. Cały harem królewski, damy dworskie, panie i panny, wyszłyśmy patrzeć na zapasy młodzieży, usiadłyśmy na terasie pałacu królewskiego.

Zwycięzcą dnia był młody Behruz, syn wielkiego wezyra, nie tylko najmężniejszy, ale też i najpiękniejszy z reszty spółzapaśników. Serce me skłoniło się do zamiłowania go i długo tajemnie kochałam, marząc o nim zdala od niego, ale namiętność przemogła. Przekupiłam niankę*) pochlebstwami i datkiem, tak iż pewnego dnia

*) *Daje* nianka czy raczéj piastunka córki, w zamożniejszych domach Persyi, przepędza całe życie przy wychowance swojéj.

przyprowadziła go. Od pierwszego rzutu oka pokochał mnie, szalał od miłości.

Długo drzwi znajomości i poufalnéj rozmowy między nami stały otworem, widywaliśmy się tajemnie, aż raz w nocy, czaty rozstawione około komnat królewskich pojmały go z siostrą jego, pomocnıczką i powierną naszą. Ojciec mój, Raj Eazem rozgniewany za nieszacunek haremu królewskiego, skazał biednego Behruza na śmierć. Na wstawienie się pierwszych urzędów państwa śmierć odmienił na wieczne więzienie w studni Salomonowéj. Od przeszło trzech lat żyje tam z tego co mu sekretnie posyłamy do studni; sama, co tydzień, o pół nocy nosiłam mu wodę i pokarmy.

Wczorajszéj nocy miałam sen dziwny. Ktoś mi rzekł: wstań, weź z sobą dwa konie, żywność i pieniędze na drogę dwa arkany, dwie zbroje i oręże dla dwóch. Potém idź do Salomonowéj studni, a stamtąd wyjdzie ten którego potrzebujesz. Otóż skoczyłam z łoża najochotniéj i pobiegłam spełnić rozkaz widocznie z nieba mi przysłany, bo nie był to sen, ale jaw natchnienia. Widno że szczęście przewodniczące dotąd losom Behruza, już zasnęło a twoja dola obudziła się do życia i że tak chcą zrządzenia boże.

Natychmiast z sakiew podróżnych dostała chleb, pieczoną kurę, i butlę srébrną, a także flaszkę siropu wierzbowych kwiatów do robienia szerbetu z różaną wodą zmięszanego. Wszystko to wlawszy do misy podróżnéj, zasłodziła cukrem i podała mi. Zakąsiłem kilku kawałkami chleba i kury pieczonéj. To co po nas zostało oddaliśmy psu mojemu, który nieodstępywał mię na krok. Po dobréj kąpieli w chłodnym zdroju, kazała mi obciąć pazury i odziać się w nagotowane przez nią suknie.

Patrząc na tak nagłą odmianę losu mojego, obróciłem

się twarzą ku arabskiéj *Kybli* *) i jąłem się modlić gorąco. Królewna, brahmańskiego pochodzenia i wiary, zdziwiła się bardzo i zaintrygowana pokłonami i gestami właściwemi namazowi spytała mię, co to takiego ty robisz?

Rzekłem: Składam dzięki najwyższemu Bogu, owemu Stwórcy stworzeń 18,000ciu światów, wywiedzionych ręką jego z otchłani nicestwa w przeciągu jednéj chwili, jednem rozległem „stań się!" **) owemu co bez spólnika, bez wezyra sam przez się stwarzał, owemu Miłosiernemu co, w niewyczerpanéj łasce swojéj, uczynił wolności mojéj narzędziem ciebie, huryskę raju swojego, rozkazując tobie twoją przeczystą łzą litości zmyć ze źwierciadła duszy mojéj rdzę boleści i rozpaczy co mię tak srodze zaćmiły!

Wiersz. Ów potężny, którego potęga wydobywa cukier z trzciny, pączek róży stolistéj z ciernia suchego! Co stwarza ptaka a z tego ptaka jajko i pisklę upierzone uskrzydlone do lotu ku niebiosom! Ów Rzemieślnik przemądry co przed wiekami zbudował świat dotąd stojący.

Tu, idąc za prądem uczucia wdzięczności dla Boga, sprawcy tylu spraw cudownie pięknych i mądrych, skreśliłem jéj obraz wszechmocy naszego allaha, i pióro moje wpisało w serce jéj głoski żywota wiecznego; oczyściłem je z zamętu niewiary. Królewna, ideał (posąg) roskoszy i wdzięku, uwierzyła w prawdziwego Boga. Obu nam ulżyło na duszy, zapomnieliśmy trudu i cierpień minionych, jadąc coraz daléj dniem i nocą.

---

*) *Kybla*, świątynia mekkańska w stronie któréj patrzą muzułmanie modląc się.

**) Wyrazy, które Koran przepisał z Biblii. Muzułmanie wierzą iż stworzenia boskie zamieszkują 18,000 osobnych światów widomych i niewidomych.

Po dwóch miesiącach podróży przybyliśmy do miasta jakiegoś. Władca i podwładni europejscy. Miasto wielkie i wspaniałe jak Kair egipski. Klimat wyborny, woda zdrowa, ludzie piękni jak Józef starego testamentu. Król światły i sprawiedliwy istny opiekum poddanych. Zamieszkaliśmy w tem mieście, kupiwszy sobie dom i potrzebne sprzęty. Znalazłszy w mieście kilku persów używających powszechnego szacunku, zabraliśmy z nimi znajomość. Na koniec jak tylko urządziło się zupełnie w domu, poślubiłem owe słońce piękności wedle obrządków Koranowego zakonu. W liczbie bogactw wywiezionych z haremu Raj Eazema, żona moja miała skrzyneczkę pełną drogich kamieni, więc poradziwszy się z nią otworzyłem sklep jubilerski. Przez trzy lata nie tylko, że handel szedł mi wybornie, ale zaskarbiliśmy sobie dobre imie i wziętość pierwszych urzędników kraju. Kupce i rzemieślnicy krajowi uznali mię za naczelnika handlu. Codzień przybywało mi bogactw i i wziętości, a roskosze życia domowego, z ową perłą ostrygi oceanu powabów, były doskonalsze nad wszelki opis.

Pewnego dnia, jadąc na posłuchanie do wielkiego wezyra, ujrzałem śród bazaru wielki zgiełk ludzi. Powiedziano mi, że miano kaźnić publicznie jakichś dwóch cudzoziemców pojmanych na gorącym uczynku kradzieży i zabójstwa. Dasżże wiary, padyszahu, właśnie gdym myślał sobie, mój Boże, komuż to na cudzéj ziemi przyjdzie się okryć taką hańbą; — w winowajcach ujrzałem nikogo innego jak dwóch braci moich! W ostatniéj nędzy i poniżeniu, z obnażonemi głowami, boso, z więzami na ręku, ciągnięto obu na plac kaźni publicznych. Na ten widok dym i iskry ze wrzącego bólem serca mojego buchnęły pod niebo; więc odprowadziwszy w stronę sług Hakima, którzy mieli kaźnić, wsunąłem garstkę złota w ręce każdego i prosiłem, aby spóźnili kaźń

o jednę godzinę. Tymczasem spiąłem konia i coprędzéj wpadłem do Hakima, dobrze mi znajomego. Miałem był śliczny szafir, za który mi Hakim dawał nieraz sto tumanów, nieprzyjętych przezemnie bo nie dostateczny. Otóż teraz właśnie ten sam szafir przyniosłem mu darmo, prosząc, aby przyjął i darował życie skazanym na śmierć cudzoziemcom.

Hakim nie wiedział co tu począć, gdyż dowiedziono, iż cudzoziemcy ci istotnie kradłszy, zabili kilku mieszczan, których rodziny pragną krwi za krew. Musiałem wejść w układy z rodzinami. Kosztowało mię to je szcze pięćset tumanów. Wziąłem tedy na piśmie zrze czenia się wszelkich pretensyj, stwierdzone pieczęciami nieposzlakowanéj powagi i uwolniłem braci, a także odziałem ich przyzwoicie. Mało tego, posłałem ich do łaźni i nawet pozwoliłem im mieszkać w jedném skrzydle domu mojego; a tylko żony mojéj nie pokazałem im, dla ostrożności, aby przeklęty szatan znów ich nieskusił i nienawiedził nas jakiém nowém nieszczęściem.

Co wieczór przychodzili na moje pokoje wieczerzać ze mną, poczem szliśmy każdy w swoją drogę, ja do haremu mego, a oni do sypialni swojéj.

Tak cały rok minął, bez przygody i zgryzot wszelakich. Oni rzadko wychodzili z domu. Po roku owa perełka ostrygi wierności i skromności, dusza méj duszy, wracała raz bardzo rano z wanny i idąc przez dziedziniec nasz, niewiedząc czy na nią kto patrzy, podniosła zasłonę. Nieszczęściem brat średni już nie spał. Od pierwszego spojrzenia ugodzony strzałą miłości, przyznaje się starszemu: oba znowu robią spisek na moje życie!

Oto jak sobie uradzili: Proponujmy bratu podróż, a podczas drogi łatwiéj i bezkarniéj go zgładzimy ze świata, ani nam głowa zaboli od żalu.

Padyszahu! Oni knuli śmierć moją, ja dni i noce dziękowałem niebu za to, że bracia, dawniej niedobrzy i złośliwi dla mnie, teraz się poprawili, chwała Bogu. Pewnego wieczora starszy brat zagaił rozmowę o miłości ojczyzny. Zaczął wychwalać klimat i ludzi Farsu. Brat średni zapłakał, niby rozczulony przypomnieniem stron rodzinnych. Rzekłem, o bracia moi, gdy się wam tak już zapragnęło ojczyzny, dojechać do niéj nie t u-dno, po co te łzy i żale niesprawiedliwe? Da Bóg, niedługo ztąd wyjedziemy.

Sam na sam z żoną moją, opowiedziałem jéj żądzę bratnią, zapytałem, czyby się zgodziła na tę pojazdkę? Zdała się na moją wolę. Skracając powieść, stało się jak bracia żądali. W kilka dni po téj rozmowie, przygotowania do drogi skończono. Za miastem, pod rozbitemi namiotami doczekaliśmy się szczęsnéj godziny, puściliśmy się do Farsu, w towarzystwie kupców i podróżnych, którzy mię postanowili głową i naczelnikiem wyprawy.

Miałem braci moich ustawicznie przy sobie. Gdy lada pyłek zgryzoty siadł na ich czole, natychmiast go ścierałem. Już od miesiąca podróżowaliśmy, gdy pewnego wieczora na noclegu, średni brat mi powiedział: Szkoda że niebędziem mieli czasu przypatrzyć się jutro tutejszym osobliwościom. — Alboż tu są jakie osobliwości? spytałem. — Odpowiedział o fersech w stronę z drogi, jest rzeka któréj brzegi sławne są pięknością położenia: przezrocz wód i świeżość ich jest istotnie rajska a okoliczne łąki mają róże i fijołki tak powonne jakich w jednym Edenie znaleśćby można; po godzinie drogi przez tę czarowną okolicę, przyjeżdża się do koczowiska letniego, gdzie w siatce zdrojów, massy kwietników zasypanych kwieciem i zielonością.

Rzekłem: no, więc dobrze, zabawiemy tu dzień jutrzejszy. Kazałem obwołać po naszéj karawanie że ju-

tro dzień odpoczynku, a także przygotować nam śniadanie na brzegach owéj rzeki.

Nazajutrz rano, bracia obudziwszy się przedemną przyszli wezwać mię do wycieczki, radząc abym ją odbył piechotą, co przyjemniéj w pięknych okolicach, a w razie, gdybym się znużył, wrócimy konno.

Mieli z sobą dwóch służących z *kalijanem* *), kawą i śniadaniem. Zboczyliśmy z wielkiéj drogi, a pies mój bawił nas uganiając się po polu za ptakami i motylami. Uszedłszy nieco, bracia odesłali niewiem dokąd najprzód jednego, a potem i drugiego sługę, a mnie bawili coraz to dowcipniejszemi powiastkami. Im głębiéj szliśmy w stepy, tem kraj dziczał i brzydniał, ani strumyka ani zieloności.

Zachciało mi się na podwórze. Odszedłem na ustronie, aż tu bracia, jeden i drugi z dobytemi z pod płaszcza szablami wpadają na mnie siedzącego.

Z razu postrzegłem tylko cienie rąk z sterczącem żelazem idące po piasku tuż przy mnie, ale nimem się opomniał, brat starszy już był nademną i pałaszem ugodził mię w szczękę. „Okrótniku, zawołałem, czemu to robisz!“ ale natychmiast żelazo brata średniego utkwiło mi w zatyłek, padłem na ziemię. Zbrodniarze bez litości kamiennego serca, rąbali mi po grzbiecie, po boku, po krzyżach, nogach i ręku; rozsiekliby mię w drobne kawałki, gdyby nie pies mój. Obrońca ten niespodziewany rzucał się z wściekłością na braci moich i gryzł ich zażarcie, tak iż musieli się bronić. Skaleczyli psa, ale i sami pokąsani okropnie, uciekli.

Niezaniechali skorzystać i z ran swoich. Jak tylko przyszli do karawany zaczęli w całe gardło krzyczeć że liczna szajka rozbójników tylko co zabiła im brata, że trzeba jechać co prędzej aby od śmierci uciec,

---

*) To samo co w Turcyi nazywają *nargile*, fajka któréj dym przechodząc przez wodę, oczyszcza się i ochładza.

ich samych poraniła i zapewne lada chwila może napaść na karawanę. Wiadomo jakim postrachem uderza kupców imie rozbójnika, a szczególniéj kupców podróżujących przez dzikie stepy i pustynie. Karawana nieczekając ciągnęła dalej, a moja poczciwa żona, któréj nieraz opowiadałem dotychczasowe postępki braci moich, niechciała czekać dalszéj niechybnéj zniewagi: w rozpaczy przebiła się chandżerem (kindżał)....

O derwiszowie! jubiler przerwał tu powieść swoję.— Mnie samemu zabolało serce i niemogłem od łez wstrzymać się, co widząc jubiler rozebrał się do koszuli, ukazał nam grzbiet, ramiona i boki swoje, całe pokiereszowane bliznami już zagojonemi. Niebyło członka całego. Potem zdjął turban i widzieliśmy na tyle głowy ślad głębokiéj rany, nieporosłéj włosami. Wszystko było tak przerażające, żeśmy sobie zakrywali oczy. Poczem jubiler się ubrał i tak przedłużał swą powieść.

Padyszahu, panuj potężnie a szczęśliwie! Posłuchaj końca powieści służącéj dowodem wszechopatrzności bożéj.

Wiersz. Gdyby nawet świat cały uderzył mieczem swoim, nie przetnie ani jednéj żyły bez pozwolenia bożego...

Gdy bracia niewiedząc żem nie umarł, odbiegli mię ranionego i zostawili w pustyni, wierny pies mój został przy chorym, i wył żałośnie. Leżałem bez ruchu, zemdlony wylewem krwi tyla. Trudno rozsądek zdrowy powierzy aby ktoś mógł wyżyć po tak wielu i tak niebezpiecznych ranach. Widno że rozkaz méj śmierci jeszcze nie był wydany w trybunale niebieskim.

Ziemia na któréj leżałem i okolice należały do króla Frengów (europejskiego), mocarza tak przeważnego że wszyscy inni Frengistanu królowie służyli mu. Pałac jego i świątynia pełne były posągów i ludzi obojéj płci, piękniejszych jeszcze nad posągi najartystyczniejszego

dłóta. Miał on córkę, księżniczkę dziwnéj piękności, a sława jéj wdzięków grzmiała po wszystkich krajach Europy. Monarchowie i władce starali się o jéj rękę.— Bo też i było o co: twarz jak księżyc, warkocz piżmowéj barwy i wonności!

Wiadomo że w Europie kobiety nie zasłaniają sobie twarzy przed mężczyzną, nawet nieznajomym, ani uciekają od nich jak nasze. Owszem, owa księżniczka gwiazdooka, zawsze otoczona pannami i młodzieńcami białemi jak jaśmin, rumianemi jak róża, bawiła się przechadzką i polowaniem, po polach, po górach. Zrządzeniem losu, król miał swój ogród w tym uroczym kraju. Księżniczka z orszakiem młodzieży przyjechała go odwiedzić, odetchnąć balsamicznem tchnieniem powiewów raju ziemskiego. Król ojciec pozwolił jéj gościć tam dni czterdzieści z guwernantką, służebnemi i resztą zwykłego orszaku. Owego dnia polowała w okolicach, a towarzyszki i towarzysze jéj, pijani weselem i winem, hasali po polu tu i owdzie. Kilka panienek przygalopowało aż do mnie, na wycie i szczekanie psa mego.— Widok krwi i ran moich tak je przeraził, że pouciekały aż do księżniczki. Na zapytanie, dla czego tak strwożone, opowiedziały jéj wszystko. Księżniczka wnet kazała siebie zaprowadzić i przybyła z licznym orszakiem. Dobre to serce! Natychmiast zeskoczywszy z konia usiadła przy mnie i kazała przyprowadzić chirurga, znajdującego się zawsze w myśliwych sług liczbie.

Rzekła mu: Możeszli wyleczyć rany tego nieszczęśliwego bałwochwalcy *)? Zrób to a dam ci płaszcz honorowy i nagrodę; w przeciwnym razie będziesz miał chłostę, a wtedy nie skarż nikogo, jeno samego siebie.

---

*) Muzułmanie zowią przez żart chrześcian bałwochwalcami dla tego że w kościołach naszych są obrazy i posągi.

Tak miłosierny, szczodry Bóg, zmiękczył dla mnie serce owéj wdziękini.

Stósownie do jéj rozkazów, dworzanie złożyli mię z ostrożnością na dywan i zanieśli do jéj ogrodu. Mój wierny pies szedł za mną nieodstępnie i obrał sobie za, mieszkanie sąsiedni kąt w ogrodzie. Chirurg znał dobrze swoje rzemiosło. Obmył mię z kurzu i krwi, rany pozaszywał, opatrzył plastrem, i poił mię europejskiemi lekami. Niezbywało też na staraniach, ani na strażnikach, co bardzo troskliwie strzegli wszystkich zmian choroby mojéj. Co osobliwsza, to że księżniczka sama ów klejnot skarbca potęgi, przedmiot zazdrości rajskich hurysek, przychodziła do mego łóżka przekonać się czy chirurg pełni obietnicę wyleczenia mnie. Mąż ten mądry niebawem zaczął mi dawać pożywniejsze pokarmy i poić winem. Skarżył się nieraz na zbrodniarzy, co z taką wściekłością pokaleczyli mię, że rana przeszkadza ranie. Wszakże po dziesięciu dobach nie było już wątpliwości że wygoję się, dzięki mocy spirytusów, mixtur i stósownych pokarmów dawanych mi przez biegłego chirurga w tak zdrowym klimacie i łagodnym jak w owym sadzie.

Obudzony z letargu, otwieram oczy i widzę mnóstwo wdziękiń i księżniczkę, słońce ich nieba opromieniające nieszczęsną głowę moję, to jest: siedziała, przy poduszce wzdychając i tęskniąc. Chciałem poruszyć się, sił nie stało. To słońce nieba życzliwości i uroku, księżniczka zgadła chęć moję. Łaskawie wzięła mię za rękę, zapytała o zdrowie i rzekła: Nie śmuć się, owszem bądź dobréj myśli. Zbrodniarz jakiś pastwił się nad tobą ale Bóg twój przysłał mię w porę. Wyzdrowiejesz wkrótce i pozbędziesz się reszty słabości a wrócisz do zdrowia i życia.

Padyszahu! Świadczę się Bogiem, wskrzesicielem umarłych, że w tejże chwili stałem się igraszką dziwnych

losów moich: uderzony siłą piękności i rozumu téj królowèj państwa uroku, omdlałem. Zrozumiała natychmiast powòd téj utraty zmysłów, gdyż poeci powiadają zwykle:

Wiersz. Pod sklepieniem nieba okrywającem ziemię na światowych manowcach z serca do serca jest ścieżka wiodąca od nienawiści do nienawiści, od miłości do miłości.

Padyszahu! ponieważ podobało się mądrości bożéj i woli wiekuistéj aby owa księżycolica, przytuliła mię nędzarza opuszczonego od wszystkich; powinnością moją było wywieść ją z mroku niewiary i zapewnić jéj zbawienie sprawą istotnéj religii.

Monarcho! po dwudziestu dniach mojéj choroby ów chirurg doskonały zgoił mi wszystkie rany. Cukrousta księżniczka w noc, jak tylko strażnicy usnęli, sama przychodziła do mnie, siadała przy poduszce, i obudziwszy mię, poiła mię wódką i winami, coraz więcéj i więcej uprzejma. Tak skończył się pierwszy miesiąc, moje rany zażyły zupełnie. Księżniczka nagrodziła hojnie chirurga, dała mu honorową szatę i nie taila radości, że staraniami jéj wyniosłem cało duszę moję, ale jéj serce dręczyło się.

Jak tylko poczułem się na siłach, wykąpawszy się chędogo, przyodziałem suknie księżniczki. Dni i noce mijały rozkosznie w atmosferze jéj powabów, a posilające wina i wyborna kuchnia uczyniły mię zdrowszym i rzeżwiejszym niż kiedykolwiek dotąd. Nieraz odurzony szczęściem i winem, mówiłem śmiało, niekryjąc jéj uczuć moich. Umiałem zająć każdą z chwil jéj, karmiąc jej rozum i serce.

Pewnego wieczora na zapytanie jéj, opowiedziałem wszystko, com ucierpiał od złości braci moich, i jak cudownie wyzwolono mię z więzienia. Huryska moja słuchała mię tém pilniéj że już przeszła była na wiarę

iślamu. Płakała nad przygodami mojemi, potem patrząc na mnie oczyma zakochanemi rzekła:

Jeżeli inne zdarzenie boże nie stanie nam na drodze, zrobię coś takiego, co cię przymusi zapomnieć o wszystkich niedolach minionych. Odpowiedziałem: Pozwól mi paść ofiarą wdziękom twoim!

Wiersz. Ty półspojrzeniem twych uroczych oczu zabijasz tłumy; ach biada, biada, gdy spojrzysz pełnym blaskiem oka!

Klnę się potęgą wdzięków twoich, że już zapomniałem że jest niedola na świecie. Niech tylko Bóg nieoddala głowy mojéj z pod cienia rozkosznego łask twoich, oto treść jedyna mych modlitw dzisiaj!

Takiego tonu piosnkami kołysałem jéj miłość, ale sen pierzchał; jéj usta rozkwitały uśmiechem róży porannéj, serce przy sercu weselem drgało, aż do samego świtu przesiedzieliśmy szczęśliwi. Potem na wzór téj pamiętnéj nocy, mijały wszystkie inne, zdala od świadków natrętnych. Przyjąwszy mię do orszaku dworzan swoich, kazała wszędzie towarzyszyć sobie. Miałem urząd strażnika przedsieni haremowych a więc zawsze w sąsiedztwie pani moich losów. Codzień z jéj kredensu przynoszono mi najdelikatniejsze wina, zwierzynę, przysmaki, które spożywałem nie samotny, ale z nią wspólnie, i wtedy gdy reszta sług spała. Jak anioł życia przychodziła do mnie co wieczór, i w promieniach gwiazd jéj oczu noc gasła, zanim pierwsze świtanie poranku nie ostrzegło nas że już się trzeba rozstać. Guwernantka jéj towarzyszyła pani.

(*Dokończenie w następnym zeszycie*).

ALEKSANDER CHODŹKO.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Korzyści z przekładu obcych arcydzieł. — Dla czego Hiszpanie mają tak wielką dramatyczną literaturę? — Duch i znaczenie poezyi Kalderona. — Kochankowie nieba. — dramat przełożony przez Balińskiego.

Kiedy na jałowéj niwie polskiego dramatu rzadko się ukazuje utwór jaki godny głębszego zastanowienia, tedy do miłych bardzo zjawisk policzyć można każdy dobry przekład arcydzieł obcych teatrów. To pewna że każde dobre tłumaczenie dzieła wyższego rzędu, więcéj rzetelnéj korzyści przynosi, i łatwiéj ukształca umysłowość narodu, niż tak zwane swojskie, na własnym niby gruncie wyrosłe kwiaty, które dla tego że coś zaczerpną z miejscowego kolorytu, lub znaną anegdotę obrobią, lub nareszcie wprowadzą osoby kończące się na *ski* i *wicz*, mają się za coś lepszego i właściwszego dla nas, niż płody żyjące od wieków i przez najpierwsze światła europejskie za przednie i pełne znaczenia uznane.

Płody ducha i wyobraźni niekoniecznie trafnie jest z tego punktu uważać, co płody naszéj ziemi. — Lepsza gruszka ojczysta niż obca pomarańcza—to prawda; ale ten owoc dla tego smakuje, że przez przyswojenie dobrych gatunków, uszlachetnioną została nasza dziczka, któréj niepodobna nietylko przełknąć, ale i ukąsić. Z płodami literatury ma się toż samo; trzeba je uszlachetniać, doskonalić, dociągać do wysokości wyższego jeniuszu— albowiem miara porównania zawsze braną będzie z całego obszaru literatur, a nie z zacieśnionych wyłączności, choćby jak zasłaniających się tarczą narodowego gruntu.

Dla téj przyczyny uważam dobre spolszczenie jakiego arcydzieła literatury obcéj, za pożyteczniejsze niż marne kręcenie się w kółku wyobrażeń i form dawno zużytych i wypłowiałych jak długo noszona suknia. Obce arcydzieła w ojczystéj szacie i z talentem powtórzone, odświeżają wyobraźnią, ubogacają umysł, pokazując jakiemi drogami prawdziwa twórczość chodzić zwykła, i w jakich czerpie źródłach siłę wielkiego natchnienia.— Toż ucieszyłem się niepomału, gdy pod ogólnym tytułem: *Wybór dzieł Kalderona*, dostał mi się do rąk przekład dramatu hiszpańskiego traika: *Kochankowie nieba* (*Los dos amantes del cielo)* wykonany przez Karola Balińskiego znanego z kilku udatnych poetycznych utworów oryginalnych.

Dotąd autor hiszpański znany był u nas tylko z dwóch dramatów, z *Lekarza swego honoru* tłumaczonego przez p. J. N. Kamińskiego i z *Xięcia Niezłomnego*, który pod piórem Juliusza Słowackiego pokazał nieporównanéj szczytności przymioty prawdziwéj poezyi dramatycznéj. Jednakże mimo tych otwartych wrót do poznania arcydzieł hiszpańskich, nikt ich nie tykał; niejeden wolał przerabiać francuzkie komedyjki, dramata, chociaż ta-

kowe w chwili tłumaczenia, już na dobre skonały na swojéj scenie.

Pokazuje się że po rzeczy wysokie nie każdemu sięgać; choć zdawałoby się, że jedna praca, czy tłumaczyć dramat Bayarda et Comp. czy Kalderona jakie *autos sacramentales.* Tymczasem chcąc się podnieść do szczytu ostatnich, pojąć ich znaczenie głębokie, czyste i katolickie, trzeba mieć usposobienie wewnętrzne, nastrój duchowy, któryby więcéj czegoś szukał, niż pustéj zabawki na deskach sceny.

Zanim przystąpię do wyłuszczenia przymiotów dramatu: Kochankowie Nieba i przekładu Balińskiego, chciałbym zastanowić się na chwilę nad przyczynami powstania tak wielkiéj sztuki dramatycznéj u Hiszpanów. Zawsze to bowiem ciekawe pytanie, dla czego jeden naród przychodzi do niéj w sposób zadziwiający, a inny, mający pozornie też same warunki istnienia i jednąż treść ducha co tamten, nie jest w stanie zdobyć się na dramat.

Cudowneż to drzewo bujnością liścia i kwiecia, choć niby wyrosłe na jałowym gruncie, cudowny ten dramat hiszpański!

Co szczególniejszy wzbudza podziw, że we Włoszech, téj ziemi, tak bliskiéj i pokrewnéj z Hiszpanią, gdzie lud nadzwyczaj wrażliwy na dzieła sztuki, i jakby dla sztuki stworzony, żyjący przytem śród najpiękniejszéj natury pełnéj olbrzymich tradycyj, pod Xiążętami protegującymi i miłującemi sztuki piękne, niechciał czy niemógł stworzyć sobie narodowego dramatu — kiedy przeciwnie w Hiszpanii, pod większym uciskiem władzy, i śród mniej przyjaznych warunków, drzewo literatury dramatycznéj, rozbujało się potężniejsze niż gdziekolwiek indziéj. —

Jedna tylko historya może dać odpowiedź, a zarazem

objaśnić, w czem tkwi właściwe źródło dramatycznéj sztuki.

Włochy jak wiadomo, nietylko nigdy nie mogły dojść do narodowego ogniska, ale nadto wpływy postronne ustawnie do tego zmierzały, aby je trzymać w rozdrobnieniu, i bronić zrośnięcia się cząstek. W tej bezsilności i niedojrzałości politycznego bytu klasycznéj ziemi, tępiała i gasła wszelka energia charakteru; a chociaż w ludzie przechowała się tradycyjna skłonność do zajmowania się zmyśleniami fantazyi, niemniéj i wrażliwość wrodzona, jednakowoż odwykłszy raz od samodzielnego czynu, nie był już w stanie przyoblekać tworów swojéj wyobraźni w kształty postaci działających.— Z tego względu kwitła u niego najbujniéj powieść, nowella i liryka, dramat tylko został mu obcy i był jedynie sztucznemi sposobami przez panujących podtrzymywany. —

Hiszpania przeciwnie, spełniwszy wielki czyn przez oswobodzenie się od jarzma Maurów, przeszła z rozbicia do jedności, z cząstek, zrosła się w całość, i skutkiem tego rozwinął się w narodzie męzki duch pędzący do czynów, niemniéj pojęcie i uczucie ojczyzny w narodowéj samodzielności, obok religijnego zapału, który właściwie był zródłem tych cudów.

Okres ten dzielnego wystąpienia za wiarę i ojczyznę maluje się najlepiéj w narodowéj epos hiszpańskiéj, to jest w Romancach, które całym swoim układem są skróś dramatyczne, i niejako zaród przyszłego dramatu w sobie noszące. Upodobanie do zuchwałych i awanturniczych przedsięwzięć, do cudowności i do romansowości, przebijające się w starych pieśniach Romancerów, z czasem zaczęło słabnąć i przeobrażać się, w miarę, jak się oddalały te wieki, w których dokonano największe dzieła rycerskie; romanse zaś czytane tak skwapliwie w piętnastym i szesnastym wieku, że aż je wyszydził

Cerwantes, były tylko mdłą karykaturą świata żyjącego w pieśni. Mimo tego odpowiadały one skłonności obudzonéj w narodzie do nadzwyczajnych przygód i dziwów nadnaturalnych, tém więcéj, że ta skłonność znalazła dla siebie szerokie pole w świeżo odkrytym nowym świecie. — Późniéj kiedy się zmienił polityczny stan rzeczy, a czynna rzutkość narodu czuła się spętaną, zawsze jednak wrzała w sercach miłość do czynu, wielkie przedsięwzięcia i bohaterstwo niedały mu w marzeniach usypiać. — Długi pokój — wojna bowiem we Flandrach i drobne bunty po prowincyach niewiele lud zajmowały — długi pokój i szereg twardych panujących, którzy niedopuścili ludowi brać żadnego udziału w sprawach państwa, wtłoczyły ten zapał w głąb piersi — i naród musiał stworzyć sobie w krainie fantazyi to, czego nie mógł znaleść w rzeczywistości.

Takiemu usposobieniu ludu żadna inna forma niemogła dogodzić, tylko dramatyczna; dla tego też w żadnej z nowożytnych literatur dramatycznych niema tyle oryginalnego i samodzielnego natchnienia, co w dramacie hiszpańskim; bez wszelkich bowiem sztucznych środków zrodził się on wprost z wewnętrznéj potrzeby narodu.

To wytłumaczy również przyczynę dla czego i u nas dramat w najprzyjaźniejszych na pozór warunkach nie mógł powstać — bo niebyło wewnętrznéj potrzeby narodu — bo dramat, jako widowisko nie mógł się obejść bez widzów, a u nas właśnie widzów nie było, i być nie mogło, kiedy cała treść narodu, szlachta, wiodła w rozproszeniu żywot ziemiański — miasta zaś osiadłe przybyszami słabo związanemi z życiem Rzeczypospolitéj, tem bardziéj nie czuły potrzeby dramatu.

Z powyższych względów uważany dramat hiszpański może być przedmiotem nauczających studyów — potrąciłem je, chcąc jego ważność i znaczenie pokazać, a ra-

zem zwrócić uwagę na głównego wyobraziciela sztuki dramatycznéj, na Kalderona.

Chcąc zaś przedstawić ducha dramatu hiszpańskiego w doskonałéj onegoż pełności, to jest w Kalderonie, wypada kilka słów powiedzieć o właściwościach i istocie sztuki dramatycznéj. Do najniższego rzędu policzam te przedstawienia sceniczne, w których li tylko zewnętrzna strona życia, że tak powiem fotografia fizyonomii społeczeństwa, chwytaną bywa. Choćby zatem grały największe namiętności w trajedyi, a w komedyi sam kwiat wykwintnego społeczeństwa ze wszystkiemi subtelnościami przesuwał się, to jednak, jeżeli całość zatrzyma się na powierzchni i da tylko obraz dla oka lub samą namiętność podrażni, to przecież utwór taki zawsze będzie stał na najniższym stopniu. Do wyższego już rzędu należy przedstawienie sceniczne gdzie obok namiętności i obrazków zdjętych z życia, panuje i przemawia jakaś myśl głębsza; będzie to charakterystyka i w pojedynczych osobach i w całości — świat i życie w światłach i cieniach, w przeciwieństwach i zawikłaniach — a człowiek i koleje bytu jego na ziemi, nierozwikłaną zagadką. Gdyby ta głęboka charakterystyka natury ludzkiéj, poprzestająca na postawieniu zagadki, lub rozwiązaniu jéj, miała być najwyższym celem sztuki dramatycznéj, tedy nic nad Szekspira i jego szkołę staćby już niemogło. Tymczasem dramat w duchu katolickiego pojęcia ma cel wcale inny i wyższy. Powołaniem jego nietylko stawiać zagadkę życia, ale i rozwiązywać ją; z tego względu dramat tego rodzaju powinien zaglądać w przyszłość i pokazywać jawnie tajemnice wewnętrznego człowieka. — Jest to zatem wcale coś innego, niż to co zwykle zowiemy katastrofą w trajedyi. Mimo tego mamy tyle głośnych utworów dramatycznych którym brakuje całkiem podobnego rozwiąza-

nia, lub które coś takiego zachowały w formie zewnętrznéj, ale nie w swojéj istocie i duchu.

Trzeci ten rodzaj rozwiązania dramatycznego, przeprowadzający przez cierpienia życia do duchowego oczyszczenia — może być właściwy tylko gorącéj wiary poetom, jak między innymi Kalderonowi. — U niego wielka ta myśl chrześciańska nietyle się spotyka w wyborze przedmiotu, ile we właściwem mu sposobie czucia i obrobienia. Nawet tam, gdzie treść niepozwalała z cierpień i śmierci rozwinąć nowe życie oswobodzonego ducha, umiał jednakowoż wszystko oblać światłem i kolorami anielskiéj miłości i świętości. — Jest to jeden z pisarzy po Dancie najwięcéj wlewający w utwory swoje ducha katolickiego, najwięcéj też godzien byśmy go poznali.

Ile z przedmowy, i z przekładu wykonanego *con amore* mógłem uważać, wziął się p. Baliński do téj pracy z zapałem, a co więcéj z głębokiem uczuciem i pojęciem poezyi kalderonowskiéj. — Szczególniéj trafne są jego postrzeżenia co do samego dramatu: Kochankowie Nieba o którym powiada „że to dramat dzisiejszy, odgrywający się nie na deskach teatru, ale na widowni świata — w życiu — na ziemi. — Ktokolwiek całą duszą wpatrzy się w ten obraz Kalderoński, spostrzeże i poczuje, że sam jest nietylko widzem, ale i aktorem zarazem w tym wielkim żyjącym dramacie, a własne sumienie powie mu wyraźnie jaką on w nim rolę odgrywa“.

W tem też to właśnie tajemnica téj świeżości, tego nieśmiertelnego interesu jaki wzbudzają utwory hiszpańskiego traika, że uczucie religijne, przekonanie katolickie, staje się sędzią sumienia, regulatorem czynów. Że człowiek wzięty z jakiejkolwiek epoki tak samo jak dzisiaj wierzy, wacha się, podnosi, upada, na pozorze prawdy przestaje, lub ciągle walczy i ponosi ofiary, aby ją zdobył, nie pychą i zarozumieniem mędrkostwa, ale pokorą, na którą najpierwéj spływa łaska pańska.

Najlepiéj będzie, gdy opowiem treść Kochanków Nieba.

W całéj téj sztuce, przemaga ton dziwnie łagodny, tkliwie wzruszający, nie tak jak w innych sztukach Kalderona, gdzie jak grom po gromie biją gwałtowne wstrząśnienia. Niebiańska łagodność i czystość uczuć rozlanych w tym dramacie, pokazuje w jak wysoce pobożnym nastroju musiał być poeta, kiedy go tworzył. — Legendę stanowiącą treść Kochanków Nieba, o Chryzancie i Daryi, opowiadają Żywoty Swiętych, (*Gregor. Turonensis, Gloria beatorum marrtyum Cap. 38*) a i nasz Skarga niepominął jéj. Powtarzam ją w treści bo dramat nic od niéj nie odstąpił. „Chryzantus syn rzymskiego Senatora Polemiusza, z zamiłowaniem oddawał się naukom filozoficznym; przypadkiem wpadły mu do rąk Ewanielie, owoż tak był przejęty czytaniem boskiego dzieła, że aż zapadł w ponury smutek. Żeby zaś otrzymać rozwiązanie ciągle trapiących go wątpliwości, udał się do chrześciańskiego kapłana, Karpofora, który nietylko obeznał go z nową nauką, ale i chrztu udzielił; a tak Chrysantus został otwartym Chrześcianinem. — Ojciec jego Senator, zapalony wyznawca starych bogów pogańskich, kazał go wtrącić do więzienia; lecz nic to niepomogło. Natenczas za radą jednego z przyjaciół, użyto względem niego innych środków. Wyprawiono wspaniałą ucztę, gdzie Chryzanta otoczono gronem płochych i zalotnych dziewcząt; ale młodzieniec pełen boskiego ducha, po gorliwéj modlitwie otrzymał ten cud, że płoche zalotnice w twardy sen pozapadały. Poczem, jakby na dobitkę, nasadzono nań czystą kapłankę Minerwy imieniem Darię.

Chryzantus ujęty jéj wdziękami nawrócił ją do Chrystusa — i choć oboje otwarcie przyznali, że są połączeni ślubem małżeńskim, mimo tego żyli w czystości. Gdy zaś tak on jak ona usiłowali przy każdéj sposobności

dawać świadectwo nowéj wierze i opowiadać ją — doszło to do pogan, i zaczęli mieć ich w podejrzeniu. Trybun Klaudiusz zaprowadził Chryzanta do świątyni Herkulesa i nalegał do złożenia fałszywemu bożyszczu ofiary. Chrześcianin oparł się, i został wydany na najokropniejsze męczarnie; cud tylko sprawił, że ciało jego zostało jakby nietknięte mimo razów i katowań — co na Klaudiuszu i na żołnierzach zrobiło tak mocne wrażenie, iż zażądali Chrztu świętego. Sam Cesarz posłyszawszy o tem wmięszał się do téj sprawy i kazał Chryzanta wtrącić do lochu, a Darię oddać do domu pablicznego zepsucia.

Z tego to miejsca wybawia ją Lew i broni przeciw natrętnym uwodzicielom. Nakoniec Pretor rozkazał porwać kochanków i wrzucić do jamy za murami miasta, a otwór zawalić kamieniami i ziemią".

Taka treść legendy — ale co z niéj Kalderon stworzyć umiał — tego niepodobna wypowiedzieć, tylko trzeba sam dramat przeczytać, z nieporównaną umiejętnością i mistrzostwem przeprowadzony od początku do końca.

Jeżeli dzisiejsi wielbiciele sztuki dla sztuki lekko ważyćby sobie mogli wielką mądrość i szczytność chrześciańskiego natchnienia w utworach Kalderona, to przynajmniej powinni uczyć się z niego architektoniki dramatu. Jakież tam staranne i przenikliwości pełne obmyślenie planu! Nikt niemoże się z Kalderonem porównać w rozłożeniu przedmiotu w najdrobniejszych szczegółach; nic on też niezostawia przypadkowemu zachceniu, ale widocznie nim pisać zaczynał, zdawał sobie ścisły rachunek z każdego obrotu działania, z każdéj sceny i znaczenia jéj w stosunku do całości. Bujna jego fantazya, niesłychany dar wynalezienia, poddawały się pod kontrolę najbystrzejszego rozumu, dlatego niecierpiał on w swoich dramatach nic takiego, coby się nie dawało

usprawiedliwić wymaganiami najgłębiéj pojętéj sztuki. W kompozycyi tak zrozumianéj jak on ją rozumiał, niebyło scen niepotrzebnych, każda bowiem płynąc z wewnętrznéj konieczności, dzielnie posuwała pochód głównéj akcyi, tak iż z jednego kroku, z jednego rozwinięcia, rozwijał się następny; w poprzedniéj scenie tkwił zaród i konieczność sceny po niéj idącéj, a wszystko spływało się w dziwnie harmonijną całość. W téj sztuce doszedł dramatyk hiszpański skończonej doskonałości.

Jak lawina alpejska rosnąca w objętości i coraz spieszniéj spadająca po stoku skały by z grzmotem zasypać dolinę, podobnie pędzi akcya w jego sztukach coraz spieszniéj i gwałtowniéj i nie kończy się aż u spełnionego kresu. Cokolwiekby mogło zawadzać temu pędowi, zostaje siłą jego porwane i uniesione. Wielka jedność, porywający interes, mają tę u niego władzę, że się im oprzeć niepodobna; a chociaż lubi on zawiłe komplikacye scen intrygowych, niespodziewanych, mimo tego cała budowa dramatu, bywa przejrzystéj jasności, że nic łatwiejszego jak się zoryentować w tym gmachu fantastycznéj struktury. Możnaby powiedzieć, robiąc materyalne porównanie, że dramata jego przypominają, jak raz te czarodziejskie maurytańskie pałace Genady i Sewilli, okryte jak powojem wijącemi się arabeskami misternéj roboty, połyskującemi złotem, kością słoniową, perłową macicą, pełne filigranów i koronek, które położone na tle najczystszego południowego nieba, i rozświecone słońcem wielkiéj jasności, odrysowują się najwyraźniéj w najdelikatniejszych konturach i pozwalają oku bez trudu błądzić po najzawilszych labiryntach.

Cóż teraz powiedzieć o poetycznéj pełności stylu, o muzyce słowa zlewającéj się tak cudownie z tym rozumnym układem kompozycyi? Jakież tam bogactwo farb,

co porównań i przenośni! Wszystkie zjawiska bożego świata drobniuchne i wielkie, martwe i ożywione, dalekie i bliskie, wiąże poeta w świętem natchnieniu w jeden kwiecisty bukiet tak świeżo uszczknięty że w kroplach rosy drżących w kielichach odbija się nieśmiertelna piękność zagrobnego świata. Z jakiemże uczuciem dla natury przechadza się on po czarownych ogrodach stworzenia, gdzie każdy listek, każdy śpiew ptaszka, szmer wody, opowiada mu tajemnicę bożéj miłości! — Język jego poetycki, miękki i ognisty zarazem, jest odbiciem się południowych krajobrazów jego ojczyzny. Palmy i cyprysy, róże i jaśminy — a na tle oddaleńszym nieskończone morze rozkołysanych fal, po których duch się unosi i w tęskne zapada marzenie...

Pokusiłem się o charakterystykę Kalderońskiego stylu — próżny wysił! Poeta niemiecki Platen w czterech wierszach chciał go także schwycić:

Czy to zmysłów zczarowanie,
Czym wziął postać zagrobową...
Że tu kwiatem — porównanie,
A muzyką każde słowo?

Trudno niebyć wdzięcznym p. Karolowi Balińskiemu, że nam daje poznać te arcydzieła poezyi chrześciańskiéj w całem i ścisłem znaczeniu. Nie będzie to bez korzyści na kierunek naszéj literatury, w któréj jak dziś, niemałéj powagi używają, różne efemeryczne płody zagranicznych literatur przepojone do tego fałszywemi doktrynami wyznawców tak zwanego postępu, a raczéj wywrotu.

Jak zaś tłumacz włada językiem, jak oddaje czysto i poprawnie wiersze oryginału, najlepiéj przekona wyjątek. Biorę zatem tę piękną scenę w któréj ojciec Krizanta, senator Polemio, zmartwiony tem, że żadne roz-

rywki, ani wymysły najwyrafinowańszych uciech niemogą rozpędzić melancholii syna, dowiaduje się, że jakiś starzec udający się za lekarza, gotów jest cierpiącego Krizanta wyleczyć. — Po krótkiéj rozmowie ze starcem, nabiera otuchy w przywrócenie zdrowia synowskiego, i zostawuje ich obudwóch. — Tym starcem lekarzem był Karpoforo, głowa prześladowanych chrześcian przez Polemiusza, Karpoforo, który już przyjmował był w grocie swojéj Krizanta, gdy tenże po przeczytaniu ewangelii, nie mogąc sobie dać rady w miotających nim wątpliwościach, przyszedł do niego z prośbą o wyjaśnienie tajemnic nowéj wiary.

KRISANTO (*na stronie*).

Co widzę! Wszechmocny Boże!
Korpoforo! czyż być może!

KARPOFORO.

Powiedz mi panie co czujesz.

KRISANTO. Kiedy tak mną się zajmujesz,
To ci wyznam jak najszczerzéj.
Smutek to niewysłowiony
Kamieniem na sercu leży,
I tak wpił się w głębię duszy,
Jak gdyby krwawemi szpony
Swoją tęsknotą ponurą,
Że już nic go nie zagłuszy,
Już we mnie stał się naturą.

KARPOFORO. A z kądże powstał ten smutek.

KRISANTO. Głębokich to nauk skutek.
Czytałem nienasycenie,
Aż w końcu przyszło zwątpienie,
I rozpacz i wieczne ciemnie,
I gonią za mną jak mara.

KARPOFORO. Więc przyjm naukę odemnie.
Do wszystkich najgłębszych ciemnic
Do wszelkich zgoła tajemnic
Najpierwszym kluczem jest wiara.
Ona ułatwia trudności,
Ona jedna drogę prości.
Przez nią myślę leczyć ciebie,
Lecz trzeba byś w téj potrzebie
Całe mi serce otworzył,
I ufność we mnie położył.

KRISANTO. A więc mówię tobie szczerze,
Że już ufność we mnie wzniecasz,
I wytrwać pragnę w téj wierze
Którą tak mocno zalecasz.

KARPOFORO (do POLEMIUSZA).

Na chwilę zostaw nas panie;
Gdy sam ze mną pozostanie
Śmieléj mi wszystko wyłoży.
I serce głębiéj otworzy.
(*Polemio wychodzi*)
Poznajesz mię?

KRISANTO. Doskonale.
Tyś to jest, co w owéj skale
Nagle w powietrznych przezroczach
Znikłeś cudem w moich oczach.

KARPOFORO. Boskie to dzieło nie moje,
Przez nie dziś przed tobą stoję.
Gdyby mię był w téj potrzebie
Łaską swoją nie zachował,
Czyżbym dziś Ciebie ratował,
Czyżbym mógł dziś widzieć Ciebie,

KRISANTO. Nie.

KARPOFORO. Opatrzność miłościwa
Jest zarazem sprawiedliwa;
Zachowała mię w potrzebie
Abym tu przyszedł do Ciebie,
I dał Ci światło prawdziwe
Na te ciemności straszliwe
Co umysł twój skryły chmurą
Taką czarną i ponurą.

KRISANTO. Ach trudno podołać temu!

KARPOFORO. Wszystko łatwe wierzącemu.

KRISANTO. Cóż mam czynić? pragnę szczerze.

KARPOFORO. Trzeba rozum poddać wierze.

KRISANTO. Poddaję go całkowicie.

KARPOFORO. Trzeba wziąść prawdziwe życie:
Chrzest święty i prawo Boże.

KRISANTO. Błagam Cię o to w pokorze!

KARPOFORO. Jeszcze nie; dłuższe bawienie
Wzbudziłoby podejrzenie,
Zniszczyło nasze zamiary,
Jeśli oględni będziemy
Codziennie się zobaczemy:
A gdy w tajemnicach wiary
Będziesz dobrze objaśniony
Wtedy zostaniesz ochrzczony.
Dziś to tylko powiem tobie:
Strzeż się, czuwaj w każdéj dobie,
Patrz dobrze na wszystkie strony,
Boś jest zewsząd zagrożony.
Od dziś godzić w Ciebie będą,
I w dokoła cię obsiędą
Wszystkie najniższe podniety:
Szukać cię będą kobiety,
Kusić cię mary zwodnicze,
Rozkosze, ziemskie słodycze,
I żądze najdokuczliwsze,
I pokusy nąjstraszliwsze.
Nie zrzucajże z siebie zbroi,
I walcz jak wiernym przystoi.

KRISANTO. Lecz któż podoła niestety!
Oprzeć się czarom kobiety!
Któż sprosta takiemu wrogu

KARPOFORO. Ten, kto cały spocznie w Bogu.

KRISANTO. Módl się za mną ojcze drogi!

KARPOFORO. Dobrze, lecz pomnij przestrogi:
Bóg pomaga tylko temu,
Kto sam walczy przeciw złemu.

Niepodobna użyć prostszéj mowy, jaśniejszych wyrażeń i potoczystszego wiersza. Wszystko tu dla wszystkich przystępne i zrozumiałe, najwyższe prawdy i najsubtelniejsze odcienia uczuć. Kalderon w wielu swoich sztukach ma zwyczaj wprowadzać jowialne figury Klarinów, Mosków, Eskarpinów, które parodiują najpatetyczniejsze sytuacye bohaterów lub kochanków, mieszając gminny dowcip lub jaką anegdotę powszechnie znaną. W Kochankach Nieba Eskarpino jest tą komiczną figurą, lecz znacznie w tłumaczeniu złagodzoną, co nie wypada na niekorzyść Kalderona, bo tłumacz zostawił go w charakterze jowialisty, który na każde zdarzenie ma gotową niejedną ale kopę anegdot, zupełnie jak Pan Jowialski swoje przysłowia. Przekład takich miejsc nastręczał największą trudność, bo trzeba było utrzymać naturalność potocznego opowiadania, a razem dać mu cechę gminności. Wybornie też oddane są wszystkie Eskarpinowe koncepta, między innemi gdy anegdotą chce dowieść, jak szkodliwą jest rzeczą wyrażać się dwuznacznie, czyli niedokładnie:

Bolał ząb pewnego człeka,
Posyła w takiéj niedoli
Po golarza: ten nie zwleka
I pyta: „któryż to boli?“
A ów z mądra i niedbale:
„Przedostatni“ odpowiada.
Więc doktor bierze narzędzie,
Co prędzéj w gębę mu wkłada,
Lecz w stylu niebiegły wcale,
Rwie mu ząb ostatni w rzędzie.

Dopieroż bólem zbudzony
Zrywa się, język skrwawiony:
„Doktorze! woła w niedoli,
Ten zdrów! to nie ten mię boli!"
Doktor tłumaczy się z błędu:
„Jakto? wszak ostatni z rzędu?"
— „Tak! lecz jam mówił inaczéj
Ten, co przy ostatnim siedzi"
Gdy go tak mądrze naucza
Doktór po téj odpowiedzi
Znowu powraca do klucza
I mówi: „Więc to ten będzie,
Co tuż przy ostatnim w rzędzie?"
„Tak jest" — „Jeśli tak mój panie,
To go masz na zawołanie;
Tak czynią dentyści zdatni".
I wyrwał mu: przedostatni!
Dość że gdy w rzeczach zębowych
Lenił się tłumaczyć jaśnie,
Został sobie za to właśnie
Z zębem chorym bez dwóch zdrowych.

Co jeszcze uważam za dobre w przekładzie Balińskiego, to swobodę jakiéj sobie pozwolił, a swobodę zgadzającą się z duchem i własnościami naszego języka; gdyby bowiem naśladując pedantów niemieckich, którym się zdaje że mogą w swéj mowie udawać wszystkie modulacye najharmoniejszych języków — użył był assonanców zamiast rymów, niezawodnie przekład jego ucierpiałby wiele; wszelki przymus musi się odbywać kosztem naturalności i prostoty. Assonancami tłumaczyć próbował podobno Kamiński i Wacław z Oleska — ale któż dziś się troszczy o te łamane sztuki!

Niewiadomo mi jaki wybór zrobił tłumacz z dramatów Kalderona, to pewna że o wybór nie trudno i ta-

kowy padnie na najlepsze w tym rodzaju, jak: *Exaltation de la Cruz*, *La devocion de la Cruz*. *El magico prodigioso*, *Las Cadenas del Demonio*, *La vida es sueno* &. Wszystko to są rzeczy nieznane w naszéj literaturze, a wzbogacić ją mogące niezmiernie. —

LUCYAN SIEMIEŃSKI.

POLITYKA I DIALEKTYKA.

Epokę w któréj żyjemy, a nawet powiedzieć można chwilę obecną, ogromnemi kiedyś rysami zapisze historya w dziejach ludzkości. To co dawniéj do rzędu marzeń liczono, staje się rzeczywistością: bajeczki któremi kołysano dziecinną wyobraźnię, przechodzą w dziedzinę prawdy.

Któż nie zna owéj powiastki o pierścieniu mającym tę własność, iż przenosił podczas snu człowieka z miejsca na miejsce, choćby najodleglejsze? Już nie od dzisiaj można było bez pierścienia zasnąć w wagonie berlińskim i obudzić się niemal w Paryżu. Już drogi żelazne i para zniosła odległości. Coraz bardziéj malała ziemia: Ocean się tylko opierał. Owóż w obecnéj chwili królowa Angielska i prezydent Stanów zjednoczonych rozmawiają z sobą, a jeżeli na wymianę swych myśli potrzebują jeszcze kilkunastu godzin, jeżeli zresztą dalsza

rozmowa chwilowo przerwaną została, to kłaść to jedynie trzeba na karb pierwszéj próby zanurzonego drutu telegrafowego, bo przecież nic doskonałego od razu się nie udaje. Lecz niema już dwóch światów, niema Oceanu, a kula ziemska skoro ją sieć telegrafów pokryje, stanie się podobną do mózgu: myśl ludzka w kształcie iskry elektrycznéj z równą po niéj szybkością przelatywać będzie, jak w organizmie człowieczym.

Podobnież i lampa Aladyna przestała być wschodnią powiastką. Lampę tę prowadzącą do skarbów nieprzebranych, pochwycił przemysł, i przedstawia ją dzisiaj najprostsze narzędzie— motyka. Ludzkość rzuca się coraz silniéj w odludne dotąd krainy i odkrywa — złoto. Po Kalifornii Australia, po Australii Nowa Kaledonia, dziś tysiące ludzi wiedzionych chęcią zbogacenia się opuszcza swe siedziby i płynie do wyspy Vancouver... Nic odstraszyć nie zdoła przemysłu: bieży on coraz silniéj i gwałtowniéj do zwycięztwa nad materyą...

Wprawdzie nasuwa się smutna uwaga, że cała owa umiejętność, wszystkie wynalazki, cały przemysł, słowem praca ludzkości nad wyswobodzeniem się z pod ciążących dotąd na materyi prawideł odległości, czasu i miejsca, nie przychyliła ludziom jeszcze szczęścia ani wolności. Przykro pomyśleć, że pomimo tylu nowych odkryć i bogactw, pomimo całkiem zmienionéj pod pewnym względem postaci świata, ludzkość w tych samych co dawniéj, jeżeli nie w gorszych zostaje warunkach. Nie zmniejszyła się nędza w ogóle — nie powiększyła się massa wolności. Nie wiadomo wcale co przyniesie w ostatecznych wynikach ów ruch olbrzymi przemysłu i pracy ludzkiéj, który pokolenie nasze odbywa. Czemuż przypisać, jeżeli zwycięztwo nad materyą nie przynosi korzyści na jakie ludzkość rachować może i powinna? Praca uważana ze stanowiska ludzkości, czyli historycznego, jest dziełem odkupienia materyi. Świat

jak wiadomo wymagał odkupienia, coby go od grubéj ciemnoty i niemocy uwolniło. Odkupienie ducha przyniósł Chrystyanizm. W tym kierunku praca odkupiłaby materyę z korzyścią dla ludzkości. Nie w tym atoli duchu widzimy ów przemysł i pracę, których lubo podziwiamy wypadki, nad skutkami dla ludzkości unosić się nie możem. Przemysł zna tylko jednego Boga to jest zysk. Bałwochwalca złota niedba o resztę. Ludzkość jest dla niego rzeczą podrzędną; co gorsza, uważa ją za narzędzie. Jeżeli żąda dla niej wolności, to tylko wolności handlu i ruchu, aby lepiéj pracować mogła; jeżeli chce cywilizacyi, to tylko, aby zdolniejszych mieć pracowników, a misyonarzy popiera tylko dla tego, aby mu dzicy ludzie w eksploatacyi nie przeszkadzali..... Prawdziwa wolność, na sprawiedliwości wszędzie i dla wszystkich oparta, prawdziwa cywilizacya na moralności chrześciańskiéj wszędzie i u wszystkich rozpowszechnionéj zasadzająca się: to tylko wyrazy bez znaczenia, które służyć mogą czasem za godło, lub sztandar; celem atoli jedynym winno być bogactwo. Taka jest dążność wyłączna dzisiejszego ruchu. Pomnaża się też bogactwo, to jest powiększa się massa złota, ale nie pomnaża się szczęście ludzkości, bo więcéj niż pewno, że pomimo wszelkich rozpraw o dobrym bycie i źródłach kredytu, szczęście ludzkości nie od saméj tylko ilości złota zawisło. Wiadomo, że bodźcem przemysłu jest i być musi zysk, utrzymywać inaczéj byłoby utopią; lecz z drugiej strony również niebezpieczną jest wyłączność celu w zbyt materyalnym kierunku, jaki dzisiaj najogromniejszym usiłowaniom przewodniczyć się zdaje.

Idźmy wszakże daléj, bo uwagi powyższe rzucone tylko mimochodem, do innéj odnoszą się sfery, a do końca choćby najpobieżniéj skreślonego obrazu chwili obecnéj, jeszcze daleko. Nie dość bowiem na urzeczywistnieniu gadki bajecznéj o pierścieniu i lampie Alady-

na. Wywraca się w téj chwili mur chiński. Odwieczne do niego przywiązane przysłowie niema już znaczenia. Państwo niebieskie otwiera swe podwoje cywilizacyi chrześciańskiéj i przyrzeka ją tolerować. Ogromne państwo Konfucyusza nie mogło wytrzymać kołatania przemysłu europejskiego reprezentowanego przez łodzie kanonierskie i działa *à la Paixhans*. Przez ten sam wyłom w owym murze dotąd nie zdobytym, przez który wdziera się Europa, Chiny wysyłają posła do Londynu. Posłowie europejscy zamieszkają w Pekinie, a europejczycy za paszportami w Chinach podróżować mają prawo. Czyż wiza paszportowa do Chin nie należała przed niedawnym jeszcze czasem do liczby marzeń? Przemysł pod godłem chrześciańskiéj cywilizacyi zamienił ją w rzeczywistość: niezechceż o tem zapomnieć skoro tylko handel wygodnie w portach chińskich rozpierać się będzie?...

A jednak pamiętaćby o tem powinien, bo oto, tuż obok, olbrzymia także społeczność pogańska stacza bój na śmierć i to od roku, z narodem europejskim, który miasto być reprezentantem cywilizacyi chrześciańskiéj, stał się tylko prostem narzędziem przemysłu. Sztuką, zdradą i wytrwałością ujarzmiwszy społeczność indyjską, obrała ją Anglia za pole ogromnéj eksploatacyi. Przez wiek cały dokazywała rzec można cudów. Lecz przebrała się miarka owych przemysłowych doświadczeń *in anima vili*. Przeszłoroczne powstanie powinno przekonać, jak dalece zgubnym był kierunek, którym Anglia postępowała w tych koloniach. Można zaprzeczać, aby w dzisiejszéj walce Indijan niepodległość rasy miała być sztandarem, ale wątpliwości nie ma, że społeczność bramińska i muzułmańska protestuje ogniem i żelazem przeciw owéj dążności nie chrześciańskiéj, która w ludzkości nic prócz źródła zysku i bogactw nieupatruje. Okropna to zapewne wojna, ale jakże zbawienna i opatrz-

na nauka! Trzeba chrystyanizować Indye, wołają teraz w Anglii. Ale na to trzeba skończyć z powstaniem, a koniec ten jeszcze daleko...

Nie dosyć na tem. W saméj Europie upada państwo Mahometa, a upada pomimo usiłowań państw chrześciańskich, aby je utrzymać. Lord Palmerston podczas ostatniego swego pobytu w Paryżu, zapytany coby sądził o upadku Turcyi, odpowiedział, że go ktoś pewnego razu zatrzymał na *Regent-street*, ostrzegając, iż zgubi chustkę, która mu z kieszeni wygląda.— „Bądź pan o to spokojny odrzekł lord Palmerston, nie zgubię, jeżeli jej sam nie wyciągniesz". Dowcipna ta odpowiedź męża stanu ma tylko jedną stronę prawdziwą. Nie ulega wątpliwości, że owa opieka Europejska rozciągnięta nad Turcyą, przyśpiesza jéj zgubę, ale również utrzymywać nie można, aby Turcya o własnych siłach zdołała się od zguby zasłonić. Któż wié coby się z Turcyą stało w 1853 roku, gdyby jéj Europa nie była przyszła w pomoc?... Zresztą owa neutralność europejska względem Turcyi jest niepodobieństwem. Na to trzebaby Turcyi w innych warunkach, nie w Stambule i bez poddanych chrześciańskich. Przyczyną upadku nie jest tam tylko wdzierający się przemysł europejski pod godłem cywilizacyi, ale natura rzeczy, zwyczajna kolej jaką przechodzi prawo na zdobyczy oparte, gdy sił brakować zaczyna. Tych to sił instynktowo chce dostarczyć islamizm i w fanatyzm się wyradza. Walka w Turcyi trwa nie od dzisiaj, ale dziś ważniejsza choć nie krwawsza jak dawniéj, bo zdobywca słabszy. Słabość tę odkryła Europa skoro zażądała od państwa muzułmańskiego, aby się w europejskie przemieniło; Turcya do słabości téj przyznała się, skoro przyjęła ten warunek. Turcya jako państwo w Europie podpisała swój upadek na traktacie paryzkim. Nie mogąc już wojować pod znakiem półksiężyca, pod krzyż się schroniła. Ale krzyż dla Chrześcian tylko jest go-

dłem zbawienia; Islamizm spełnić musi swoje przeznaczenia, a usiłowania mocarstw chrześciańskich, jeźli przedłużyć mogą polityczne Turcyi w Europie istnienie, niezdołają jednakowoż zmienić kolei jaką dąży szybkim pochodem państwo Mahometa II.

Po nad wszystkiemi temi ogromnemi wypadkami unosi się projekt również olbrzymi, w którym cywilizacya wyciąga potężną swą prawicę między dwie części świata wzdłuż bezludnéj pustyni, aby zbliżyć do swego ogniska spółeczności, które ma oświecić i ożywić, gdzie ludzi zamienić ma w bliźnich. Idąc za tą dążnością wzniosłą i szlachetną nic jej zapewne powstrzymać nie zdoła, ani afrykańskie piaski, ani niebezpieczna na morzu Czerwonem żegluga, ani koszta, ani trudy, ani nareszcie opór jaki w polityce napotyka. Zwalczy ona wszelkie przeszkody i dosięgnie celu. A przecież przekop międzymorza suezkiego, to nie lada walka z naturą! Afryka przestaje być półwyspem, rozpada się to, co od początku świata było połączone; niknie pustynia, a odkrycie drogi przez przylądek Dobréj Nadziei, które obaliło dawne potęgi a stworzyło dzisiejsze, przechodzi nagle w poczet wypadków historycznych, których teraźniejszość już nie uznaje za podstawę swego bytu i działań.

Zaprawdę, zdawaćby się mogło, że chwila tak ważna, w któréj tak wielkie przesuwają się wypadki, tak pełne przyszłości objawiają się dążności, słowem, że chwila w tak obfitą kartę dla historyi brzemienna, powinna by nosić na sobie jakąś wybitniejszą cechę, ukazywać się w odpowiednich rozmiarach i natchnąć bieżącą politykę widokami zostającemi w harmonii z wypadkami na których tle się rozwija. Tymczasem dzieje się przeciwnie. Chwila obecna nie nosi w polityce, w téj przynajmniéj która dla wszystkich jest dostępną, żadnych wielkości oznak, nie uwydatnia się żadną niezwykłą

powagą, nie obudza bynajmniéj zapału, prędzej powiedzieć można, że napotyka obojętność. W polityce, śmiało utrzymywać można, chwila obecna maleje: w lichych ramach ginie wspaniałość obrazu, a w cieniach i odcieniach *bieżącéj* codziennej djalektyki, wyszukiwać trzeba niejako i odgadywać rysy tego szkicu, którego świetność pod rylcem dopiero historyi kiedyś na wierzch się dobędzie. Słuszną rzeczą wspomnieć tutaj, że żadna epoka, a tem więcéj żadna chwila nie jest wielką dla współczesnych, tak jak żadna sztuka nie jest arcydziełem dla aktorów, którzy ją grają. O wielkości każdej sądzić trzeba z pewnéj odległości, a w działaniu ginie doniosłość widoków i skutków. Lecz uwaga ta, jakkolwiek może być prawdziwą, wyświeca tylko wyższość stanowiska historycznego w ocenieniu wielkości jakowéj epoki lub chwili, nie tłómaczy jednak wcale owéj obojętności na jaką tyle ważna chwila obecna w ludzkości napotyka, nie wyjaśnia bynajmniéj powodów owéj anomalii rażącéj, która istnieje między ogromem wypadków a maluczką sferą w jakiéj się polityka obraca.

W owéj dążności materyalno przemysłowéj, o któréj nieco wyżéj, łatwiéj podobno byłoby upatrzeć źródło owéj obojętności. Ona to mierząc wszystkie wypadki łokciem kramarskim, a obrachowując ich skutki według giełdowych biuletynów, sprawia głównie, że wypadki maleją, a skutki mało kogo obchodzą. Telegraf atlantycki, to kwestya bawełny na amerykańskim targu; otwarcie Chin, to kwestya opium; wojna z Indyami, to kwestya Kompanii indyjskiéj; upadek Turcyi, to kwestya handlu na morzu Czarnem; przekop Suezu, to różnica na frachcie okrętowym — i otóż wszystkie te ogromne wypadki obchodzące tak żywo społeczność chrześciańską, zredukowane na skalę kupcom tylko i fabrykantom właściwą. Zapewne, że polityka ta nigdy się w swéj dążności materyalnéj tak obnażona nie przedstawia; że się za-

słania zawsze chrystianizmem który zwie cywilizacyą lub postępem, że zysk zawsze ukrywa pod mianem dobrego bytu, który za cel najwyższy dla ludzkości stawia. Podobna ona w tém do kobiecéj kokieteryi, która także szlachetnych namiętności jako sprężyn używa, niechcąc się nigdy przyznać do nędznego celu. Nikogo też nie zwodzi po niejakiem doświadczeniu; każdy wié dokąd dąży, a lubo czasami podziwiać ją można, wspołczucia nigdy nie obudzi. Blichtry, które stawia polityka przemysłowo materyalna, przestały być ułudą dla spółeczności. Wie ona dobrze, że zysk i interes materyalny są głównemi kierownikami tych olbrzymich cywilizacyjnych zamiarów. Przekonała się, że wszystkie owe wynalazki nie przyczyniły jéj szczęścia, ba nawet niepowiększyły dobrego bytu w ogólności. W Anglii, która w téj polityce przodkuje, najwięcéj jest nędzy i ubóstwa. I nie może być inaczéj, bo dobry byt nie jest celem, jest następstwem moralności i sprawiedliwości, które aby przyniosły owoce, nie powinny być czczem słowem, ale rzeczą.

Może jednak kto powié, że o szczęściu ludzkości bezwzględnie mówić nie należy. Nic słuszniejszego. Ale miarą owego szczęścia w ludzkości jest spokojność jakiéj spółeczność używa. Spokojności tej niema w obecnéj chwili; przeciwnie, jest ciągła obawa, niepewność, tymczasowość. To właśnie jest chorobą spółeczności jakkolwiek w polityce upatrujemy ciągle rękojmi bezpieczeństwa, porządku i pokoju. Lecz pod jakiemiż warunkami są osiągnięte te rękojmie? Jakim kosztem zabezpieczony porządek? Pokój nie jest spokojnością, skoro jest uzbrojony. Niepodobieństwo wojny obliczone tylko na giełdę, nie znosi obawy, ale wyradza stan gorączkowy i nieufność, które dla bezstronnego oka są wyraźną dzisiejszéj spółeczności cechą. Spieszyć się trzeba, bo kto wié co jutro się stanie — oto podstawa wszystkich

czynności publicznych i prywatnych. W chwilach wielkich wojen, więcéj było zaufania, a tem samem spokojności, aniżeli w dzisiejszym pokoju.

Drobnieje więc chwila dzisiejsza w obec polityki, w któréj wszystkie wypadki, wszystkie dążności, przybierają barwy pod któremi właściwego ich znaczenia odgadnąć trudno. Krom tego, polityka taka przypominająca, jeżeli powiedzieć można redutę, potrzebowała jak każda maskarada kostumiera, coby jéj stósownych dostarczał strojów. Tę rolę odgrywa wyrobiona w ostatnich czasach djalektyka, przez któréj pryzmat jedynie polityka ukazuje się na jaw. Niepospolite to było przyznać należy zadanie, bo tego co się ukrywać miało, nie trzeba było nigdy spuszczać z pamięci. Jakże to znowu zawsze godzić owe szumne wyrazy cywilizacyi i postępu z interesem i zyskiem? Ileż to naczytaliśmy się pięknie brzmiących rozumowań, że nie chodzi bynajmniéj w wojnie wschodniéj o handel na morzu Czarnem ale o powstrzymanie zaborczéj polityki Rosyi, o zmuszenie tego państwa, aby wstąpiło na koléj cywilizacyi i postępu tegoczesnego. Owóż Rosya przedsiębierze reformy prawdziwie postępowe, usamowalnia włościan, ale buduje koleje żelazne i nabywa w dzierżawę port na morzu Śródziemnem. Wszystko to niezaprzeczenie leży w sferze tegoczesnego postępu i cywilizacyi, ale koleje żelazne mogą handel z Azyą przez Rosyę obrócić, port w Villafranca może niebezpieczną stawić konkurencyą dla żeglugi parowców Zachodnich — zgoła jakiejż potrzeba zręczności, aby dowieść, że Rosya iść powinna drogą przez postęp wytkniętą, a przecież, że nie ma prawa dzierżawić portu na morzu śródziemnem, ani kolei żelaznych z tak wielkim budować pośpiechem!....

Ten przykład nasunął się pierwszy, możnaby wiele takowych przytoczyć. Dialektyka wszakże dzisiejsza nie

lada czem się odstrasza. Sztuka na tem zależy, aby ukryć zawsze istotę rzeczy a wynaleść formę. Francya stwarza port na cieśninie kaletańskiéj, dzieło zaprawdę olbrzymie — cała zasługa jéj ginie w nieprzebranych rozumowaniach, czy to dzieło zaczepnem będzie lub odpornem, jak gdyby każdy port nie mógł być stósownie do okoliczności do zaczepki lub obrony użyty... Podnoszą się głosy o decentralizowanie Francyi, kwestya nader ważna: w dyalektyce schodzi na pole stronnictw i ginie w bezowocnych dyskusyach.. Lord Derby gotuje jak mówią program reformy parlamentarnéj: to kwestya osobista między Palmerstonem a szefem torysów, woła dyalektyka... W sprawie księstw niemieckich waży się antagonizm ras, przebija się dualizm Niemiec, odzywa się po części narodowość: tomy całe już spisała dyalektyka, gdzie ani słowa niema o tych dążnościach, lecz tylko rozprawy, jak pogodzić państwo z prawami przysługującemi jego częściom, jak utrzymać powagę Bundestagu bez ubliżenia godności niepodległego państwa.. Kwestyę Czarnogóry, gdzie chodzi o niepodległość, dyalektyka redukuje do sprawy granicznéj; kwestyę księstw naddunajskich, gdzie chodzi o narodowość, dyalektyka obchodzi tytułem prowincyj zjednoczonych; kwestyę Chrześcian tureckich, gdzie chodzi o chrystyanizm załatwia *hattihumajonem*, a bombardowanie Dżeddy, jedną tylko przedstawia ciekawą dla niéj stronę, czy niezachwieje przypadkiem przymierza francusko-angielskiego, o którem z resztą dowodziła już tyle razy że istnieć musi, a istnieć nie może.

Zarówno jéj bowiem dowodzić za lub przeciw, skoro nie uznaje żadnych praw wiekowych, żadnych tradycyj, naturalnych wpływów i naturalnych przewag, żadnych zasad wyższych nad traktaty. Najwyższym dla niéj pewnikiem politycznym: równowaga. Ileżto potrzeba

było sofizmów, aby przekonać opinię publiczną, że równowaga wymaga, aby państwa chrześciańskie obrały sobie za podstawę państwo muzułmańskie! Jakiejż biegłości, aby utrzymywać, że równowaga będzie trwałą opierając się na tak spruchniałéj i walącéj się budowie! że pokój Europy zależy na zachowaniu w jéj łonie nie chrześciańskiego i barbarzyńskiego żywiołu!...... Nie uznając innego prawa nad traktaty, a nie troszcząc się o sprawiedliwość co do istoty rzeczy, wynaleść trzeba było nową formę, którąby dawne sumienie, dawniejszą traktatów rękojmię zastępowała. I otóż dobra wola obustronna zawiera dziś traktaty, nawet po wojnie. Nie ma zwycięzców ani zwyciężonych; niema ustąpień ani szkód, bo warunki traktatu są chlubne a nawet korzystne dla stron obu.... Nakoniec dyalektyka wziąwszy w swe obroty dzieło europejskie, ze wszech miar godne uwagi, i odpowiednie wysokości i ważności chwili obecnéj, dzieło utworzenia trybunału z mocarstw pierwszego rzędu, którego zadaniem być miało rozsądzać sprawy międzynarodowe, dyalektyka w zapale swoim dla owéj zgody, w któréj upatrywała tak ważną rękojmię dla rozszerzania swéj głównéj dążności, posunęła się tak dalece, iż w pewnym spornym a koniecznie takim wypadku, zawołała: Tak jest, niema zgody, ale zgodzono się aby się niezgodzić! (*on est tombé d'accord pour differer d'opinion*)....

Nie przypominaż to zaprawdę bizantyńskich czasów? Kłócono się o wyrazy gdy Mahomet II wchodził do grodu Konstantyna Wielkiego. Wypadki obecne są dość wielkie, aby nie było zbytnią śmiałością powiedzieć zapamiętałym dyalektykom: piszcie i rozprawiajcie, a wypadki po nad głową wam przejdą!

Maurycy Mann.

KRONIKA.

Kraków w wrześniu.

Nieraz zadawano sobie w różnych okolicznościach pytanie, czy należy Kraków policzyć do wielkich, czy też do małych miast. Lubownicy statystyki, którzy wszelkie choćby najmniéj materyalne objawy, za pomocą liczb wyrażają, a innych wielkości prócz arytmetycznych nie znają, rozstrzygnęliby to pytanie na zasadzie spisów ludności. Ponieważ więc Kraków liczy tylko kilkadziesiąt tysięcy mieszkańców, przeto nie może stanąć w rzędzie miast wielkich, bo ludność tych liczy się zwykle na krocie. W zachodniéj Europie tuzinami takich miast znajdzie.

A przecież Kraków mimo tej swojéj małości posiada niejeden przymiot stawiający go na równi z wielkiemi miastami, a przedewszystkiem ma to z niemi właściwe, że się niczemu nie dziwi, przed niczem nie bije czołem, skromny jest w ocenianiu zasługi i niewierzy aby gieniusze jak grzyby przez jedną noc wyrastały. Jeden z pisarzy niemieckich, jeśli się nie mylę, Hieronim Lorm, powiada, że w małem miasteczku jeden Rebus daje sławę poety, gdy tymczasem w wielkiem mieście sława bywa częstokroć dla prawdziwego nawet poety niedostę-

pnym Rebusem. Rzeczywiście, niełatwo w Krakowie zdobyć sobie imię, a niejedno już gdzieindziéj pozyskane, zmniejszało tu do przyzwoitych rozmiarów. Być może, że nawykłym obcować z pomnikami olbrzymów przeszłości, zbyt małemi wydają się nam teraźniejsze olbrzymy. Nie ubliżą tu niczyjéj zasłudze, przyjmą gościnnie i po przyjacielsku, oddadzą komu przystoi należne poważanie, ale nie okadzą nikogo dymem hołdu, nikomu bałwochwalczéj czci nie oddają, każdego zwą po imieniu, bez epitetów „znakomity nasz“ lub tym podobnych, bo wiedzą że co warte, to samo się przez się chwali.

Przesunęło się też tego lata przez Kraków niemało ludzi rozgłośne imie po kraju mających; ale każdy z nich przyjechał tu nie po owacye, lecz żeby zaczerpnąć posiłku u źródła wspomnień i pamiątek. Jeżeli Kraków nie był zawsze celem głównym tych przejażdżek, to przynajmniéj był gospodą w pół drogi, stacyą pocztową, w któréj warto było zatrzymać się choć na popas. Pora wędrówek się kończy, czas wracać do domu, więc miasto nasze jak przezorny gospodarz zaopatrzył się dla powracających gości w nieznane przysmaki i rozłożył je na stołach. Upojonych burzącym szampanem stare wino wytrzeźwia, osłabionych wzmacnia — czyj umysł i serce odurzone i upojone kipiącem pianą życiem uciech lub też osłabione straciły wiedzę i czucie, niechaj przybędzie na wystawę starożytności do Krakowa, ona go otrzeźwi i wzmocni.

Jest coś uroczystego w każdym zabytku przeszłości choćby on tylko przemawiał jako żywy świadek nieznanych wieków; o ileż wszakże urok jego rośnie, gdy się do niego wiążą wspomnienia wiadomych zdarzeń, smutnych czy radosnych, zawsze jednak drogich. Starzec zarówno się rozrzewnia przypominając sobie wesołe lub bolesne chwile, a stara nasza społeczność z równemże uczuciem lubi sobie wspominać swoje dawne dzieje.— Od starożytnych runów i bożków pogańskich aż do świeżych pamiątek ojców naszych, ciągnie się nieprzerwana nić przemian i przeobrażeń społeczeństwa; od kamiennego grotu aż do pałasza poległego pod Lipskiem wojownika, zapisane tam całe dzieje téj ziemi rozmaitemi charakterami. Za jakie sto, dwieście lub pięćset lat, to

wszystko co nas codziennie otacza i niema żadnéj dla nas wartości prócz chwilowego użytku, stanie się dla przyszłych pokoleń równąż pamiątką i równejże czci przedmiotem, jaką oddajemy dziś najbłahszym zabytkom przeszłości.

Niekiedy zbiory starożytności nie sprawiają innego na widzach wrażenia nad ciekawość. Podobne są one bowiem do sklepów z cackami, którym się miło przygląda, ale tylko jako cackom; inne zdają się być składem tandety, a inne znów garderobą teatralną, gdzie obok hełmu rycerskiego, spoczywa peruka lub laseczka arlekina. Wystawa wszakże krakowska za pierwszem do niej wstępem ma tak poważny pozór, że sama nawet ciekawość ustępuje miejsca uczuciu poszanowania. A przekonaliśmy się o tem na cudzoziemcach nawet. Osobliwie pierwsza sala poświęcona głównie najdawniejszym pomnikom i zabytkom, nosi na sobie niezaprzeczone tego piętno; że o innych salach zamilczym....

Dotąd wystawa zajmuje trzy sale pałacu księcia Jerzego Lubomiskiego, który nietylko udzieleniem lokalu tego i innego na pomieszczenie biór, kasy, składów, nietylko urządzeniem stósownem całego domu na czas wystawy, ale i zbogaceniem jéj znakomitemi zbiorami swemi, stał się jednym z głównych jej twórców. Zaopatrzyli ją także oprócz wielu osób, które wymieni zapewne katalog, pp. hr. Moszyński Piotr, hr. Potocki Adam, Karol Rogawski, Pawlikowski, hr. Dzieduszycki, margr. Wielopolski, Kirchmajer itd. Obok atoli ks. Jerzego Lubomirskiego urządzenie wystawy głównie zawdzięczać należy p. Józefowi Łepkowskiemu, wyznaczonemu na jéj gospodarza, który od chwili powzięcia zamiaru téj wystawy przez oddział archeologii i sztuk pięknych Towarzystwa naukowego, a zatem od miesiąca lutego, poświęcał temu celowi czas swój i pracę, a odkąd zbiory gromadzić się zaczęły, on stał się duszą całego urządzenia. Nie ubliży się tem nikomu, ani członkom komitetu, nawet takim jak p. Rogawski, który dla urządzenia wystawy najważniejszych odbiegł zatrudnień, iż się tu p. Łepkowskiemu pierwsze publiczne odda świadectwo, lecz trzeba było jego wytrwałości i zabiegliwości żeby się niezrazić tysiącem trudów, zachodów, a na-

wet początkowo obojętności, że o niechęci się zamilcza.

Wystawa otwartą jest od 11 września, a głównym jéj brakiem i niedogodnością jest brak nietylko katalogu dokładnego, ale nadto podręcznego spisu, któryby dla zwiedzacy zastąpił tymczasowo katalog naukowo ułożony. Z włączeniem przywilejów, autografów, mapp, dokumentów różnego rodzaju, wreszcie inkunabułów, jest przeszło 4000 przedmiotów, a chcąc je wszystkie tylko doraźnie spisać, już trzebaby na to pracy kilku przynajmniéj osób. Sala na dokumenta przeznaczona jeszcze otwartą nie została.

Wystawa tak jak dziś istnieje, mieści w sobie zbiory pogańskie, których głównemi reprezentantami jest posąg Światowida i wyobrażenie bożka Prowe z napisami runicznemi do koła na dwóch kamieniach, tudzież na odciskach ich z gipsu. Jan Potocki spisał był runy na Retrze odkryte i alfabet tych głosek ułożył. Kiedy niedawno temu wykopano pomienione kamienie w Poznańskiem, za pomocą wzorów o wiele lat wcześniéj ułożonych, odczytano napisy tych runów — co niewątpliwie świadczy, że badacz nie omylił się. Do koła dwóch tych bożyszcz pogańskich, mnóstwo drobnych ozdób złotych i srebrnych może równoczesnych tym zabytkom przedchrześciańskim; daléj broń pierwotna, kamienne, po większéj części porfirowe lub serpentynowe młoty, włócznie i strzały z krzemienia, dalej noże metalowe, naczynia domowe, ozdoby i przedmioty do obrzędów, urny i popielnice, a cały ten zbiór środek sali zajmujący liczy około 300 przedmiotów. Tu i owdzie jakby dla porównania postawiono greckie i rzymskie naczynia i sprzęty, wazy etruskie, posążki spiżowe, jakby dla wykazania różnic i podobieństwa.

Od tych pierwotnych zabytków sztuki i rękodzieł wydobytych z łona ziemi niemasz przejścia historycznego, któreby wskazywało nieprzerwanie drogę stopniowego kształcenia się, ale też i w dziejach politycznych niemasz uwydatnionego charakteru téj przechodniéj epoki z plemion w naród, z gromad w polityczny węzeł państwa. Zetknięcie się wpływu obu kościołów wschodniego i zachodniego na naszéj ziemi nie zostawiło śladu w zabytkach, świadczącego gdzie wschodnia a gdzie

zachodnia cywilizacya zaczynała i kończyła działanie swoje. Ani z marchijskich ani z kijowskich wypraw bolesławowych zwiezione łupy nie przeszły do naszych czasów, a krzyżowe wyprawy o same krańce ziemi naszéj otarłszy się, nie sprowadziły nam z zachodu nic, prócz zbiegów żydowskich z nad Renu, a nie przywiozły z powrotem ze wschodu nic prócz smutnych następstw osłabienia państwa greckiego.

Gdzie się kończy świat Prowego i Światowida, a zaczyna się świat Krzyża i Ewangielii, tego nie dopatrzy nie tylko na wystawie, ale i w dziejach z podań i kronik czerpanych. Najdawniejszym może na téj wystawie zabytkiem chrześciańskich czasów jest odłam wierzchni pastorału biskupiego, a następnie zabytki graficzne języka polskiego. Nie tyle wszakże wystawa ta celuje doborem zabytków, co raczéj pamiątek. Pierwszych nieumiano do niedawna oceniać i szanować, drugie przechowały się snadniéj po familijnych zbiorach. Dla tego też sięgają one co najdaléj epoki powstania możnych i w kraju przeważnych rodzin.

Nie należy wszelako zapominać, że wystawa starożytności w Krakowie nie jest jedynym tutejszym ich zbiorem. Dopełnia ona tego tylko, co nasze kościoły i stare gmachy w sobie mieszczą. Posąg Światowida nie jest jedynym tutaj pomnikiem; kopce Krakusa i Wandy wchodzą również do składu wystawy starożytności w Krakowie; buławy hetmańskie i oręże są tylko dopełnieniem wystawy tych grobowców, które na tem miejscu kryją popioły wielkich ludzi. W pałacu Lubomirskich to tylko zebrane co prywatną jest własnością, własność publiczna wystawiona jest codzień na widok i codzień służy ku czci lub nauce obecnego pokolenia.

Jako w narodzie wojowniczym, słuszna, że szczególną przywiązywano wartość do oręża, a żaden z dzisiejszéj młodzieży nie posiada tak licznego i bogatego zbioru spinek, lasek, cygarniczek, co dawniejszy młodzian oręży. Były jedne od użytku, drugie od powszedniego noszenia, inne od święta lub wielkiéj uroczystości. Jest też na teraźniejszéj wystawie z jakie 800 sztuk broni siecznéj i palnéj; pierwsza od miecza z 14go wieku i Jagiełłowéj szabli, aż do wątłéj szpadki senatora krakowskiego ostatnich czasów; druga od ciężkiego

samopału niemieckiego aż do długiéj strzelby tureckiéj — a jeżeli mnóstwo rzeczy nie jest wyrobu krajowego, to wszelako każda prawie związana z dziejami kraju lub zadziwiająca jako wytwornéj roboty dzieło. Wielka to szkoda, że niemasz na wystawie ani zupełnych zbroi, ani zupełnéj odzieży dawnych czasów.— Przechowane z pierwszéj pojedyncze części, z drugiéj kosztowniejsze tylko, jako pasy, zapinki. A przecież zbroja i ubiór ulegały zmianom i wpływom mody tak jako i dzisiaj. W nich malował się charakter epoki, potrzeby, obyczaje, sposób wojowania, różnica stanów.— Nasi artyści mają ten łatwy zwyczaj, iż sobie idealnych malują rycerzy, a szlachcica z każdéj epoki ubierają w jeden i ten sam kontusz, o niewieścich zaś strojach nie mają prawie wyobrażenia. I choć im nagrobki naszych kościołów przedstawiają gotowe wzory każdéj niemal epoki, to oni przecież w konwencyonalnych utopieni pomysłach niewidzą różnicy ani epok, ani stanów, ani pory. Ależ z tych nagromadzonych na wystawie tutejszéj zabytków, zebraćby można całość, gdyby tylko chciano studya nad niemi robić. Dotąd wszelako nie widujemy na wystawie prócz parę uczniów szkoły, ani jednego z malarzy naszych, lubo godziny popołudniowe przeznaczone są na ich przyjęcie.

Obok zbroi wszelkiego rodzaju, siodła i rzędy na konie zdumiewają wspaniałością swoją. Srebro, złoto, drogie kamienie składały się na ich robotę, a niejedna dama dzisiejsza, mogłaby szyję lub ramię przystroić w to, co koń jéj pradziada ozdób na sobie dźwigał. Buławy hetmańskie, laski marszałkowskie, nietylko bogactwem swojem ale i przecudnym częstokroć wyrobem zadziwiają.

Wyobraźmy sobie rozległą izbę szlacheckiego dworu lub świetlicę zamkową pańskiego mieszkania, przybierzmy ją makatami z wystawy Krakowskiéj, zastawmy stołami o krzywych nogach złoconych, stołkami powleczonemi skórą we wzory wygniataną lub tkaniną z złota i jedwabiu, jakich próby na wystawie po jednej sztuce się znajdują, zbudźmy mężów uśpionych z śpiżu lub marmuru na grobowcach kościołów Krakowskich i zaludnijmy niemi zamki i dwory, senatorskie izby i poselskie koła, a pod tym namiotem co całą sień główną

zajmuje w pałacu Lubomirskich, rzućmy na perskie kobierce i niedźwiedzie skóry zbrojnych niegdyś tego namiotu mieszkańców — i oto nie jedno może co nam w przeszłości naszéj niejasnem się dziś wydaje, stanie się zrozumiałem i wyraźnem.

Nie opis tu wystawy się daje, bo na to inne przeznaczone miejsce; kronika skreśla tylko główny zarys i wrażenie wystawy jako wypadku miejscowego.

Dotąd zwiedzają ją sami tylko niemal obcy i przejezdni, i zdawałoby się, że dla nich głównie wystawa jest otwartą. Lecz kiedy się przesunie owo stado wędrowców, wtedy łatwo zliczyć ilu mieszkańców miasta wystawę oglądało. Najwięcej jeszcze ciekawości i zajęcia napotykamy u kobiet, najwięcej z oczu ich widać ową cześć i uszanowanie z jakiemi się zbliżają do każdej pamiątki uświęconej bądź zewnętrzną cechą swoją, bądź swoją historyczną wartością. Przysłuchują się z natężeniem opowiadaniu usłużnego cyczerona który po setny raz zmuszony opowiadać znaczenie, historyę i naturę każdego przedmiotu nabył już tej wprawy, jaka cechuje przewodników muzeów zagranicznych, iż dziś, jutro, za tydzień jednym i tym samym porządkiem wypuszcza z ust wyrazy.

Ciekawa by to była rzecz dla badacza charakterów ludzkich, chwytać wrażenia sprawione w salach wystawy na umysłach zwiedzaczy, począwszy od naiwnej ciekawości i skromnej wiedzy do zamaszystej zarozumiałości. Różnica także wielka w tem zachodzi, jak się czemu kto przygląda. Jeden zachwyca się kamiennemi toporkami i popielnicami grobów, inny szuka tylko pamiątek które wyobraźnię jego w świetne czasy przenieść są zdolne, a są tacy również, co nie widzą nic krom złota, srebra i brylantów, i którym się zdaje, że wystawa jest sklepem jubilerskim. Artystyczny obzieracz spocznie czasem ciekawem okiem na jakim niepozornym drobiazgu i biegnie w przeciwny kąt sali szukać z nim analogii, ale takich zwiedzaczy parę tylko razy zdarzyło się spotkać. Badacz uczony przygląda się pieniążkom, odciskom pieczęci, rękopismom i drukom starym, zabytkom średniowiecznej sztuki, ale jeszcze się nie zabrał do systematycznego przeglądania przedmiotów i zbiera-

nia z nich uwag i spostrzeżeń do dalszych prac swoich potrzebnych.

Wystawa krakowska nie powinna pozostać bez wpływu nietylko na specyalnych ludzi książki, pędzla lub rylca, ale nawet na ogół wykształconej klasy mieszkańców. Rozłożywszy nieprzystępne dla wielu skarby, dozwoliła z nich czerpać naukę, zbogacić wyobraźnię, ocucić uśpienie, rozgrzać obojętność Żaden by najdokładniejszy opis ni rycina nie zastąpią żywego przedmiotu przechowanego jakby na świadectwo przeszłości.

Jeżeli wymienienie przedmiotów wystawy niemoże tu znaleść miejsca, to przynajmniej wymienienie ich rodzajów choć ogólny da tu obraz, zanim obszerniej wypracowane dzieła wyłącznie wystawę krakowską za cel mające, nie uczynią tego pobieżnego poglądu zbytecznym. Główne rodzaje przedmiotów wystawy są następujące:

Zabytki pogańskie, narzędzia i naczynia przedhistoryczne; broń i zbroje różnego rodzaju, nazwy i przeznaczenia, sztandary, sprzęty, naczynia, godła, części ubiorow, narzędzia astronomiczne i zegary, glina, porcelana, szkło, obrazy, rzeźby, pamiątki po znakomitych ludziach, ozdoby i kosztowności, zabytki językowe i grafika, ryciny i drzeworyty starożytne, pieczęcie, medale, pieniądze, a wreszcie dokumenta historyczne i rzadkie druki.

Każdy z tych działów mógłby zatrudnić nie jednego pracownika; szczęśliwi będziemy, jeżeli choć jeden zajmie się niemi, a lubo w takim razie nie możemy liczyć na pracę wykończoną, to niechby się ona stała chociaż skazówką dla późniejszych, gdzie i jak czego szukać należy. Rysowników i malarzy naszych z całego kraju wzywamy, by się spieszyli z zdejmowaniem tych zabytków, których może nigdy nie znajdą już sposobności w takiem razem zebraniu oglądać. Rysownik do jakiegoś zagranicznego illustrowanego pisma sam jeden tu pracował przez dni kilka, zapewne w lipskiej illustracyi ujrzymy nieco z wystawy naszej, ale rysowników krajowych nie widzieliśmy dotąd wcale, nawet żadnego fotografa!

Prawda. że to dopiero trzy tygodnie od otwarcia wy-

stawy, ale ileżby w ciągu tych trzech tygodni zrobić się dało, gdyby się robić chciało.

Ależ powiedzieliśmy na początku, że Kraków niezwykł się niczemu dziwić i przed niczem bić czołem; nie dziwi się też wystawie, ani przed przeszłością czoła nie schyla.

Poznań w wrześniu.

W sierpniowej kronice wspomniałem o pierwszym tomie wyboru dzieł Kalderona tłumaczenia Karola Balińskiego, wyszłym z druku w Poznaniu, a obejmującym dramat wielkiego poety hiszpańskiego: „*Kochankowie Nieba*“, i niejako zobowiązałem się do zwrócenia uwagi czytelników i na same dzieło, i na przekład jego. Dopełniam tego zobowiązania.

Literatura hiszpańska mało dotąd znaną była u nas. Za czasów Stanisława Augusta i następnych, zbyt wyłącznie panował smak klassyczny, aby się literaci ówcześni trudzić chcieli ocenieniem i zgłębieniem utworów tak różnych od wzorów starożytnych i francuzkich. Jednego tylko Cerwantesa dzieło na wszystkie języki przełożone, i w Polsce także powszechnie znanem było. Gdy przyszła u nas przemiana wyobrażeń literackiah, gdy upodobanie w literaturze nowożytnej chrześciańskiej upowszechniło się, czytano, tłumaczono poetów niemieckich, angielskich, włoskich, a nikt nie pomyślał o nauczeniu się hiszpańskiego języka w celu dania poznać rodakom skarbów Iberyjskiej poezyi. Wprawdzie dwie czy trzy sztuk Kalderona przełożonych z tłumaczeń niemieckich przedstawiano na scenie polskiej, lecz wyznajmy, że mało kto z nas starał się zapoznać dokładnie z tym celnym gieniuszem, z tym Murillem poezyi hiszpańskiej, i żeśmy wiedzieli o nim, i cenili go polegając szczególniej na sądzie Wilhelma Szlegla, który w swoim kursie literatury dramatycznej, pierwszy podobno głośną uczynił w całej Europie chwałę Kalderona, i ducha jego przedstawił w postaci olbrzymiej dosięgającej wzrostem olbrzyma dramatu angielskiego. Sofokles, Szekspir, Kalderon, to trzy podług Szlegla największe gieniusze dramatyczne wszystkich wieków i narodów.

Z historyi literatury południowej Sismondego powzięliśmy o dramatach Kalderona obszerniejsze i dokładniejsze wyobrażenie. Lecz ich znajomość i w innych także dziełach krytycznych czerpana, nie była jeszcze wystarczającą. Przekład więc z oryginału na nasz język ojczysty celniejszych dramatów poety hiszpańskiego, mogący nas zaznajomić z duchem jego, z natchnieniem jego, z samodzielnością jego sztuki, był bardzo pożądanym dla czytelników polskich. Jeżeli jak wielu twierdzi i może sprawiedliwie, czas tłumaczeń u nas już przeszedł, to jednakże o wyjęcie z pod tego ostracyzmu przekładów z literatury mało nam znanej dopominać się możem, i mniemam że dopiero teraz czas na przelanie na mowę polską utworów poetów hiszpańskich nadchodzi, że teraz w tym żywym zdroju poezyi katolickiej, prawowiernej, umysły zaciemnione mgłą giermańską, oziębione sceptycyzmem byronowskim, lub rozognione żarem literatury szalonej, znaleść mogą oczyszczenie, pokrzepienie i ochłodę. Istotną więc i znakomitą zasługę położy w piśmiennictwie naszém p. Baliński, jeżeli przełoży celniejsze sztuki Kalderona z taką sumiennością tłumacza, z taką miłością dla autora, którego tłumaczy, jakie okazał w przekładzie dramatu „*Kochankowie Nieba*“.

Nim przystąpimy do mowy o samym dramacie, wspomnijmy o dedykacyi i idącej za nią przemowie. Tę pracę swoją poświęcił tłómacz Ludwikowi Nabielakowi na znak wdzięczności, czci i braterskiej miłości. Rzecz dalsza, którą czyni do niego, z znakomitym talentem skreślona, godna jest myślą i czuciem uwagi bacznej czytelnika. Słuszne jest spostrzeżenie tłumacza, że dramat kalderonowski przenoszący nas w pierwsze wieki chrześciaństwa tak żywo nas zajmuje, bo jest także dramatem dzisiejszym, bo osoby w nim występujące, dziś w życiu, na widowni świata spotykamy, dziś je wyciągnioném ramieniem wskazać możemy. Nic w tém dziwnego. Wielki poeta zagłębiając wzrok w natnrę i w ludzkość, odgaduje nie tylko czasy przeszłe, nie tylko obecność maluje, lecz często i rysy przyszłości kréśli. Bo natura ludzka acz ze zmianą czasów zmienia kształty i farby, zawsze wszelako jest jedna i ta sama, zawsze się w niej te same wzory odnawiają i wracają. Zajmowanie się zaś wyjątkami w ludzkości, potwornemi isto-

tami nic ludzkiego, a więc nic naszego w sobie nie mającemi, nie jest godnem znakomitych umysłów, a upodobanie w nich jest dowodem ostatniego zepsucia smaku. Zgadzam się także z sposobem zapatrywania się p. Balińskiego nad obowiązkami tłómacza. Pięknie on mowi: „Iż usiłował przedewszystkiem umiłować autora jak brata, przejąć się jego duchem, jego dobrem, jego pracą i służyć mu po śmierci jego jakby za życia.“ I w istocie, bez rozmiłowania się w autorze, dobrze tłumaczyć go nie można. Lecz na czem polega dobre tłumaczenie, czy na niewolniczem przeniesieniu tych samych słów, wyrażeń, tych samych błędów, usterek, niewłaściwości, czy też na przejęciu się duchem autora, na uwydatnieniu szczególniej tego co w dziele jego jest pięknem i silnem, z pominięciem lub osłabieniem tego co nas dziś razi, coby raziło i samego autora gdyby żył w naszym czasie. I jednego i drugiego rodzaju przekłady potrzebne: pierwsze ściśle wierne przydadzą się filologom, literatom z rzemiosła, drugie całej powszechności. Nie można więc poczytać za winę p. Balińskiemu, iż z dramatu Kalderona usunął wszystkie obrażające uczucie przyzwoitości lub smak dobry wyrażenia. „W swoim czasie i narodzie, mówi on, mógł mieć autor pewne usprawiedliwienie dla takich dowcipów, ale tłumacz polski powtarzając dziś takie słowa, niczemby się zasłonić i wymówić nie mógł, i byłby właśnie niewiernym i Kalderonowi i braciom czytelnikom.“

Jest jeden ustęp w tej przemowie, w którym życzylibyśmy byli znaleść jaśniej i dobitniej wyrażoną myśl tłómacza. Zastanawiając się nad postacią bohatera dramatu, Kryzanta, poganina szukającego i dociekającego prawdy, a potem chrześcianina i męczennika, dodaje p. Baliński: „Wielką on pracą dobił się pewnika, że rozum nie jest wcale najwyższym rozeznawcą i sędzią, że są tajemnice, przeciw którym ludzki rozum za słaby i wyższych i silniejszych potrzebuje pomocy, aby mu drogę utorowały. To też gdy tego poganina uderzy zdanie, myśl, książka, której pomimo wszelkich usiłowań zrozumieć nie może — on chociaż poganin, nie woła jednak: to głupstwo, to szaleństwo, to wymysł osłabionych umysłów. On tylko powie sobie po prostu: to przechodzi siły moje, rozum tu mój za słaby, ale jesz-

cze popróbuję, zapytam starszych, doświadczeńszych, świadomszych téj rzeczy, oni mi pomogą do rozwiązania téj tajemnicy". — Otóż aby uniknąć wszelkiéj wątpliwości, wszelkiego dwuznacznika, gdy p. Baliński Kryznanta za wzór dzisiejszym mędrkom wystawia, powinien był wytłómaczyć się, o jakich to tajemnicach, o jakich ludziach wyższych, silniejszych, świadomszych chce mówić, ludziach którzy mają pomódz do rozwiązania tych tajemnic. Poganin bowiem, nie powinien był choć nie rozumiał jakiéj tajemnicy, wołać: to szaleństwo, to wymysł osłabionych umysłów, lecz my Chrześcianie, katolicy, wiemy co jest prawdą, wiemy w jakie tajemnice wierzyć mamy, a które wiarą odpychać powinniśmy. My na szaleństwo możemy zawołać: to szaleństwo! Bo dla nas skład prawdy przechowywany znajduje się w Kościele zbudowanym na opoce, któréj żadne siły nie przemogą; za jego murami nie ma dla nas tajemnic, którebyśmy mogli i chcieli objąć wiarą naszą. Było więc pożądanem jaśniejsze wytłómaczenie się pisarza z myśli i z przekonania swego. Powinien był dodać, że chce mówić o nauce kościoła, o tajemnicach wiary świętéj, i że w stróżach jéj widzi tych ludzi doświadczeńszych, świadomszych. W czasie bowiem, w którym tyle powstało odszczepieństw, błędów i marzeń mistycznych, głoszących się postępowym i doskonalszym chrystyanizmem, nie można być dość ostrożnym, aby idąc za zdaniem nie dość wyraźnie wypowiedzianem, nie zabłąkać się w manowiec prowadzący do fałszu.

Przedmiot dramatu tego wzięty z dziejów męczenników, z poezyi katakumbowéj, z pierwszych wieków chrześciaństwa, za krótkiego panowania cesarza Numeriana. Stawiane są przeciw sobie Rzym upadający i powstający Chrystianizm, rozpusta, szaleństwo, okrucieństwo pierwszego; cnoty cierpienia i męczeństwo drugiego. Myśl czerpania natchnienia w téj epoce może najwznioślejszéj i najpoetyczniejszéj w dziejach ludzkości, w któréj obok uzwierzęconéj jednéj części społeczeństwa, w drugiéj w cichości wyrabiał się, wznosił duch ludzki do najwyższych wyżyn wiary i ofiary, myśl ta mówię, stworzyła w poezyi kilka celnych utworów, jako to: „Polyeukta", „Męczenników" Chateaubrianda, niedawno „Fabiolę", a w naszem piśmiennictwie „Irydiona" i „Fe-

licytę“. Powzięcie jéj samodzielne żadnemu z pisarzy tych dzieł przyznane być nie może, bo jak widzimy, już Kalderon był ich uprzedził, już był odkrył w życiu pierwszych chrześcian, w żywotach pierwszych świętych obfite i najczystsze źródło poezyi i nauki. W dramacie który nas zajmuje, a który nazwał poetycznie „*Kochankowie nieba*“, udramatyzował on proste opisanie żywotów św. Kryzanta i Darii dokonane przez Armeniusza i Werynusa z rozkazu papieża Stefana. Wszystko co jest w tym opisie, znajduje się w dramacie; jeden tylko szczęśliwy pomysł o którym zaraz wspomniemy, tkliwą i wdzięczną samodzielnością nacechowany, jest wyłączną zasługą poety, jest błyskiem prawdziwego gieniuszu.

Kryzant jedyny syn senatora i gubernatora Rzymu Polemiusza, odróżnia się od młodzieży rzymskiéj w zbytkach i w rozpuście życie trawiącéj, oddaje się nauce i zgłębianiu mądrości ludzkiéj. Przypadkiem natrafiwszy na księgę Nowego Testamentu, wysila się na pojęcie pierwszego rozdziału Ewangielii ś. Jana. Wszystko co tam jest wyrzeczonem o słowie, o początku, władzy i wcieleniu jego, zdumiewa go, obudza ciekawość i skłania do udania się po obajśnienie do jednego z mistrzów nauki w Rzymie, do starca Karpofora, który podejrzany o chrystianizm, usunąwszy się z stolicy państwa, wśród skalistéj ukrywa się groty. — Ten monolog Kryzanta usiłującego zbadać tę tajemnicę, te dwa głosy obok niego odzywające się, jeden pogański, drugi chrześciański, stanowi pierwszą scenę dramatu i jedną z najcelniejszych. Skarga nasz w żywocie ś. Chryzanta tak mówi o rozmiłowaniu się jego w piśmie świętem. „Wszystkie pisma pogańskie przebiegłszy, trafił na księgi św. Ewangielii, które przeczytawszy, taki w nich smak nalazł, iż się do żadnych daléj pogańskich pism wrócić nie chciał, mówiąc sobie: „Złotoś nalazł, nalazłeś drogie kamienie, umiejże je trzymać a nie tracić“.— Lecz Polemiusz widząc syna poszukującego jedynie samotności, zatopionego w nauce, a przytém trawionego jakąś niespokojną tęsknotą, poleca synowcowi swemu Klaudiuszowi, platoniście, do którego przyłącza się Eskarpin zmysłowiec, rozpustnik, *porcus Epicuri gregis*, wyprowadzenie go z tego stanu. Ci wiodą go do uroczego gaju, poświęconego Minerwie, gdzie się zwykły zbierać celu-

jące pięknością dziewice, i w którym, w scenie przypominającéj najwdzięczniejsze szekspirowskie, ukazuje się i Nisida czarująca śpiewem, i Cintia poezyi poświęcona, i najpiękniejsza między pięknemi Daria, dumna z swych wdzięków, pogardzająca hołdami miłosnemi, i która oświadcza, iż ślub uczyniła, że wtenczas tylko odda serce i osobę swoją poświęci,

Gdy kto tak mnie umiłuje
Że z miłości ku mnie skona,
Wtedy dopiero zwalczona
Miłości siłę poczuję,
Ku niemu po jego zgonie,
Serce to żarem rozpłonie.

Kryzant oczarowany jej pięknością czuje zapalającą się dla niéj miłość, lecz ona ją odpycha ze wzgardą i ślub mu swój zwiastuje:

Że ten tylko, ten jedynie
W sercu mojém nie zaginie,
Kto umrze z miłości ku mnie.

Kryzant odepchnięty przez Darię, szuka Karpofora, znajduje go, a okazawszy mu księgę, która go tak bardzo zajęła, dowiaduje się, że ona głosi tajemnice nauki Chrystusowéj, któréj pierwsze zasady tłómaczy mu starzec i coraz żywsze obudza w nim zajęcie. Tymczasem oddział żołnierzy wyprawionych dla ścigania Karpofora napada na niego i na Kryzanta w grocie. Starzec cudownie z rąk ich znika, Kryzanta, któremu maskę na twarz zarzucili, prowadzą do Rzymu. Ojciec z przerażeniem w jeńcu poznaje syna. Za radą Klaudiusza wstrzymuje się od wymierzenia kary, lecz innego używa sposobu dla odciągnienia go od szaleństwa Krzyża. Otacza go wszystkiemi uciechami i ponętami ziemskiemi, ogłasza, że która z dziewic podbije jego serce, zostanie jego żoną bez względu z jakiego pochodzi stanu, że którykolwiek lekarz uleczyć go z jego moralnej choroby zdoła, hojnie wynagrodzony zostanie. — Jako lekarz przedstawia się Karpofor — przypuszczony do Kryzanta, dokończa nauczania go — umacnia go w wierze,

i Chrztu świętego mu udziela. Powabom dziewic, śpiewowi Nisydy, poezyi Cintii opiera się Kryzant, ale i Daria kapłanka Minerwy dowiedziawszy się że Kryzant przez Chrześcian zaczarowany, chce potęgą swéj urody czary chrześciańskie przełamać. Kryzant uczy ją nauki, którą powziął od Karpofora, i dowiaduje się Daria, że *jest taki, który z miłości dla niéj umarł.* Kryzant więc rzecze do niéj:

Nie, dwóch bogów być nie może,
Bo dwa bogi to dwie wole,
Jeden jest Stwórca wszech rzeczy,
Bóg na ziemi i na niebie,
Który jako syn człowieczy,
Umarł przez miłość dla Ciebie.
Jeżliś więc prawdę mówiła
Pamiętasz, w onéj godzinie,
Że tylko tego jedynie
Pokochaćbyś zdolną była
Coby . . . .

Daria jeszcze się waha, opiera i ślubu spełnić nie chce, ale głos z głębi woła:

Idź za tym, który legł w grobie
Przez wielką miłość ku tobie.

Lecz Karpofor ginie pod mieczem katowskim z rozkazu Polemiusza, i po zgonie temi samemi słowy napomina Darię. I ona widząc wiarę, gotowość do męczeństwa Kryzanta, ślubu swego dopełnia, poświęca się temu, który za nią z miłości umarł — i zostaje Chrześcianką. Otóż ten ślub Darii i wytłómaczenie jego jest tym szczęśliwym gieniuszu pomysłem, o którym wyżéj nadmieniliśmy. Ślub wśród dumy niewieściéj uczyniony, a więc występny, przy męczeństwie Karpofora, przy zasłudze Kryzanta, przy łasce Bożéj, obraca się na jéj zbawienie i wiedzie ją do wyznania Chrystusa i do chwały męczeństwa.

Polemiusz zagniewany więzi syna, a Darię do domu hańby publicznéj wrzucić rozkazuje. Eskarpin ściga ją tam swoją rozpustną miłością, lecz nagle lew który się

z krat wyłamał, wpada do tego domu i broni Darii — a potem wyprowadza ją z tego przybytku ohydy i wiedzie ją w dziką ustroń, między skały i przepaści, i tam spotyka ona Kryzanta, którego nieubłagany ojciec ściga, a doścignąwszy i jego i Darię w przepaść wrzucić rozkazuje i przywalić skał odłamami.

Obrona lwa „tego urzędnika Bożego“ jak go Daria nazywa, śmierć męczeńska małżonków duchem z sobą połączonych, a którzy stają się kochankami nieba, równie jak cały ciąg téj powieści, jest wiernem odbiciem podań zachowanych w Żywotach tych dwóch świętych. Przybrał je tylko poeta w cały urok poezyi, i utworzył całość dramatyczną, znakomitą i przedstawieniem postaci w niej występujących i głębokością myśli i bogactwem poetycznem. Kryzant, Klaudiusz, Eskarpin, Polemiusz, Daria, wszystkie te osoby dramatu różnią się od siebie, wszystkie z dokładnością odrysowane, wszystkie stanowią typy nie tyle charakterów jak umysłów, typy w dziedzinie ducha i wiary, które i dzisiaj jak uważa tłómacz, spotykamy.

Czyli tłómaczenie jest wiernem, czy autor na niem nie stracił, wyrzec nie potrafię. Wiersz ośmiozgłoskowy jest łatwy i jasny. Czuje się w tym przekładzie, że się tłómacz przejął duchem autora. Niektóre wiersze nieco prozaiczne lub naciągane, lub z niewłaściwemi wyrażeniami, takie *np.*

Ja biegnę za bóstwem mojem,
Ty uderz do twojej damy.

lub:

Wierz mi, bo mówię to szczerze,
Więc chciéj odejść kawalerze itd.

łatwo tłómacz poprawi i usunie z drugiego wydania. Myślę także że w tym wierszu:

I jakiż to czar uroczy,
Swoim *niebiańskim ukazem*
Wlał mi się w duszę przez oczy. —

niebiański ukaz ulegnie zmianie. Nigdy bowiem nikt się nie spodziewał, ażeby przymiotnik niebiański, zna-

lazł się kiedy obok rzeczownika ukaz. — Lecz są to małe usterki i niedostatki, które nie zmniejszają bynajmniéj prawdziwéj zasługi tłómacza — niech więc ją uzupełni i ustali, i niech w krótkim czasie spełni obudzoną w nas nadzieję, że mu zawdzięczać będziem poznanie w polskim języku wyboru dzieł Kalderona.

Lecz nie tylko przekładami zbogaca się nasza titeratura dramatyczna, gdyż i oryginalny utwór, a jak głoszą, i jak chętnie wierzymy, bardzo znakomity, ozdobi jéj skarbiec, dotąd nie bardzo zamożny. Mówię o Barbarze Odyńca, która dotąd do Poznania nie doszła. Spodziewać się nalcży, że jeden z celniejszych pisarzy krytycznych, czy w Paryżu, czy w Krakowie, zajmie się wkrótce jej rozbiorem i porównaniem z dwoma tragedyami Wężyka i Felińskiego, które tę trzecią Barbarę poprzedziły. Barbara Radziwiłłowna jest jedną z tych historycznych niewieścich postaci, które się trwale odbiły w pamięci narodu. Piękna, kochająca i kochana, po długich dniach niepokoju i przeszkód uszczęśliwiona, wyniesiona na tron, a wkrótce w kwiecie życia i wśród pełności szczęścia zgasła, zostawiła pełne uroku i poezyi wspomnienie, i nie można się dziwić, że aż przez trzech pisarzy naszych na bohaterkę dramatu obraną została. Czyli utwór Odyńca jest tragedyą, czy dramatem historycznym, nie jest mi wiadomem. Do tragedyi mógłby przyjąć upoetyzowaną postać Barbary, w dramacie historycznym powinien ją był oddrysować taką, jaką nam ją historya daje poznać; z żalem zaś wyznać należy, że nowsze poszukiwania o wdowie po Gastoldzie, zwłaszcza Balińskiogo i Szajnochy, zupełnie nam ją inną przedstawiają od téj, jakąśmy dotąd wyobrażali sobie. Nie można także zataić, że miłość, którą w ostatnim Jagiellonie obudziła, stała się nieszczęściem kraju, i że pamięć jéj do czci i wdzięczności narodu wszelkiego pozbawiona prawa. Potajemne ożenienie króla wywołało w początkach jego panowania zatargi i niezgodę, które władzę i powagę jego osłabiły. Wyniesienie rodu Radziwiłłowskiego, zbliżenie go do stopni tronu obudziło zawiść innych możnowładzców, stało się powodem do niesnasek wewnętrznych, i wzmogło zbytnie potęgę Radziwiłłów, której oni różnowiercy, sprzymierzeni późniéj z nieprzyjaciołmi kraju, nie zawsze na jego

dobro używali. Miłość Zygmunta Augusta dla Barbary, żal niezgojny po jéj zgonie, odwracały myśl jego od wznowienia związków małżeńskich, i nie dozwoliły mu nową małżonkę miłością uczciwą ukochać, a przeto stały się może przyczyną wygaśnięcia rodu Jagiellońskiego. — Lecz powié mi kto: poeta historyi nie pisze, wolno mu więc urokiem piękności i miłości otoczyć swoją Barbarę i obudzić dla niéj współuczucie w czytelnikach i w widzach. — Niech i tak będzie. Taką jaką nam ją przedstawi, powitamy z radością i z nadzieją, że tego rodzaju wrażenia, takie zaspokojenie uczucia sztuki pięknéj i zacnéj, przyniesie nam ten nowy utwór poety litewskiego, jakie zawsze znajdujemy przy odczytywaniu Felicyty.

Paryż w wrześniu.

Jest w Luwrze śliczny obraz Watteau: *L'Embarquement pour Cythère*, przed którym zatrzyma się każdy, a nie jeden dłużéj niż zwykle postoi, bo to płótno czarowne, człowiekowi co żył i kochał — jak owa znawczyni serca wróżka cyganka — szepce złudzenia ubiegłéj wiosny tak wiernie, tak wymownie, że na przemiany to go uśmiech w usta, to łza w oko łechce..... i gotów śmiać się lub płakać jak dziécię. — Niebo różowo-błękitne, dalekie mgły srebrne — morze przeźroczyste na którém wietrzyk wyciska dołki jak na pulchnym policzku, a złote łodzie o jedwabnych żaglach wabią, kołyszą się jak łabędzie — cała natura wonna, rozmarzona, zaprasza do czarownéj wyspy. Na kwietne wybrzeże zbiegają się pary w podróżnych ubiorach — miłosne pielgrzymy w płaszczach z mieniącéj materyi, haftowanych muszlami swéj bogini — w kapiszonach ćmiących strzeliste wejrzenia i promienne czoła; wszyscy podróżni młodzi, nadobni świeżością i zapałem; ręce rąk szukają lub opasują wcięte staniki — spojrzenia się wiążą, mieszają. . . uśmiech nachyla się nad uśmiechem i kończy pocałunkiem. . . Po co jadą do Cyteru te piękne pary? Czy już tam nie są? Gdzież znajdą tajemniejsze chłody, miększe trawniki, rozkoszniejsze o-

czom obrazy? — Nigdzie zapewne. Ale to charakter miłości, że ślepa i nienasycona leci a leci coraz nowych szukając zachwytów.— Kupidynki, majtkowie, jak stada gołębi trzepocą skrzydłami niecierpliwiąc się na łodziach; podróżni biegną. . . wsiadają — już wsiedli. Rozpuść żagle sterniku! dalej w drogę za wolą wiatru, za kaprysem morza. . . płyńmy niedbając o wczoraj, łaknąc tylko jutra — nie oglądając się na brzeg opuszczony, a tylko tęskniąc za nieznanym światem rozkoszy, gdzie nie zachodzi słońce, gdzie miłość nie stygnie, gdzie żona jest kochanką a kochanek mężem. . . dalej a dalej do ideału — bo takie prawo miłości!

Mniej poetyczna i mniej dająca do myślenia, ale tegoż wykroju, jest komedya Plouviera: *Le Pays d s Amours*, która w tych bezwypadkowych i bezksiążkowych czasach umila wieczory nie podróżującym Paryżanom. — Nigdy podobno nie było tu puściej jak tego lata: literatura cała w Szwajcaryi; feljetoniści z ojczyzny Tella przysyłają sprawozdania; malarze w górach; wojsko w obozie; wielki świat u wód; pół-świat wszędzie gdzie grają (rozumie się nie na skrzypcach); urzędnicy na wakacyach; kupcy w Enghien; portjery nawet niemając komu otwierać, wyjechali do As. iéres. Gdzie więc iść wieczorem czekając na nieobecnych przyjaciół i nie otwierających portierów? Gdzież, jeśli nie do teatru. *Le Pays des Amours*! woła afisz. Ha! zajrzyjmy w tę krainę miłości; wśród sztuk odgrzewanych, któremi teraz karmią widzów, to jeszcze najsmaczniejsza.

Pan Walenty Plouviera, jak pielgrzymi Watteau, wybrał się do Cyteru, i najpiękniejszą część życia poświęcił zwiedzeniu téj wyspy szczęśliwéj. Ale że jak wiadomo, jedyna lekcya co z poezyi leczy, jest dyssekcya— więc i pan Walenty wychyliwszy duszkiem czarę złudzeń, wyleczony z miłości, zatęsknił za spokojem, wygodą, posiadaniem wyłącznem — i to wszystko znalazł w rozsądnem małżeństwie — tak przynajmniéj twierdzi komedya. Jak widzisz, autor miał najlepsze intencye; czy wielu ludzi do hymenu namówił — nie wiem— ale to pewna, że jego podróż po wyspie szczęśliwéj opisana nader dowcipnie, zajmuje, bo każdemu jakiś ustęp z własnych podróży przypomina — a człowiek, z przeproszeniem filantropów płaczących na aksamitach

nad cierpiącą ludzkością — to tylko czuje czego doznał, a to tylko widzi czego pożąda.

Nie wchodząc w szczegóły tej komedyi, któréj podobną w najmniejszém kółku ułożyć można jak z mozaiki, jeżeli każdy przygodę własną opowie — przechodzę do innych teatrów.

Włoski na tę zimę nadzwyczaj świetną zgromadził trupę: Alboni, Mario, Grisi — niebrak żadnego sławnego nazwiska; przy takich chórach będzie się rozlegało wychylone, uwielbione, okrzyczane *Ut dieze* Tamberlika, który przez Opery całego świata ciągniony, do tutejszéj trupy włoskich śpiewaków się wpisał. Skoro tylko usłyszę głos tego feniksa powstałego z popiołów Rubiniego, nie omieszkam ci zakomunikować wrażenia o ile podobna na ciepło — ale musisz zaczekać ze cztery tygodnie, bo świątynię harmonii dopiero za miesiąc otworzą.

Zapowiadają także nową operę w czterech aktach, ułożoną przez dwie sławy: Merego i Felicyana Davida, pod napisem: *Ostatni Dzień Herkulanum.* Podziemne grzmoty zwiastują wybuch jaskrawy. Dzieło jest już w repetycyi: gmach opery zaprzątniony przyborami. Pani Borghi-Mamo, Roger, Obin i Bonnehée mają pierwsze role; dekoracye malują pierwsi majstrowie — muzykanci się ćwiczą — kostiumy szyją pod dozorem samego Merego, który tu słynie ze znawstwa starożytnego świata; jak Dumas powiada, wie nawet z jakim sosem Rzymianie makaron jadali, a cóż dopiero jak się ubierali. Talent dwóch kompozytorów znany, głosy śpiewaków także, — dodawszy do tego urok, którego dostarczą dekoratorowie, mechanicy, szwaczki, tancerki, gaz i elektryczność — można przepowiedzieć sukces na pewno, bo jeżeli kto to Mery umie trafić w smak ziomkom; znając ich zdrętwiałe podniebienia, częściéj przesadzi niż niedosadzi; zwykle nie oszczędzając nerwów publiczności, póty efekt efektem, fajerwerk fajerwerkiem popiera, aż widze i słuchacze na klęczkach zawołają „dosyć!“

W obec tak powszechnie przyjętego nadużycia efektów działających razem na wszystkie zmysły — owéj, że tak powiem orgii kolorów, tonów, słów i mimiki, czterech sztuk różnych z których niegdyś każda osobno

do łez wzruszała, a dziś w poczwornéj dozie często bez skutku bywa dawaną — jeden tylko głos powstał wzywający do greckiéj prostoty. Głosu tego, choć niestety wiele na swéj powadze utracił, jeszcze posłuchać warto, bo zawsze strojny, skoro się odezwie przygłusza całą sforę szczekających na siebie psiaków. Oto, co *à propos* pomięszania sztuk mówi Lamartine w swym ostatnim kursie:

„Pojmujemy, że muzyk, poeta, dekorator, śpiewak, tancerz, deklamator, malarz i rzeźbiarz powzięli myśl zmieszania się na scenie w jedną grupę sztuczną, ażeby połączonemi siłami samowładniéj panować nad tłumem. Sami ulegamy potędze zmysłowéj takiéj reprezentacyi na którą wszyscy składają się sztukmistrze. Ale jakkolwiek silne jest wrażenie, które owa koalicya sztuk wywiera na naszą naturę; ulegając jéj wpływowi, sądzić ją jednak możemy — a sądząc ze stanowiska czysto duchowego, jedynego z którego na sztukę zapatrywać się należy — żal nam, iż w téj spółce każda z tych sztuk tyle z potęgi swéj traci. Malarstwo wydaje nam się piękniejsze na samotnym obrazie Rafaela, niż na dekoracyi w Wielkiéj Operze, poezya wznioślejszą w księdze Homera, Wirgiliusza i Danta, niż wyśpiewana chociażby głosem najdoskonalszéj śpiewaczki; tragik wydaje nam się potężniejszy kiedy deklamuje pomiędzy dwoma lampami bez innego uroku prócz ducha swego, niż kiedy śpiewa swą rolę pośród fantasmagoryi scenicznéj w świetnym stroju; że nakoniec, muzyk jest wymowniejszy i wznioślejszy w prostéj nucie, niż w aliansie z poezyą, dramatem, deklamacyą, dekoracyą i tańcem. Jak pomiędzy ludźmi tak pomiędzy sztukami istnieje kazirodztwo: natura zabrania im pewnych związków pod karą zagłady. Wiedzieli o tem starożytni: Grecya, która wszystko wynalazła, nie skojarzyła tych nienaturalnych spółek — każda sztuka była tam tem kompletniejszą, iż stała samotnie.

„Pojmujemy, że tłum potrzebuje wrzawy, że muzyka sama nie przemówi do głuchych jego uszu, chyba wpleciona w hałaśliwą orkiestrę — że słowa nie są dlań muzyką, że tragedya nie wytłómaczy mu ani nut ani słów gestami. Ale ludzie obdarzeni zmysłem muzykalnym, tak jak n. p. Mozart, Rossini, lub ci co ich rozu-

mieją, czyż tego potrzebują? Czyż muzyka nie jest językiem kompletnym, tak wyrazistym, tak dokładnie tłómaczącym myśli, namiętności i uczucia, jak słowo? Czy nawet ten język tonów przez nieograniczoność swoją nie jest szerszy w wyrażeniach niż mowa w któréj zmysł jest ograniczony znaczeniem pozytywnem wyrazów? Czy człowiek chociażby najlepiéj władający swoim językiem nie doznaje co chwila, że są odcienia, subtelności, przedziwności, uczucia, myśli, które mrą na jego ustach lub piórze, z braku właściwych na oddanie ich wyrazów? Czy w miłości, w zapale, w modlitwie, nie jesteśmy nieraz duszeni niepodobieństwem oddania doznanego uczucia? Czyż westchnienie, jęk, krzyk, nie jest wtedy jedynym tłumaczem serca? — Czemże jest muzyka, jeśli nie tem westchnieniem, tym jękiem, tym krzykiem, który zaczyna się właśnie tam, gdzie się kończy słowo. Czyż symfonia Beethovena nie jest sto razy dramatyczniejszą dla tego co czuje muzykę, niż wszystkie dramata przeznaczone przez poetę na ramy dla scenicznéj muzyki. Czy doznaliście kiedy na teatrze wrażenia, któreby można porównać z tem, jakie rodzi harmonia samotnych organów grzmiących pod sklepieniem katedry, melodyjna *Hosanna*, szlochający *Stabat*, lub błagalne *Requiem* Mozarta? Czy narodowa piosnka wpadająca niespodzianie w ucho podróżnika z neapolitańskiéj zatoki, tyrolskiego wąwozu, wyspy greckiéj, szkockiego jeziora, lub fletni pasterza, nie potrąciła u was sto razy sympatyczniejszéj struny niż wszystkie opery na świecie? Dla czego? — Dla tego, że słowo chociaż tłómaczy muzykę powszechności, ogranicza ją dla serca i wyobraźni dobrze uorganizowanego człowieka: słowo, to skończoność, muzyka jest nieskończonością — tam jéj królestwo! Słowa są ołowiem, który cięży na nutach, ażeby je na ziemi dla tłumu zatrzymać. Co do mnie, wolę zdjąć ten ciężar ze skrzydeł muzyki i zostać przez nią wniebowzięty".

Nie zważając na głos poety, teatra bulwarowe prześcigają się w przysposabianiu na tę zimę odurzających, rozgniatających widowisk. Śmiech bierze patrząc na rozmaite środki jakich się chwytają dyrektorowie ku ściągnięciu jak największéj liczby widzów. Ponieważ afisz i zwyczajne obwieszczenie w dzienniku już nie zwraca

dosyć uwagi, wynaleziono nowy sposób reklamy, którą możnaby nazwać *przepaścistą*. Zadaniem jéj, działając na nerwy inkrustować w pamięci obwieszczenie. I tak naprzykład: dyrekcya Porte Saint-Martin, gdzie przedstawiać mają wkrótce *Fausta*, nową sztukę pana Dennery, takie wiadomości sieje w dziennikach pod rubryką *Zdarzeń Rozmaitych*:

„Donoszą z Eaux-Bonnes, że sławna i ulubiona aktorka pani Person cudem tylko uniknęła tam okropnéj śmierci. Na spacerze pomiędzy górami koń jéj się zbiegał, wysadził ją z siodła, i już leciała w przepaść, kiedy na szczęście przytomny przewodnik schwycił w powietrzu i ocalił wielką artystkę. Pani Person jest siostrą aktora Dumaine, który niezadługo wystąpi w roli *Fausta* w pięcio-aktowym dramacie pana Dennery“.

Oto gdzie zajść chciano. Chodziło u umieszczenie ostatniego wiersza tego strasznego wypadku nie na czwartéj, ale na trzeciéj stronie dziennika. Ten przestrach, ta kobieta schwytana w powietrzu, wszystko to tylko sos ostry do reklamy pana Dennery.

Dyrekcya Porte-Saint-Martin nie przestając na jednem ogłoszeniu, umieszcza cały szereg okropnych katastrof, które jak ćwieki przybijają w pamięci czytelnika ów nieszczęsny dramat niemiecki. Przez miesiąc napotykasz w paryzkich *faits divers* nowiny jak te naprzykład:

„Wczoraj powóz zaprzężony dzikiemi końmi, ledwie nie stratował młodéj i ślicznéj damy. Wyciągnięto ją już z pod koni i ledwie żywą zaniesiono do pobliskiéj apteki. Tam panna Alfonsina, gdyż ona to była, odzyskała zmysły, i choć cierpiąca jeszcze puściła się w dalszą drogę do teatru Porte-Saint-Martin na repetycyą *Fausta*, w którym ma rolę Małgorzaty.“

„Piszą z Boulogne: Okropny wypadek zdarzył się wczoraj na morzu. Dwa statki *Kocytus* i *Tartarus* uderzyły o siebie i utonęły. Z całéj załogi jedna tylko osoba uratowaną została, a tą jest pewien Amerykanin, jadący do Paryża na pierwszą reprezentacyę *Fausta* pana Dennry.“

„Czytamy w *Constitutionnelu*. Dziś rano wyłowiono z Sekwany młodą kobietę, która skoczyła w rzekę z Pont-Neuf. Wyratowana nie chciała powiedzieć swego nazwiska, poznano ją wszelako. Jest to krewna sławne-

go aktora Dumaina, który ma grać rolę *Fausta* w dramacie pana Dennery. Obawa niedostania biletu na pierwsze przedstawienie, popchnęła tę młodą damę do samobójstwa."

I tak daléj. Ponieważ nie samego tylko *Fausta* grać mają, a każdy teatr chwyta się podobnych środków wabienia, przeto gazety paryskie po brzegi zalane są krwią, pożogą i mordem fikcyjnych ofiar. Powstała nowa gałęź przemysłu w Paryżu. Dowiedzioną jest rzeczą że autor obwieszczeń romantycznych zarabia więcej niż felietonista. Są rozmaite sposoby pisania takich odezw: czułe, rozpaczliwe, wesołe lub śmieszne — a wszystkie czynią skutek, ale na walnéj sessyi Towarzystwa *de l'Amelioration de la reclame en France*, wielki medal przysądzono wynalazcy reklamy *przepaścistéj*.

Nowych książek dotąd brak zupełny. Jedynym wypadkiem literackim są ogłoszone przez professora Blanca listy de Maistra, które zupełnie w nowem świetle przedstawiają katolickiego filozofa. Nie mogąc w tem miejscu dać kompletnego rozbioru téj zajmującéj publikacyi, ograniczam się na zwróceniu na nią twojéj uwagi.

Wyszła już trzecia edycya świeżo wydanéj *Fanny*, powiększona przedmową Jules Janina. Tak wielki pokup świadczy o usposobieniu publiczności, powieść tę bowiem do moralnych liczą. — Człowiek wyłącznie zajęty suchą i niewdzięczną nauką sylabizowania pierwotnéj historyi rodu ludzkiego na pomnikach egipskich, p. Ernest Feydeau, dotknął niespodzianie kwestyi co się zowie żywotnéj, i tą razą studiując na żywych wzorach, napisał tę książeczkę, która zasługuje na uwagę nie tyle z powodu swéj artystycznéj wartości, ile z maniery wprost przeciwnéj przyjętemu sposobowi pisania francuzkich moralistów. Wszyscy oni, nie wyłączając Balzaka, z porywającym powabem malują przywary i dopiero odmalowawszy jakieś nieczyste miłostki, stosunki naganne, lub niepotrzebne eskapady, w końcu przypinają konwencyonalną śpilką morał, zawarty w dwóch lub trzech słowach — jak naprzykład. „tak czynić się nie należy" — „kto tak czyni prędzéj czy późniéj pokutuje" — „nikt nie może być szczęśliwy przekraczając

przepisy towarzyskie“ — i tym podobne sentencye, które w całości nikną bez skutku i śladu, jak owe ziarnko pieprzu mające odjąć niezdrowe wpływy pasztetowi sztrazburskiemu, zwykłemu zabójcy żarłoków. — Oddawszy jakąś jéjmość na pokutę do klasztoru, kazawszy jéj poświęcić Bogu to, czego już ludzie nie chcieli — ci panowie sądzą, że dali bardzo moralną naukę czytelnikom, i już z zupełnie spokojnem sumieniem brną daléj w swe nadobne grzeszki.

Otóż p. Feydeau nietylko propagator ale i wyznawca cnoty, oburzony takim sposobem pisania, wziął pióro, ażeby na dobre potępić cudzołoztwo tak ponętnie malowane, a tak niespodziewanie w ostatnim wierszu dekapitowane — wystawił, ile jest poniżenia, ile trucizny, ile rozpaczy w tych tak zazdroszczonych pomyślnościach kochanka — ujął się na prawdę za sponiewieraną osobą męża, który jak jeleń wyszczuty z leża, jest celem pocisków całéj obławy — usiłował dowieść, że są rzeczy z których się śmiać nie można — chciał pokazać, że takie dotąd naśladowane typy, jak Georges Dandin i Sganarelle, w których Mollière podaje na pośmiewisko oszukanych mężów, zamiast moralizować, źle wpływają na społeczeństwo. Czy podołał tak ciężkiemu zadaniu — w to nie wchodźmy — dość że usiłował.

Za dewizę swéj książeczki autor wziął te słowa wyjęte z Eklezyasty: „*Ten kto kopie dół, w niego wpadnie, a ten co burzy mur, będzie ukąszony przez węża.*“

Na przekór przyjętéj przez pisarzy francuzkich metodzie, mąż Fanny jest człowiekiem znakomitym, a kochanek nie zaleca się niczem. Mąż człek prawy i szlachetny, słusznie jest szanowany — kochanek przeciwnie, słaby i pełen przywar, na szacunek nie zasługuje. Mąż pewny siebie, nie zazdrości, nie podejrzywa nawet, bo zna swą wartość i nie widzi nikogo, ktoby śmiał z nim współzawodniczyć.

Mimo tego Fanny go oszukuje. — Kobiety tak lubią kontrasty! żona silnego upodobała sobie słabego.

W zaledwie zaciśnięty węzeł wciska się wąż i z pod róż wygląda. Miłość jest absolutną — nie znosi rywala ani podziału, a Fanny prócz męża ma dwoje dzieci, które ubóstwia. Jest to zjawisko które się często napotyka u żon niewiernych — rzekłbyś, że to instynktowe

wynagrodzenie znieważonéj rodziny. Matki na długo nie zajmie kochanek; Fanny w jego objęciu myśli o dzieciach i o nich mówić zaczyna.... Roger na podział miłości nie pozwala i czuje pierwsze ukąszenie węża.

W tem synek Fanny zasłabł. Matka przy łóżeczku chorego dziecięcia przesiedziała sześć tygodni, i przez sześć tygodni niewidziała kochanka a może nawet o nim nie pomyślała, bo przez tę wieczność kilka słów tylko od niéj odebrał Roger. Łatwo pojąć stan duszy jego. — Ale czyż taka boleść zasługuje na litość? Jakiemże prawem ten miłosny maruder miałby wydzierać dzieciom serce matki? Gardzonoby nim gdyby takie żądanie objawił... W tym paroksyzmie rozpaczy pierwszy błysk prawdy oświeca ciemności w których zawieszona dusza kochanka i przerażony woła: „Pyszny człowieku który się sądzisz samowładnym panem serca kobiety, patrz jaką przy pierwszem dziecka kwileniu natura daje ci naukę!“

Niebawem po za matką i dziećmi staje straszne widmo małżonka, o którym Roger myśleć dotąd nie chciał. W miłym zawrocie głowy widział kochankę niepodległą, i strzegł tego złudzenia od podmuchu wszelkiéj rzeczywistości. Ale raz wywoławszy legalnego rywala, już z pod żelaznych szponów tej wizyi wydobyć się nie może.

Tu powieść pana Feydeau zanurza się w niezgłębione morze utrapień. *Lasciate ogni speranza, Voi ch'entrate!* Zazdrość kochanka dochodzi do najwyższego stopnia; tą piekielną furyą gnany, chce poznać męża którego dotąd zna tylko jak upiora co mu krew wysysa. Szuka spotkania — spotyka męża i czuje się karłem obok niego. Przy tèj pięknéj i zacnéj postaci czuje się małym jak ziarnko piasku.

Uznaniem swéj niższości mściwie dzieli się z kochanką. Naturalnem następstwem rzeczy, wątpienie o sobie rzuca cień na jasną miłość jego: każe mu wątpić o sercu Fanny. Ta ubóstwiona, ten anioł, to pewnie tylko kokietka, któréj przez ciekawość zachciało się kontrastu.

Fanny pod tak zelżywym zarzutem utraca pogodę duszy — ugodzona w dumę którą w najniżéj upadłéj kobiecie lada podmuch podżarza, brzydzi się sobą i zdra-

dą. „Zdradzać! zawsze zdradzać!“ woła cała wstydem czerwona. — I odtąd już horyzont miłości ciemny na zawsze; jeżeli jeszcze czasem błyśnie na nim światełko szczęścia, to tylko jak błyskawica poprzedzająca gromy.

Nakoniec Roger nieustannie szarpany przez sępa zazdrości, wymaga i otrzymuje od kochanki przyrzeczenie iż choć z mężem pozostanie, do niego wyłącznie należeć będzie. — Na téj przysiędze śpi spokojnie noc jedną, ale wnet budzi się podejrzenie: a gdyby mnie zdradziła? wszak zdradziła *tamtego*. — Czatuje więc jak tygrys na swą zdobycz, śledzi, szpieguje co dzień i w nocy. Aż nareszcie raz z balkonu patrząc ukradkiem, widzi... tryumf męża i ucieka jak złodziéj. Jak galernik unosi z sobą ztamtąd na zawsze wypiętnowane czerwonem żelazem znamiona swéj hańby — jak potępieniec ucieka w lasy, ażeby schować przed ludźmi krwawe rany serca i okrutnie śmieszną mistyfikacyę któréj był przedmiotem.

Taka jest treść powieści pana Feydeau. Jak widzisz, jest to wierne rozwinięcie położonéj na początku dewizy, studyum psychologiczne wiarołomstwa skreślone z przerażającą prawdą. Zdaniem mojem donośność téj książki jest ogromna. Zarzucają jéj tu zbytnią jaskrawość i obnażenie. W takiem założeniu jaskrawością farb przesadzić nie można, bo namiętność jak kat zawsze w czerwonéj sukni chodzi. Któż wpatrzywszy się w tę tak nie konwencyonalnie ale prawdziwie odmalowaną otchłań łez i katuszy, w którą krzywoprzysięstwo wpycha dwoje ludzi, zapragnąłby iść tąż samą co oni drogą? — Nie odwraca ten od przepaści kto pokazuje z daleka tylko jéj brzegi zwykle porosłe kwiatami; zdeptał je autor *Fanny*, przyciągnął czytelnika i pokazał dno...

Dzięki jemu, może nie jedna dusza młoda, chciwa piękności, łaknąca woni, więc sięgająca po te zdradzieckie kwiaty, z przerażeniem od nich odskoczy.

GAZETKA LITERACKA.

Kraków. Wydawnictwo katolickie pospieszyło już ze swoim Kalendaraem Przemysłowo-Rolniczym na rok 1859 Jak zawsze, tak i na rok przyszły odznacza się ta publikacya postrzeżeniami pełnemi prawdy, humoru i dowcipu. P. Wielogłowski, z którego pióra płyną te obyczajowe obrazki, umié doskonale trafiać w potrzebę chwili, i dotykać tych stron w życiu społeczeńskiém, które albo zbyt odstrychnęły się od narodowego obyczaju, lub też rażą śmiesznością, a niekiedy potwornością swoją. I tym razem wprowadził on przez wszystkie dwanaście miesięcy ciągnącą się powiastkę o młodym kawalerze szukającym żony, a zachodzącym w romans z aktorką, która pochłania pieniądze pożyczone na staranie się o rękę przyszłej małżonki. — Inne artykuły są: O miłości rodzinnej ziemi. — Wyborny ustęp: O pegazach angielskich i o koniach roboczych polskich — trudno dowcipniej i prawdziwiej wyśmiać manię dzisiejszej anglomanii, ubiegającej się o lotne pegazy a nie o konie wytrwałe do pracy, a niekosztówne. Następuje szereg scen wziętych z życia: O nagannym i grzesznym zwyczaju wzajemnego sobie odmawiania służących. — Teorya i praktyka w rolnictwie. — Pogadanki o szkole rolniczej w Czernichowie pod Krakowem. — O banku rolniczym. — Następnie Tabele obrachowania monety konwencyjnej na nową walutę austryacką — rzecz arcy potrzebna, bo nie można będzie kroku zrobić bez radzenia się tabelki, która i najtępszą do matematyki głowę, musi wykierować na rachmistrza.

W litografii *Czasu* przygotowuje się także przepyszny chromolitografowany kalendarz podobny do zeszłorocznego, lecz o wiele poprawniejszy co do odbicia. Przedstawiać on będzie ubiory ludu i widoki okolic Krakowa.

Wydawnictwo Bibl. Polskiéj p. Turowskiego ciągle czynne, ogłosiło następujące przedruki dzieł rzadkich i użytecznych: Krótki rzeczy polskich sejmowych komentarz Jana Ponętowskiego, oraz

Deliberacya o spółku i związku korony polskiej z pany chrześciańskiemi przeciwko Turkowi.—Następnie: Pisma polskie Sebastyana Fabiana Klonowicza — i Głos wolny wolność ubezpieczający p. Stanisława Leszczyńskiego króla polskiego itd. — Toż wydawnictwo rozpoczęło druk Herbów Rycerstwa Polskiego p. Bartosza Paprockiego — jak zaś edycya ta będzie przystępną, dowód w tém, że kiedy dziś jeden egzemplarz tego herbarza kosztuje 40 lub 50 czerw. złotych, przedruk będzie kosztował najwięcéj od 24 do 30 złp. Tamże wyszło wyborne pisemko pod tyt. *Skrupuł bez skrupułu* w Polsce, albo oświecenie grzechów narodowi naszemu polskiemu zwyczajniejszych, a za grzechy nie mianych. Traktat po prostu grzechy roztrząsający, na rozdziały podzielony przez pewnego Polaka, temiż grzechami grzesznego, ale żałującego, na poprawę swoją i ludzką podany. Autorem tego pisemka z końca 17 wieku jest znakomity mąż i pisarz Jan Stanisław Jabłonowski. Autor wykrywa wiele takich rzeczy o jakich historycy nasi nie mówią — są to tajemnice wewnętrzne rzeczypospolitéj.

Wiedeń. *Oskar Schmidt.* Deliciae herpethologicae Musei Zoologici Cracoviensis. Beschreibung der kk. Museum zu Krakau befindlichen, von J. v. Warszewicz in Neue-Granada und Bolivia gesammelten ungeschwärzten Batrachier. (Z trzema tablibami), 4to złr. 1 kr. 15. Odbicie osobne z 14go tomu Rozpraw wydawanych w „Pomnikach c. k: akademii umiejętności w Wiedniu" 1858 u Gerolda w Wiedniu.

Professor mineralogii przy uniwersytecie jagiellońskim Dr Wiktor Zepharovich (Cefarowicz) wydał u Braumüllera w Wiedniu z datą już 1859 r. po niemiecku „Słownik mineralogiczny Cesarstwa austryackiego". Książka ta ma o tyle z rzeczami naszego kraju związek, iż oddział jej jeden traktuje o kopalniach galicyjskich. W słowniku tym wyliczone są bowiem sposobem abecadłowym wszystkie kopaliny a przy każdej z nich miejsce znajdowania się. Pod tym względem zachowano taki porządek: naprzód kraje alpejskie, potem kraje karstem przerznięte, następnie Sudety, a w końcu Karpaty z podziałem na Galicyę, Bukowinę, Węgry, Serbię i Siedmiogród. Na każdem miejscu gdzie się znajduje kopalina, naznaczone jest geognostyczne wskazanie kruszcu i forma w jakiej się na tem miejscu pojawia. W końcu przydzielono dwa spisy ułatwiające znalezienie się w dziele: pierwszy jest geograficzny, gdzie przytoczona jest każda miejscowość z odniesieniem do słownika właściwego i wskazaniem położenia względem najbliższych miast lub miasteczek, drugi zaś spis jest synonimiczny.

Praga. Pan F. J. Jezbera czech wydał: [*Pesma*, koju je u srbskoslavjanskome jezyku napisao i vsem Slavjanom iz Zlatnog-Praga odlazećim, na uspomenu poswetio —]. (—) „Pieśń, którą w serbskosłowiańskim napisał języku i wszystkim Słowianom Złotą Pragę opuszczającym na pamiątkę poświęcił" — str. wszyskiego 16. Po pieśni pożegnalnej do Serbów następuje pieśń: *Pogląd na Pragę* — a potem druga p. t. *Nadzieje.* Ponieważ p. Jezbera, czechem będąc napisał to po serbsku, więc aby i inni go współziomkowie zrozumieli, podaje na końcu wyliczenie niektórych mniej zrozumiałych wyra-

żów serbskich dla Czechów — na początku zaś kładzie abecadło serbskie a obok czeskie, iżby na prędce pieśni te w druku serbskim odczytać można — a nawet dla ułatwienia tem większego, 1szą pieśń całą podał obok łacińskiem abecadłem w formie czeskiej. — P. Jezbera pierwszą połowę zysku ze sprzedaży tego dziełka przeznaczył na pomnik sławnego serbskiego piewcy J. C. Popowicża; a drugą na bulgarski kalendarz w Carogrodzie na rok 1858.

II. [Kyril a Method svati apostolové slovanskych narodou nepsali nikgdy hlaholsky než kyrilsky itd. w Praze 1858] „Cyryl i Metody święci apostołowie słowiańskich narodów nigdy nie pisali pismem głagolickiem ale cyrylskiem, to jest pismem z greckiego przerobionem i dopełnionem“ — w końcu przydana „rzecz o słowianach w królestwie neapolitańskiem nowem pismem cyrylskiem“ w Pradze 1858, str. 72. W traktacie tym p. Jezbera usiłuje dowieść, że Cyryl i Metody cyrylskiem pismem pisali — i popierając się Wostokowem i innemi źródłkmi, zbija mniemania i dowody Szafarzyka, który niedawno wystąpił z broszurą dowodzącą, że Cyryl głagolickiego pisma używał. — Rzecz o Słowianach w Neapolitańskiem jest wedle tego co podał professor Giovanni de Rubertis, a o czem dawniej krótka podana była wiadomość w *Czasie*.

Gniezno. Drukiem Langiego ukazało się tam dziełko pod tytułem: Wiadomości historyczne o mieście Kłecku, zebrane przez X. Józefa Dydyńskiego. Zajmująca to monografia tego miasteczka, które choć niema karty w historyi, jednakowoż zawiera wiele pamiątek i wspomnień godnych zapisania. Warto, żeby duchowni nasi naśladowali ten dobry przykład zbierania i ogłaszania dokumentów miejscowych. Książeczka ta opatrzona tablicami wykopalisk, sprzedaje się na dochód ochronki w Gnieźnie.

Poznań. Nakładem Żupańskiego wyszła in 4to: Wiadomość o krwawéj a strasznej Rzezi w mieście Moskwie, i okropny a żałośny koniec Dymitra Wielkiego Xięcia i Cara moskiewskiego przez Hollendra naonczas w Moskwie bawiącego, w języku angielskim napisana i wydana w Londynie r. 1607, a teraz na język polski przełożona i pomnożona dodatkami wyjętemi ze zbiorów Kurnickich. Na tytule jest wyrytowana pieczęć Cara Dymitra. Tłumacz oprócz samej relacyi owego holendra, dopełnił jeszcze to zdarzenie wyjątkami z innych rzadkich broszur, jak: Moscovia przez Neugebauera, Acrostichis własnego wyobrażenia kniazia W. moskiewskiego itd. z r. 1581. Hymaeneus Naj. Dymitra Iwanowicza p. Jurkowskiego. — Gody moskiewskie z r. 1607, Sebastyana Lifftets. — Wyprawa wojenna Króla do Moskwy. — Nowiny z Moskwy z r. 1609. — Kolęda moskiewska p. Palczewskiego, 1609 — i t. d.

Wilno. Bardzo godny uwagi i nasladowania wydała komissya archeologiczna wileńska: Zbiór dyplomatów rządowych i aktów prywatnych posługujących (dla czego nie: służących?) do rozjaśnienia dziejów Litwy i złączonych z nią krajów (od r. 1387 do 1710). — Zbiór ten, którego pierwszy tom ukazał się jest redakcyi sekretarza naukowego Maurycego Kurpowicza. Obok jest przekład Rosyjski. Są tu przywileje Wład. Jagiełły, Witolda, Kazimierza, Alexandra, Zygm. I,

Zygm. Aug. etc. Listy: X. Dymitra Olgerdowicza, papieża Marcina V, Eugeniusza IV, pisane do królów polskich Akt rozgraniczenia Litwy od posiadłości kawalerów mieczowych. Testament Gosiewskiego — Relakcya podróży na Ukrainę przez niewiadomego agenta za Jana Kazimierza z r. 1665. Legacya Tomasza Działyńskiego do Cara Piotra Alexiejewicza, 1703—1711. — Wyszedł także pierwszy zeszyt: Pamiętnika Malinowskiego i Adama Kirkora. — Oprócz mów i drobniejszych wiadomości, są rozprawki: O starożytnościach państwa rosyjskiego i Bosforu Cymeryjskiego, przez M. Malinowskiego — Światowid rozprawa Kirkora — Wiadomość o lignicie i świeżo wynalezionym metalu glinką lub alumnium zwanym, p. Adamowicza itd.

Berlin. U Behra wyszła nowa edycya: *Etudes sur l'avenir de la Russie*, par Schedo Ferroti. (Studya nad przyszłością Rosyi). W pierwszej części traktuje autor kwestyą usamowolnienia włościan, w drugiej, o zasadzie rządowej i o jej następstwach, w trzeciéj o przekupstwie i lekarstwie na takowe.

Paryż. Znany z ulubionych powieści swoich J. Kraszewski, wydał teraz w okazałej edycyi *Hymny* Boleści są to poezyje pełne głębokości i boleści uczuć.

Warszawa. Zeszyt wrześniowy Biblioteki Warszawskiej, zamieszcza następujące artykuły: Stanowisko przyszłego badacza mowy, przez Felixa Jezierskiego; Obrazy Dagestanu, przez S... IV. Obyczajach i zwyczajach; Romanse i powieści J. Dzierzkowskiego, przez A. A. K.; Fryderyk John, rytownik polski i jego prace, przez Ambrożego Grabowskiego; Joanna Darc, dramat historyczny w pięciu aktach prozą, przez Daniela Sterna. Kronika paryzka, londyńska, naukowa i artystyczna. Paryzkie muzeum historyi naturalnej — Reorganizacya biblioteki cesarskiej — Kolej Podalpejska — Sakuntala, balet indyjski Teofila Gautier — Jan Brat, dramat w Porte-Saint-Martin — Francuzkie towarzystwo fotograficzne — Książka Abd-el-Kadera. — Wiadomości literackie. Krótki rys historyi naturalnej Kamieńca Podolskiego skreślił Gustaw Belke. — *Poezye*: Pory życia przez W. Korotyńskiego; Churma na czole, przez R. Zmorskiego. — *Kronika literacka:* Wieża siedmiu wodzów, pieśń z podania przez Romana Zmorskiego, przez K. Kaszewskiego; Rozbitki, prolog napisany dla sceny polskiej we Lwowie przy jej nowém otwarciu, przez K. Ujejskiego, Lwów, przez W.; — Wyjaśnienie co do filozofii XVIII wieku z powodu zdania p. Bolesława Wiktora, przez K. Kaszewskiego; *Czas*, dodatek miesięczny za m. Kwiecień i Maj r. b., przez W. — *Korrespondencye:* Chrystus w grobie, posąg naturalnej wielkości z marmuru białego, roboty p. Oskara Sosnowskiego. przez K. D. — Do redakcyi Biblioteki Warszawskiej o czasopiśmie „Słowo“ przez Zero. — Do redakcyi Biblioteki Warszawskiej w sprawie przywileju Leszka Białego, od J. Łepkowskiego. Posiedzenia oddziału archeologii i sztuk w c. k. Towarzystwie naukowem w Krakowie, odbyte dnia 20 Kwietnia, 20 Maja i Czerwca r. b. — Kronika Bibliograficzna.

W tymże numerze znajdujemy niektóre wiadomości podane poniżéj:

Nakładem S. H. Merzbacha, księgarza, wyszedł tom VI pism Adama Mickiewicza. Obejmuje

prelekcye, lekcyi 22. Druk tomu VII już się rozpoczął. — S. Orgelbrand miał rozpocząć druk przekładu Boskiej komedyi Danta, Juliasza Korsaka, sprowadził nawet ryciny do pysznéj edycyi, ale wstrzymać się musiał z powodu braku papieru. Wszystkie papiernie, tak Banku polskiego w Jeziornie, jak i prywatne, stoją prawie nieczynne dla niedostatku wody. Drukarnie będą musiały z tego powodu wstrzymać roboty na czas nieokreślony, bo przybytku wody nie spodziewają się tak rychło, chyba w grubej jesieni.

— Nakładem pomienionego księgarza wyszła znana: „Pieśń o ziemi naszej" Winc Pola w wydaniu powtórném. Wstęp, O jesieni polskiej jest zupełnie nowy i pierwszy raz drukowany.

— W drukarni Gazety Codziennéj wyszła w piątem wydaniu Nowa grammatyka francuzka Noël'a i Chapsal'a, poprawna i powiększona, przez P. Parvez. Dodane są w osobnéj książce: „Zadania i słownik."

— Znany od lat wielu na niwie literackiej p. Karol Forster, który przybył z Berlina do Warszawy na krótki pobyt, wydał w r. z. „Rzut oka na ostatnie pisma polityczno-filozoficzne z przedmową i przypiskiem". Berlin 1857. Zajmująca praca równie treścią jak wykładem. Obecnie, przed miesiącem w Berlinie także zaczął wydawnictwo p. n. „Zbiór dzieł użytecznych z różnych języków zebranych." Na czele dał dzieło Thiersa o Własności, znane już naszej publiczności w chwili tej samej prawie, gdy ogłoszoném zostało w Paryżu w tłumaczeniu polskiem. Nowy przekład może rozpowszechni więcej u nas to dzieło, i dojdzie do tych, którzy pierwszego tłumaczenia nie znali. W dalszym ciągu zamierza pan Forster ogłosić ważne dzieło: „O klasach roboczych we Francyi i w Niemczech". Publikacye tego rodzaju znajdą u nas w dzisiejszych czasach niewątpliwe poparcie.

— Nakładem księgarza Bernsteina wyszły: „Klejnoty poezyi polskiej, wybrane z dzieł najznakomitszych dawnych i nowoczesnych poetów". Zeszyt VI obejmuje poezye: ks. Antoniewicza, Deotymy, Ilnickiej, Gaszyńskiego, Maryi z Gniezna, Merzbacha, Pługa, Słowackiego, Syrokomli, Wł. Wolskiego. Z tym zeszytem kończy wydawca pierwszy oddział tej publikacyi: w następnej do każdego zapowiada dołączenie portretu poety w drzeworycie. Na początek drugiego oddziału danem będzie popiersie Kazimierza Brodzińskiego, z poglądem na jego poezye. Taniość wydania, dobór poezyi, zapewniły Klejnotom powodzenie, czego dowodem zapowiedzenie nakładcy wydawnictwa drugiego oddziału.

— W drukarni J. Ungra rozpoczął się druk drugiego wydania Historyi literatury polskiej w zarysach K. Wł. Wójcickiego, znacznie przerobionej i pomnożonej, bo dociągniętej do roku 1858. — W tejże typografii kończy się dzieło p. n. Przewodnik do szczęśliwości dla młodzieży naszéj, z francuzkiego przełożył i zastósował ks. Mateusz Solarski, św. teologii Dr. spowiednik katedralny krakowski. Nakładem tego typografa wyszła w 4ch sporych tomach Teologia moralna dla użytku plebanów i spowiedników, przez Kardynała Gousset arcybiskupa w Reims. Tłumaczenie z 8 wydania.

— G. Sennewald swoim nakładem wydaje tańce z nowéj opery St. Moniuszki „Flis" do której napisał libretto Stanisław Bogu-

sławski. Dla pośpiechu litografuje je w miejscowych zakładach.

— W drukarni S. Orgelbranda kończy się druk Igo tomu dzieła dwutomowego „Ogólne zasady nauki gospodarstwa narodowego, czyli Czysta teorya ekonomii politycznéj“ Fryderyka hr. Skarbka.

— W drukarni Banku polskiego nakładem autora, wyszło dzieło w żywotnym przedmiocie nietylko dla prawników, ale i dla właścicieli tak ziemskich jak miejskich p. n. „Rozbiór wykazu hypotecznego“ przez Augusta Heylmana członka senatu.

— P. Antoni Stanisławski professor uniwersytetu w Charkowie, za bytnością swają w Warszawie, udzielił wyjątki z przekładu swego Boskiej komedyi Danta: pieśń XII Piekło, którą Gazeta Codzienna ogłosiła w odcinku swoim. Nie możemy odmówić ani wierności w tłumaczeniu ani staranności co do ojczystego języka. P. Stanisławski zachęcony gorącém słowem J. I Kraszewskiego, zamierza przekład swój tego arcydzieła; 1859 będziem już mieli tłumaczenie tego utworu w całości przez Juliana Korsaka, łatwo i sam p. Stanisławski i publiczność czytająca oceni właściwą wartość każdego.

— Włod. Hr. Pl ter, do Zbioru pamiętników, który ogłasza, złożył obszerny rękopism rokoszu Zebrzydowskiego, równocześnie znalazły się opisy i dokumenta do tego ustępu dziejów w innych zbiorach, jak pp. Wójcickiego, Steckiego. Są to obszerne zasoby, dotąd nieznane, w ukryciu schowane, które rzucą nowe światło i wyświecą dokładnie cały rokosz równie jaki w nim udział przeważny mieli nietylko główny hetman Mikołaj Zebrzydowski, ale i inni panowie i szlachta polska.

— Pamiętnika religijno-moralnego seryi drugiej tomu 11 wyszedł Nr. 8 za miesiąc sierpień i obejmuje: 1) Radom i fara nowo-radomska do 1700, przez X. J. Gackiego (c. dal.) 2) Hagiografia i Bollandyści (c. dal.) 3) Korrespondencya z dyecezyi sandomierskiej. 4) Menażerya proboszcza. 5) Notaty Jana Czeczota. 6) O Kryniczynie. 7) Wiadomości naukowe, bibliograficzne, kronika kościelna, korrespondencye, rozporządzenia rządowe.

— Michał Gliszczyński wkrótce rozpocznie druk obszernej monografii pod napisem: „Huss i Hussyci“.

— Znany zaszczytnie na polu piśmiennictwa naszego od lat wielu professor Jan Szwaynic, który lat wiele poświęcił nad opracowaniem historyi powszechnej już tak daleko posunął swą pracę, iż zamierza w roku przyszłym rozpocząć druk „Dziejów starożytnych, które obejmą trzy wielkie tomy. Pięć już następnych części jest gotowych, w których wykłada nasz autor dzieje średnich wieków i nowoczesne dzieje. Całość obejmie od 8 do 9 tomów.

— Józef Łoski obywatel dawnego Podlasia, który w Bibl. Warsz. umieścił zajmujący opis galeryi portretowej Sapiehów, i tym opisem pobudził p. Kotłubaja do ogłoszenia ważnego dzieła „Galeryi Radziwiłłowskiéj w Nieświeżu“ zamierzą wydać portrety Sapiehów w większym formacie z obszernym tekstem: cztery nawet portrety odbito w litografii Flecka Niewiadome powody wstrzymały tę ważną publikacyą p. Łoskiego. My sądzimy, że nakład potrzebny przy dokładnym tekscie w obecnym stanie zamiłowania literatury ojczystej wróciłby się niezawodnie, a p. Łoski zyskałby prawo do wdzięczności

naszéj za podjętą pracę, tyle obchodzącą dzieje ojczyste.

— Od 1 października r. b. ma wychodzić pod redakcyą znanego z prac krytycznych Henryka Lewestama nowe pismo zeszytowe p. n. „Obrazy i rozbiory krytyczne literatury współczesnej“ w zeszytach 1½ arkuszowych formatu 4ki małej.

— Ruch muzyczny pod redakcyą Józefa Sikorskiego, jakkolwiek specyalnej treści, doborem artykułów, staranną redakcyą i regularnością swoją ustala się coraz więcej i czytany jest z upodobaniem nietylko przez samych muzyków z powołania, ale też i amatorów. Redakcya bowiem tak urozmaica numer każdy Ruchu muzycznego, tak umié spopularyzować rzecz suchą samej nauki, że przyjemnie odczytują się artykuły te nawet, które wyłącznie dla samych muzyków są pisane. Nie małe w tem piśmie ustępy zajmuje krytyka sceny Warszaws. sumienna, poważna, nie dająca się unosić ani żadném stronnictwem, ani uprzedzeniami chwilowemi przeciwko artystom naszym, których powody nie płyną ze szlachetnego źródła, czystej miłości sztuki i czułej dbałości o dobro i rozwój krajowej sceny. Nietylko opera, wodewille są rozbierane w Ruchu muzycznym; przychodzą tu pod rozbiór zarówno dramata jak i komedye. Rok drugi istnienia tego pisma dostatecznie każdego przekonać może o rzetelnej jego wartości.

— Karol Czerniawski znany z wybornej rozprawy o tańcach, ogłoszonej w Bibliot. warszaws: przejrzawszy takową i znacznie pomnożywszy, zamyśla w oddzielnej książce illustrowanej wydać. Rysunki do drzeworytów ma wykonać F. Kostrzewski.

— P. Bartels (w Wilnie) znany autor szkiców rysunkowych p. n. „Łapigrosza“ ogłasza drukiem zbiór swoich komedyj wierszem. Ci co bliżej utwory te znają, nie mogą się dość nachwalić. Nakładem księgarza Assa wyszedł poemat nowy Syrokomli: „Starosta Kopanicki“. Jest to zwierszowany artykuł niedawno w Gazecie Warszawskiej wydrukowany o Ponińskim, porwanym i więzionym w Sonnenburgu, jako stronniku Leszczyńskiego. Gorący wielbiciele Syrokomli, zaczynają w tym utworze widzieć wiele nadętej deklamacyi. Nakładem i drukiem Józefa Zawadzkiego wydane zostały „Piosneczki Karoliny Proniewskiej, Bogu na chwałę, na pamiątkę przyjaciołom“. Są to pisane dosyć gładkie wierszyki. Życzyć należy, ażeby redaktor „Teki“ częściej wydawał jej zeszyty, tem bardziej że nie zbywa mu ani na materyałach, ani prenumeratorach, jeżeli nie u was, to u nas. Publikacya ta wtedyby można powiedzieć wrosła w życie wielu rodzin miłujących narodowe piśmiennictwo. W bardzo ozdobném wydaniu wyszła książeczka z drukarni A. Marcinowskiego p. n. „Wandina“ fantazya przez Henryka z Obsyngi. Jest to wdzięczna opowieść, pięknym językiem oddana; trzy ryciny zdobią to wydanie, które coraz więcej się upowszechnia w ręku naszych pięknych Litwinek. Nakładem księgarza Assa wyjdą „Pamiętniki domowe, w dziennikach domowych Obuchowicza i Cedrowskiego pozostałe“ z przypisami Michała Balińskiego. Zawadzki drukuje spis alfabetyczny do wydanych tomów Jochera. Wydał powieści znane z Gazety Warszawskiej Korzeniowskiego: „Szczęście za górami“ w 2 tom.; Chodźki „Pustelnik w Pronianach“ t. d.; „Grób Nieczui“ w 4 tom.

Zygmunta Kaczkowskiego, w edycyach starannych, któremi się ta firma zawsze odznacza.

— Drukarz poznański L. Merzbach ogłosił prospekt na dzieło p. n. „Zbiór pieśni z melodyami w kościele Rzymsko-Katolickim od najdawniejszych czasów używanych, uskuteczniony przez Teofila Klonowskiego nauczyciela przy Król. Katol. Seminaryum w Poznaniu.

Ant. Kłobukowski Redaktor odpowied. St. Gralichowski za Rządcę drukarni